

TOMASZ  
MATKOWSKI

# gangsterski

lesiojot

**TOMASZ MATKOWSKI**

# **gangsterski**

**Wydawnictwo Nowy Świat  
Warszawa 2005**

Jak to możliwe - zastanawiał się Santucci - że w maszynie, która wygląda na nową, pachnie jeszcze farbą i jakimiś dziwnymi materiałami - chyba ceratą, klejem, bakelitem, linoleum - szyby mogą być takie brudne!

Maszyna rzeczywiście była nowa. Być może Santucci nie siedziałby tak spokojnie w swoim fotelu, gdyby wiedział, że zastąpiła innego Iliuszyna 62M (M, czyli Modern), jednego z ośmiu zakupionych - obowiązkowo, jak wszystkie samoloty polskich linii lotniczych - w Związku Radzieckim, i spośród których, dzięki częstszym niż przewidywał radziecki konstruktor przeglądom, tylko dwa się roztrzaskały. Pierwszy w roku 1980, drugi siedem lat później.

Przyczyną obu katastrof był podobny, banalny defekt: wykonana po partacku, ze słabej jakości materiału, turbina jednego z silników nie wytrzymała siły odśrodkowej, rozprysnęła się, a jej odłamki ostrzelały, jak seria z karabinu maszynowego, sąsiedni silnik i mechanizmy sterownicze. W ułamku sekundy maszyna stała się wrakiem. Leciąca jeszcze, ale już tylko siłą bezwładu, a pasażerowie byli martwi, chociaż jeszcze o tym nie wiedzieli. Ten stan zawieszenia, odroczenia wyroku, trwał 29 sekund.

Uczestnicy drugiej katastrofy mieli jeszcze mniej szczęścia. Od ogłoszenia wyroku do egzekucji musieli przetrwać prawie godzinę. Po wyroku samolot szybował jeszcze w stronę lotniska, piloci próbowali, resztką ciągu w jednym z silników, nadać mu kierunek, komora bagażowa się paliła, a spacerowicze, którzy w ten niedzielny poranek znaleźli się w pobliżu, opowiadali potem, że cały ogon samolotu się

zarzył. Czy samolot spadł nagle dziobem w dół tylko dlatego, że pasażerowie z tylnej części, mimo błagań stewardess, nie chcieli się upiec żywcem i rzucili się na przód maszyny? Zapiski czarnych skrzynek, jak zwykle w takich sytuacjach, pozostały tajemnicą przewoźnika i powołanej, jak zwykle w takich sytuacjach, komisji.

Mniej milczący okazali się umarli, którzy przesłali notatki zza grobu. Strzępy pozdrowień, testamentów, rozpaczliwych prób utrwalenia chwili: „Awaria. Nie wiadomo co będzie”. „Żegnajcie”. Bazgrane w pośpiechu, niepewnie, na wszystkim co pod ręką - kartkach, biletach lotniczych, deklaracjach celnych, banknotach. O tym, że pasażerowie nie mieli wątpliwości, iż tego ranka umrą, świadczy fakt, że zapiski robili też na paszportach. Czego w żadnym wypadku nie uczyniliby w innych okolicznościach, jako że paszport w czasach komunizmu był dokumentem świętym, a jego utrata lub zniszczenie sprowadzało kłopoty na jego właściciela (a właściwie nie właściciela, tylko depozytariusza, bo właścicielem paszportu nie był człowiek, lecz państwo, informowała o tym klauzula wydrukowana w każdym paszporcie). Powierzonego sobie paszportu należało strzec jak oka w głowie, a użyć go jako papieru do notatek mógł tylko ktoś, komu było już wszystko jedno. Część tych zapisków, rozwiana podmuchem, na wpół zwęglona, przepadła w kieszeniach gapiów, którzy w kilka minut później, jeszcze przed przybyciem milicji, straży pożarnej i karettek pogotowia, rzucili się na miejsce katastrofy przedzierając się przez zwalone drzewa. Nastąpiło gorączkowe poszukiwanie portfeli, portmonetek, biżuterii, czegokolwiek co miałyby jakąś wartość, i podobno widziano przechodniów chowających za pazuchę czyjąś oderwaną dłoń z pierścionkiem. Ten aspekt katastrofy został mocno

nagłośniony przez prasę, zilustrowany szczegółami, a może nawet wyolbrzymiony, zapewne by skierować oburzenie czytelników i odwrócić je od partactwa radzieckiego producenta samolotu.

Na miejsce rozbitej maszyny linie lotnicze zakupiły natchmiast i przymusowo - identyczną. Linie lotnicze należały do państwa, a państwo do Rosji. Więc choćby maszyną była latająca trumna, i tak nie było mowy o kupnie innej.

Santucci na szczęście nie wiedział o tym wszystkim, mógł więc spokojnie drzemać, od czasu do czasu tylko budząc się, gdy stewardessa głośniej krzyknęła na kogoś z pasażerów. Obok drzemał jego współpracownik, Big Luciano, a kilka rzędów przed nimi siedział człowiek, którego mieli zabić. Dwaj gangsterzy nie rozmawiali ze sobą. O czym tu mówić? Zadanie jak każde inne. Ten dureń wpakował się w jakąś kabałę, nie wnikali nawet w jaką. Podobno zwał albo dał sobie ukraść pojemnik z czymś białym i bardzo drogim. I teraz chce to odzyskać. Albo chce im uciec. Głupek. Przed nimi nie ma ucieczki. Właściwie nie wiadomo dlaczego Szeff dał mu jeszcze szansę, coś w rodzaju odroczenia wyroku: jeżeli odnajdziesz towar i oddasz go w ciągu siedmiu dni, to ci przebaczymy. Oczywiście wiedzieli, że nawet gdyby oddał towar, i tak nie otrzyma przebaczenia. Ale lepiej, żeby oddał i został zlikwidowany niż nie oddał i został zlikwidowany. Tak też zapewne rozumował Szeff. A czy głupek wie, że już nie żyje? Powinien to wiedzieć. Jeżeli nie jest głupkiem. Ale chyba jest. Mimo że nazywa się, nomen omen, Klewer, czyli sprytny. Johnny Klewer.

- Wzię załatwił sobie jednak niegłupio - jeden z gangsterów nachylił się do drugiego i wykrzyczał mu tę refleksję do ucha, głośno, by przebić się przez ryk turbin samolotu.

- To trzeba przyznać! - odwrzasnął drugi.

Przypomnieli sobie kilkusetmetrową kolejkę pod polską ambasadą w Paryżu, kolejkę po polską wizę. - Dwa dni stania - zawyrokowali wtedy zgodnie, widząc jak Klewer ustawia się na końcu kolejki. A jednak po chwili gdzieś przepadł, już myśleli, że próbuje im uciec. Głupek. Przed nimi nie ma ucieczki! Niejeden już próbował. Próbowali nie tacy jak on, lecz naprawdę cwaniacy dużej klasy. A głupek nie był wielkim cwaniakiem. Był zwyczajnym trybikiem. Trybikiem, który się zatarł. Nie ze swojej winy, zapewne. Ale to nie ma znaczenia. Lucky Santucci i Big Luciano nie są od sądenia. Głupek zadziałał nawet nie tak głupio, zanim się zatarł. Podłożył towar turystce zza „żelaznej kurtyny”, licząc na to, że nie będą jej sprawdzać. A właściwie nie tyle podłożył, co podczepił. Pod podwozie. Samochód turystki, chociaż wyglądał trochę kuriozalnie i antycznie, nie zepsuł się. Za to samochód Klewera owszem. Co uniemożliwiło mu odzyskanie przesyłki. A tymczasem pojazd turystki, wraz z podczepionym ładunkiem pięciu kilogramów najczystszej białej śmierci, zniknął za Żelazną Kurtyną. To tak, jakby wpadł w wodę, albo zapadł się pod ziemię. Ale Santucci potrafi wyłowić z wody i wykopać spod ziemi. Nie ma miejsca na świecie, gdzie nie byłby w stanie dotrzeć. Nawet na Syberię. Kiedyś go zrzucili na spadochronie nad Kamczatką, przewędrował cały Związek Radziecki, ukradzioną luksusową czajką dyrektora gułagu dotarł aż do Moskwy, gdzie dostał się do brytyjskiej ambasady, skąd został przerzucony. Znał świetnie kilka języków, w tym rosyjski (tawariszczi, taksy! - wołał w Moskwie i natychmiast podjeżdżało dwadzieścia taksówek marki wołga).

Uciec Santucciemu? Chyba żarty. Głupek zresztą nie próbował ucieczki. Przynajmniej na razie. Wkrótce ujrzeli jak wychodzi z gmachu polskiej ambasady w Paryżu bocznymi drzwiami i dyskretnie wsuwa coś w dłoń portierowi, a ten

podaje mu kopertę - podwizowany paszport w zamian za łapówkę, to jasne. Spryciarz.

Santucci i Luciano nie musieli uciekać się do takich tricków, „Rodzina” załatwia im wszystkie wizy kanałami dyplomatycznymi. Absolutnie autentyczne. I paszporty też są w najlepszym porządku.

Zapadli znów w coś w rodzaju drzemki. Czujność chwilowo nie była potrzebna, z samolotu głupek nie ucieknie.

Nagle samolot zadrżał. Fotele się zatrzęsły, kadłub zagrzytał, coś chrupnęło, jęknęło i można było ujrzeć w perspektywie kabiny, że kadłub leciutko się skręca na boki. W prawo, w lewo, w prawo... Samolot przebijał się przez warstwę chmur, wyginając się i skrzypiąc.

Zatrzeszczały głośniki. Na ścianie z przodu kabiny pojawił się świetlny napis. Niektóre litery były tak brudne, że nie można ich było odczytać: „No s..kin. Fast eat belts”, jednak sens napisu był oczywisty, nie chodziło o to, żeby wyskoczyć ze skóry i zjeść pasy bezpieczeństwa, tylko żeby je zapiąć. Trzeszczenie w głośnikach ustało, a zamiast niego pojawił się głos stewardessy, usiłującej przekrzyknąć jakiś potworny pisk, prawdopodobnie pisk wzmacniacza, który się co chwila wzbudzał:

- Proszę państwa, za kilka minut... - viuuuuuuuuuuü!  
...lądowną na lotnisku... - viuuuuuuuuuuuuü - ...kęcie w Warszawie. Prosimy o niepalenie papierosów, zapięcie pasów i czytelne wypełnienie formularzy celnych - viu- uuuuuuuuuuu - TRRRRACHÜ! - ...pita... Kowalski wraz z załogą dziękują państwu za wspólny... - TRRRACHU!

Trzeszczenie poszycia i mocniejsze wstrząsy pozwalały się domyślać, że „...pita... Kowalski” włączył właśnie hamulce aerodynamiczne. Końce skrzydeł zafalowały, jakby samolot próbował nimi zamachać, i nie wiadomo dlaczego Santucci

pomyślał, że maszyna musi teraz wyglądać jak wielki, szary orzeł.

Za brudną szybką można było już dojrzeć budynek dworca lotniczego, brunatny barak, nad którym napis - złożony z wielkich liter, z których dwie najwidoczniej odpadły lub zostały zabrane do renowacji, a najprawdopodobniej po prostu ukradzione - anonsował: W..SZAWA.

\*\*\*

W baraku kłębił się tłum. Tłum o nerwowych ruchach i płochliwych spojrzeniach. Tłum ludzi w pomiętych ubraniach, rozgorączkowanych, nienaturalnie ruchliwych. Najwyraźniej wylądowało niemal jednocześnie kilka samolotów, a ich pasażerowie przemieszali się. Większość dźwigała dziwaczne bagaże: tobołki, zawiniątka, wypchane torby plastikowe, nieforemne tekturowe paki, z których wystawały bułgarskie kozuchy, tureckie dżinsy, indyjskie chusty.

Tłum, z początku chaotyczny, wkrótce samoistnie i sprawnie podzielił się na kolejki do poszczególnych ławko-stołów, służących celnikom za miejsca pracy. Odprawa szła bardzo płynnie. Celniczki stanęły przy ławko-stołach, celnicy rozsiedli się w pobliżu na krzesłach, a jeden celnik przechadzał się apatycznie wśród pasażerów, trzymając na smyczy sennego owczarka, który leniwie obwąchiwał bagaże w poszukiwaniu narkotyków.

W jednej z kolejek stał Klewer, nieco dalej w tej samej kolejce czekali spokojnie dwaj mężczyźni w ciemnych okularach. Zachodni Gangsterzy Lucky Santucci i Big Luciano. Dopiero teraz, gdy wyszli z samolotu i stali wyprostowani w całej okazałości, można było podziwiać ich wspaniałe sylwetki. Pięknie wypastowane buty, nienagannie wyprasowane



garnitury, przeciwsłoneczne okulary na męskich, ogorzałych twarzach - przyjemnie kontrastowali ze złachmanionym, spoconym tłumem. Spowici w mgiełkę wody kolońskiej, zdawali się być żywcem przeniesieni z innego świata, może wycięci z jakiegoś żurnala, z tych co to się nielegalnie przywozi z zagranicy, a potem sprzedaje na bazarze. Za każdym razem, gdy kolejka się ruszyła, nie schylali się jak inni po bagaż i nie podbiegali nerwowo do przodu, tylko nonszalancko przesuwali walizy nogą. Eleganckie, czarne, matowe walizy i równie eleganckie, czarne, skórzane teczki. Na wypadek, gdyby ich „podpopieczny” się odwrócił, udawali, że czytają i zasłaniaли się rozpostartymi płachtami „Trybuny Ludu”, którą stewardessa, o aparycji i manierach rozjuszonego buldoga, rozdała pasażerom zaraz po starcie.

Każdy pasażer, dochodząc do celniczki, kłaniał się uniżenie, nerwowo stawiał swój bagaż na ławko-stole, po czym, z afektowaną dyskrecją i natrętnym zażenowaniem w ruchach, kładł przed celniczką mały prezent - banana, pomarańczę, czekoladkę - a ona zsuwała to spokojnie wprost do kartonowego pudła, stojącego pod ławko-stołem, i stempłowała deklarację celną. Pasażer szybko zabierał swój bagaż i żwawo (bo a nuż się rozmyśli?) pomykał w stronę wyjścia.

Szło to bardzo sprawnie, rutynowo i bez zgrzytów. A jednak. Gdy przyszła kolej na pasażera, który stał przed Klewerem, celniczka nie tknęła położonej przed nią mandarynki. Dotknęła walizki, na chwilę znieruchomiała i wyglądała jak chart w stójce, który zwietrzył kuropatwę. Cała kolejka zamarła. Wreszcie celniczka zdecydowanym gestem uchyliła wieko walizki, zanurzyła w niej rękę i wyciągnęła stamtąd dużego, plastikowego fallusa. Dzierżąc go z ostentacyjnym niesmakiem w dwóch palcach, wysoko, tak by cała kolejka widziała, utkwiała pytający wzrok we właścicielu bagażu. Właściciel w jednej

chwili zrobił się czerwony jak flaga Związku Radzieckiego. Szybko wyjął z podręcznej torby jeszcze trzy mandarynki. Urzędniczka zgarnęła je i podstemplowała formularz, mrużąc z dezaprobatą:

- Powinien pan przecież wiedzieć, że marksistowska moralność nie dopuszcza tego typu burżuazyjnych wynaturzeń...

Po czym oddała pasażerowi podstemplowaną deklarację, a plastikowego fallusa niedbałym ruchem wrzuciła do pudła.

Następny był Klewer. Szybko położył przed celniczką paczkę kawy, za co został nagrodzony nie tylko stemplem, ale nawet czymś w rodzaju łaskawszego spojrzenia.

Gdy nadeszła ich kolej, dwaj gangsterzy nie mieli wątpliwości jak się zachować. Byli zresztą przygotowani na takie sytuacje. Wiedzieli z materiałów, które przestudiowali przed wyjazdem, że w tym kraju brakuje żywności, więc jeszcze podczas lotu przygotowali sobie drobiazgi na bakszysze dla urzędników niższego szczebla. Teraz jeden niedbałym ruchem położył przed celniczką pięknie zawinięte w serwetkę jajko na twardo, które zostało mu z posiłku podanego w samolocie, a drugi dwie zgrabne kosteczki masła, również przewidująco zabrane z tacki z cateringiem.

Celniczka zbladła, spiorunowała ich wzrokiem i już po chwili, skrzyczani, popychani przez rozjuszonych celników, którzy skoczyli celniczce na pomoc, sunęli, pod ostrzałem ciekawskich spojrzeń pasażerów, w stronę odległego końca baraku, gdzie dokonywano rewizji osobistych. Wyrywali się, lecz tabun wezwanych gwizdkiem wopistów i milicjantów trzymał ich mocno i włókł do pakamery. Santucciemu udało się jeszcze obejrzeć i zobaczyć, jak Klewer znika w przejściu z napisem EXIT.

\*\*\*

- Skąd mogłem wiedzieć, że jaja są tu za grosze? Takich subtelności nie było w materiałach - zżymał się Santucci.

- No trudno, strzeliłeś i spudłowałeś, nieważne. Teraz musimy go odnaleźć.

W pokoju hotelowym obaj gangsterzy otworzyli walizki, wyjęli z nich ubrania, a potem otworzyli podwójne dna i zaczęli wyciągać kolejno przedmioty, tkwiące tam w zagłębieniach, wyściełanych czarnym pluszem:

- karabinek Strzelca wyborowego, z kolbą o zmiennej długości, z dwójnogiem, lunetką i zestawem oczkowatych przysłon wybieranych w zależności od oświetlenia i pozwalających na bardzo precyzyjny strzał na odległość do 600 metrów;

- pistolet Smith & Wesson kaliber 38;

- pistolet MAC 50 parabellum kaliber 9 mm i dwa zapasowe magazynki po dziewięć nabojów każdy;

- kilka paczek amunicji, w tym pociski dymne i pociski świetlne - żółte, niebieskie i czerwone;

- dwie „bułki” plastiku;

- dwa granaty obronne i dwa zaczepne, owinięte w woskowany papier;

- dwa ładunki zapalające w ochronnych futeralikach;

- kilka zapalników elektrycznych, kilka mechanicznych i kilka odpalanych drogą radiową;

- dwie latarki - kieszonkową i duży reflektor;

- lornetkę z elektronicznym wzmacniaczem światła;

- miniaturowy noktowizor;

- kilka elektronicznych drobiazgów: walkie-talkie, pluskwy zwykłe, pluskwy telefoniczne i kontrpluskwy, pozwalające wykryć ewentualny podsłuch;

- karabin szturmowy FAMAS FI kaliber 5,56 mm z nakrętką do miotania granatów nasadkowych, tłumikiem płomienia, całość, wraz z magazynkiem, ważyła zaledwie 4,280 kg, i trzy zestawy pocisków: naboje kulowe, granaty przeciwpiechotne i granaty przeciwpancerne (zasięg - 300 metrów), cztery zapasowe magazynki, dwie lunety: jedna połączona z celownikiem laserowym, druga wykorzystująca poświatę nocnego nieba i pozwalająca prowadzić nocą skuteczny ogień na odległość do stu metrów. Karabin miał przełącznik pozwalający na strzelanie ogniem pojedynczym, seriami ograniczonymi do trzech strzałów, i ogniem ciągłym, z szybkością od 750 do 1250 strzałów na minutę, w zależności od tego, jak sprawnie użytkownik celował i zmieniał magazynki.

A trzeba zaznaczyć, że Big Luciano i Lucky Santucci byli użytkownikami, którzy robią to bardzo sprawnie... Teraz obaj składali karabiny, dołączali magazynki... W ich wprawnych dłoniach stalowe części zdawały się ożywać: rowki wchodziły w nacięcia, sprężyny się napinały, rygle zaskakiwały prawie bezgłośnie, słychać było tylko cichy trzask, szcęk, zgrzytnięcie, jęk sprężyny...

- Niepotrzebnie powlekaliśmy walizki tą substancją ołowową. Mówiłem ci, że tu nie mają żadnych urządzeń. I nie są nastawieni na takie rzeczy. Tutaj szukają drobnych handlarzy starymi szmatami. Mogliśmy równie dobrze trzymać broń w ręku, i tak by nie zauważyli.

- Strzeżonego pan Bóg strzeże. O, cholera, zapomniałem baterijek do krótkofalówki...

- Nie szkodzi, to standardowe baterijki, kupimy w pierwszym lepszym kiosku.

\*\*\*

- Bardzo mi przykro, ale teraz nie mogę się panem zająć. Muszę pracować, bo przyszła inspekcja robotniczo-chłopska i jak zobaczą, że nic nie robię, tylko panu pomagam, to obetną mi trzynastkę, jak amen w pacierzu - urzędniczka w Państwowym Urzędzie Motoryzacji Ojczyzny była najwyraźniej bogobojna i państwowotwórcza. Teraz dopiero Klewer zrozumiał, co znaczył okrzyk rzucony przez kogoś przed chwilą zza uchylonych drzwi: „Dziewczyny, uwaga, robole idą!”

Ostrzeżenie zostało zresztą zignorowane przez większość siedzących w biurze urzędniczek, które najwidoczniej nie miały sobie nic do zarzucenia, bo tylko wzruszyły ramionami i kontynuowały pilowanie paznokci i przerzucanie się opowieściami o tym, w którym sklepie „rzucili” rajstopy i ile godzin trzeba było po nie stać w kolejce. Natomiast panienka, która zajmowała się Klewerem, i bardzo ofiarnie szperała w kartotekach, najwyraźniej się spłoszyła. Wyglądało to tak, jakby wobec inspekcji należało się wykazać maksymalnym nieróbstwem, jeśli nie chciało się mieć kłopotów. Oczywiście to tylko takie wrażenie - pomyślał Klewer. Ale co dalej? Stracił już tyle czasu, cztery godziny czekania przed drzwiami, na korytarzu Urzędu, w kolejce krzeselkowej, czyli takiej, gdzie ludzie siedzący na krzesłach ustawionych pod ścianą, przesuwiają się z krzesła na krzesło coraz bliżej w stronę drzwi pokoju, w którym mają coś do załatwienia, przy czym kolejka przypomina nie tyle narciarski wyciąg krzeselkowy, co znaną z dzieciństwa zabawę w krzesła, bo kto nie dość szybko usiądzie na następnym krzeselku, tego podsiada inny gracz, a on sam wypada z zabawy. To znaczy z kolejki.

- Proszę pani - rzekł Klewer błagalnie - ale co ja mam teraz zrobić!?

Urzędniczka nie była złą osobą.

- Niech pan idzie do Ubezpieczeń. Oni tam mają nawet komputer, zobaczy pan, że panu znajdą. Prawdę mówiąc, u mnie i tak by się pan niczego nie dowiedział.

- Ale ja przecież nie wiem, w którym towarzystwie ubezpieczeniowym ta osoba jest ubezpieczona!

- To żaden problem. U nas jest tylko jedno towarzystwo. Udzieliwszy tej bezcennej porady urzędniczka łyknęła herbaty, siorbiąc głośniej na znak, że audyencja skończona. Po czym osunęła się głębiej w swoim krześle i zapadła w coś w rodzaju letargo-drzemki, w oczekiwaniu na przybycie inspekcji *robotniczo-chłopskiej*.

Tylko jedno towarzystwo. Ciekawe. W sumie, to lepiej. To ułatwia sprawę. Fajny kraj.

\*\*\*

W jedynym towarzystwie ubezpieczeniowym, reklamującym się olbrzymią, wyblakłą tablicą z napisem „Twoje towarzystwo ubezpieczeniowe” (tak jakby mogło być inne), w *Wydziale Numerów Rejestracyjnych*, również wrzała „praca”. Urzędniczki, natapirowane i uszminowane jak prostytutki, siorbały herbatę, żuły kanapki lub poprawiały urodę nakładając kolejne warstwy pudru.

- Prooszę zaczekać na korytarzu!!! - wrzasnęła jedna z furią na widok uchylających się drzwi, lecz widząc w szparze rękę trzymającą paczkę rajstop, natychmiast się uspokoiła. - Proszę wejść, proszę, bardzo proszę! - powiedziała uprzejmie, słodko i zachęcająco - Pan będzie łaskaw zająć miejsce, czym mogę służyć?

Klewer niedbale położył na biurku rajstopy.

- Mam problem.

- A kto nie ma, ha, ha... Proooszę zaczekać na korytarzu! - wrzasnęła, bo znów uchylily się drzwi, a w nich ukazała się głowa jakiegoś interesanta. Głowa zniknęła w popłochu, a drzwi zamknęły się lekko, leciutko, żeby przypadkiem nie trzasnąć, bo za to można wylecieć nie tylko na korytarz, ale i na ulicę.

- Adres na podstawie numeru rejestracyjnego? - urzędniczka mówiła jakby sama do siebie. - Hmm... W zasadzie nie ma problemu. W zasadzie... - tu efektownie zawiesiła głos.

Klewer natychmiast wyciągnął z torby flakonik wody kolońskiej i postawił na biurku.

Urzędniczka rozpromieniła się.

- W zasadzie powinien pan mieć zaświadczenie z Milicji Obywatelskiej, bo takich informacji nie udzielamy, są to informacje tajne łamane przez poufne, ale w zasadzie... proooszę zaczekać na korytarzu!!! - wrzasnęła machinalnie w stronę drzwi, które znów się uchylały, i zaczęła stukać w klawiaturę komputera.

- No, coś podobnego! Znowu się zepsuł! - wykrzyknęła z wielkim oburzeniem.

Rzeczywiście, mimo że stukała i stukała w klawiaturę, monitor pozostawał ciemny jak komunistyczne miasto po dwudziestej drugiej. Klewer przez chwilę nie wiedział, co zrobić, gdy jednak urzędniczka, wciąż uparcie stukając w klawiaturę, powiedziała sugestywnym głosem:

- Jeszcze pięć minut temu działał doskonale...

Zrozumiał, i znów poszperał w torbie.

Monitor nagle się rozjaśnił.

- No, coś podobnego!? - wykrzyknęła urzędniczka z najwyższym zdumieniem. - Sam się naprawił! W życiu czegoś takiego nie widziałam! Więc jaki to był numerek? - spytała słodziutko, głaszcząc jednocześnie czubkiem buta wtyczkę,

którą właśnie dopchnęła, a która zawsze była wetknięta w gniazdko tak lekko, żeby nie kontaktowała.

Wychodząc Klewer słyszał jeszcze za sobą wrzask: „Prooooooszę zaczekać na korytarzu!!!”

W dłoni ścisnął kartkę. Kartkę z adresem właścicielki pojazdu. Pojazdu, który zniknął za Żelazną Kurtyną wraz z podczepionym pod podwozie metalowym pojemnikiem, przypominającym bombę przeciwpiechotną, i tak jak bomba śmiertelna. Śmiertelna zwłaszcza w przypadku, jeśli się go nie odnajdzie.

\*\*\*

- Panie, idź pan stąd! - wrzasnęła wymuszkana panienka w eleganckim, służbowym mundurku recepcjonistki hotelu „Grand-Victoria” w centrum Warszawy.

Jednak Lucky Santucci to nie był jakiś nieśmiały tubylec. Nie skulił się i nie wycofał przepraszając, tylko obrzucił recepcjonistkę stalowym wzrokiem i spytał jadowicie:

- Nie rozumiem, dlaczego nie macie spisu hoteli? Albo chociaż książki telefonicznej? Albo planu miasta?

- Prrrooooooszę nie podnosić głosu!!! - wrzasnęła panienka  
- bo zawołam bagażowych i każę pana usunąć z hotelu! A uprzedzam, że nigdzie indziej nie znajdzie pan wolnego pokoju!

Santucci machinalnie sięgnął po pistolet, lecz Luciano odciągnął go od recepcji.

- Daj spokój. Poradzimy sobie inaczej.

- Ale co jej się stało? Dlaczego taka wściekła?

- Może ma okres.

- Tu wszyscy mają okres. Albo klimakterium.

Rzeczywiście... od pierwszej chwili, od przygody na



lotnisku, trafiali wciąż na ludzi agresywnych, nieżyczliwych, niechętnych. Zarówno kobiety jak i mężczyźni, więc teoria Santucciiego o klimakterium była tylko chwytem intelektualnym, sposobem wyrażenia swojego zdziwienia. Zdziwienia, ale nie oburzenia. Nie oburzali się, nie brali sobie do serca, byli ludźmi praktycznymi, nie traktowali tych drobnych przeciwności jako upokorzeń. Byli bardziej maszynami niż ludźmi. Maszynami do szybkiego i racjonalnego załatwiania spraw. I ludzi.

Zresztą, czy naprawdę wszyscy tu są tak nieżyczliwi? Gdy po nocy spędzonej na komisariacie w porcie lotniczym wypuszczono ich wreszcie i gdy bezskutecznie próbowali znaleźć taksówkę, dostali się w końcu do śródmieścia tylko dzięki życzliwości. Życzliwości lotniskowych policjantów, którzy za głupie dwadzieścia dolarów podwieźli ich radiowozem prosto pod hotel i jeszcze weszli z nimi do środka, a na przeczący ruch głowy recepcjonisty powiedzieli stanowczo, że pokój musi się znaleźć - i się znalazł.

Jeszcze tego samego dnia gangsterzy rozpoczęli poszukiwania swojej ofiary. „Gdy powieszony urywa się ze sznurka, na ogół nie spada daleko” - ta dewiza życiowa pomogła Santucciemu wykonać niejedno zadanie. Najprościej byłoby obdzwonić hotele, nie ma ich chyba tak znów dużo, w dwie godziny będą wiedzieli, gdzie się zatrzymał. Nazwiska nie zmienił, ma swój autentyczny paszport (o tym swoimi kanałami dowiedziała się „Rodzina”), a tutaj nie może podać zmyślnego nazwiska, tu wszędzie żądają paszportu, państwo policyjne, bardzo dobrze. Więc wystarczy podzwonić. Rzecz wydawała się prosta i banalna, jednak już na początku trafili na nieoczekiwaną przeszkodę. Numery telefonów. Skąd wziąć numery telefonów? Obsługa hotelu nie mogła czy też nie chciała im pomóc, a książka telefoniczna okazała się

przedmiotem nie do zdobycia.

Na razie więc pozostawało chodzenie po mieście, rozglądanie się, pytanie przechodniów, gdzie tu jest jakiś hotel. Przechodnie zresztą na ogół byli o wiele uprzejmiejsi niż obsługa w recepcji. Wielu znało niezły angielski, a z innymi gangsterzy porozumiewali się zwrotami ze słowniczka, kupionego w księgarni polskiej w Paryżu. Natomiast znajomość rosyjskiego na nic się nie przydała, bo każda próba nawiązania kontaktu w tym języku wywoływała u tubylców furie, a w najlepszym razie udawaną głuchotę. A za to, że zagadał do kogoś „tawariszcz”, Santucci omal nie został zlinczowany przez rozjuszonych przechodniów.

Najpierw weszli do hotelu Polonia, który napatoczył im się już przy pierwszym wyjściu na miasto. Hol był pustawy. Tylko w głębi holu, na skórzanych kanapach, siedziało rozbawione towarzystwo: dziewczynki w wieku szkolnym, o rozpuszczonych blond włosach, i grubi, podstarzali panowie o oliwkowej cerze, zapewne wujkowie.

Santucci śmiałym krokiem przemaszerował przez pustą przestrzeń holu i podszedł do recepcji.

- Chciałbym się dowiedzieć... - uśmiechnął się, bo może trzeba taką recepcjonistkę zjednywać. Po raz pierwszy przyszło mu bowiem na myśl, że to on jest petentem, a wszyscy dookoła - panami, których trzeba prosić. Że on stoi niżej w hierarchii społecznej od sprzątaczk. To zresztą nie ubodło jego miłości własnej, na to był zbyt praktycznym człowiekiem, natomiast skłoniło do poszukiwania rozwiązań. Jednym z nich miał być zachęcający, przymilny uśmiech. I podziała!!! Recepcjonistka też się uśmiechnęła. Po czym rozbrajającym gestem rozłożyła ręce, jeszcze zanim Santucci sprecyzował, czego chciałby się dowiedzieć.

- Ja tylko klucze podaję.

- Ale chodzi o drobiazg, o informację. Szukam pewnego człowieka, nazywa się Klewer, Johnny Klewer, przyjechał niedawno, chciałbym wiedzieć, czy może zatrzymał się w waszym hotelu - Santucci mówił szybko, tak szybko, żeby nie zdążyła mu przerwać.

- Ja tylko klucze podaję - ponownie się uśmiechnęła i znów rozłożyła ręce.

- ...Blondyn, średniego wzrostu, wczoraj przyleciał do Warszawy...

- Ja tylko klucze podaję - panienska uśmiechnęła się jeszcze raz i Santucci już pomyślał, że może to jakiś manekin z nagraniem na taśmie jedną jedyną kwestią, gdy dodała: - Po taką informację musi pan się zwrócić do dysponenta pokoi. Ale nie wiem, czy on coś powie bez zgody kierownika recepcji. Zresztą obaj wyszli. Najlepiej jak pan zaczeka, powinni zaraz wrócić, pojechali tylko na naradę do Generalnej Dyrekcji Hoteli. Dwie, trzy godzinki, nie dłużej. No, chyba żeby już dzisiaj nie wrócili, bo zaraz koniec urzędowania (spojrzała na zegar nad recepcją, który wskazywał piętnaście minut po trzeciej).

- Gdzie do jasnej cholery podziały się wszystkie baterie w tym kraju!!! - Santucci usłyszał krzyk swojego współpracownika, noszącego dumny przydomek Big Luciano, który tymczasem, kręcąc się po holu, odkrył za filarem, koło ubikacji, kiosk z gazetami („Trybuna Ludu”, „l'Humanité Dimanche”, „Rude Pravo”, „Neues Deutschland”), pamiątkami z Polski (chińskie wazy, popiersia Lenina, miniaturowe Pałace Kultury, współczesne imitacje rosyjskich ikon) i przydatnymi dla turysty drobiazgami (karty do gry, szachy, warcaby, bierki - wszystko, co wyrabia cierpliwość). - To już ósmy kiosk, w którym nie ma baterii! Co mnie to obchodzi, że nie dowieźli! Albo że fabryka świętuje imieniny Breżniewa! Ja chcę baterie! Mam pieniądze! Zapłacę!

Recepcjonistka uśmiechnęła się wyrozumiale, słysząc tę tyradę, uśmiechnęli się nawet otyli wujkowie, jedynie blondyneczki w wieku szkolnym pozostały obojętne na wszystko. Luciano był naprawdę wściekły. Przez te głupie bateryjki do krótkofalówki dwaj gangsterzy stracili możliwość porozumiewania się i nie mogli działać osobno. Stali się jak przymusowe papużki nierozłączki.

Dysponent pokoi zjawił się jeszcze tego samego dnia. Był uprzejmy i bardzo pomocny.

- Ja sobie wprawdzie nie przypominam - uśmiechnął się, słysząc opis wyglądu Klewera - nazwisko też mi nic nie mówi. Ale sprawdzimy w książce gości. To żaden problem.

Po czym zaczął szperać w papierach rozrzuconych na biurku, podszedł do szafy i długo w niej czegoś szukał, coś przekładał z miejsca na miejsce, coś wertował. Santucci i Luciano najpierw myśleli, że właśnie szuka książki gości, potem patrzyli z nadzieją, że zacznie jej szukać, wreszcie zrozumieli, że nigdy nie zacznie.

- Proszę pana... - Santucci sam się zdziwił, że umie mówić tak pokornym tonem.

- Słucham?

- To może zajrzałby pan do tej książki gości i sprawdził?

- Aaa, chodzi o tego, jak mu tam, Klewera? - przypomniał sobie dysponent. - No przecież mówiłem, że trzeba by sprawdzić w książce gości!

- No właśnie...

- Co „no właśnie”?

- To niech pan sprawdzi, bardzo proszę - Santucci znów uśmiechnął się przymilnie, chociaż wobec faceta to było jeszcze trudniejsze niż wobec panienki w recepcji, zwłaszcza, że miał wielką ochotę wyjąć pistolet, przystawić mu do głowy i szepnąć: „Dawaj tę książkę, bo jak nie, to twój mózg popry-

ska ci garniturek", ale się powstrzymał, bo przyszło mu na myśl, że wtedy ta jakaś tam Generalna Dyrekcja Wszystkich Hoteli, które są zapewne powiązane niewidzialną, biurokracyjną pajęczyną, usunie ich z hotelu Grand-Victoria i da im wilczy bilet i nie będą mieli gdzie spać.

- Ale przecież tłumaczyłem, że książka gości jest u kierownika.

Wcale tego nie tłumaczył. Może dla niego to jest oczywiste?

- No to może niech sprawdzi kierownik...

- Kierownik nie sprawdzi, bo przed chwilą wyszedł, o, właśnie wsiada do samochodu. Proszę przyjść jutro.

\*\*\*

Nareszcie po kilku dniach chodzenia po mieście i zaczepiania tubylców udało im się zdobyć książkę telefoniczną. Co prawda sprzed ośmiu lat, ale tubylec, który sprzedał im ją za pięćdziesiąt dolarów i dwie rolki papieru toaletowego - wynieśli je dyskretnie na jego życzenie z hotelu, zwędziwszy uprzednio z wózka, na którym sprzątaczką trzyma swoje akcesoria - zapewnił, że to nie szkodzi, bo od ośmiu lat i tak hoteli nie przybyło...

Wrócili niosąc książkę jak trofeum, w pokoju zakreślili sobie numery telefonów do wszystkich hoteli i zaczęli dzwonić. Okazało się jednak, że nie jest to takie proste. W pokoju hotelowym mieli aparat telefoniczny, ale bez wyjścia na miasto. Każdą rozmowę trzeba było zamawiać u hotelowej telefonistki. To nie była wielka przeszkoda, właściwie żadna. Gorzej, gdy się okazało, że telefonistka nie chce (nie ma prawa? nie umie?) przyjąć zamówienia od razu na więcej rozmów, niż jedną. A w sprawie następnej rozmowy trzeba znów się z nią połączyć, co wcale nie jest łatwe, jako że wielu gości hotelowych próbuje zapewne gdzieś się dodzwonić i u

telefonistki przeważnie odzywa się sygnał „zajęte”. W ten sposób wykonanie jednego telefonu trwało niewiele krócej, niż gdyby udać się osobiście tam, dokąd się dzwoni.

Mimo to nie rezygnowali. Palce Santucciego zaciskały się nerwowo na słuchawce, gdy po raz nie wiadomo już który wykręcał numer, czekał, czekał w napięciu, a gdy w słuchawce odezwał się głos telefonistki, to było jak wielka wygrana i Santucciego zalewała fala radości, „Tak, chcę się połączyć z numerem na mieście! - wołał. - Tak proszę pani, proszę się nie rozłączać - telefonistka potrafiła czasem, nie wiadomo dlaczego, po prostu się rozłączyć. - Proszę sobie zapisać, chcę rozmawiać z numerem..., odezwie się hotel Atlantic i proszę poprosić z recepcją, nie, nie z recepcją, z „dysponentem pokoi” - poprawił się szybko, pomny przygody w Metropolu.

- To z recepcją czy z dysponentem!? - wrzasnęło w słuchawce. - Pan się zdecyduje! A potem pan do mnie zadzwoni, bo ja nie mam czasu!

- Z dysponentem, *przecież* mówię, że z dysponentem! - krzyknął Santucci rozpaczliwie, ale po drugiej stronie panowała już cisza. Telefonistka się rozłączyła.

Nie ma czasu! Telefonistka nie ma czasu! Dotychczas Santucci myślał, że to jemu się spieszy, że to jego czas jest cenny. Okazuje się, że nie. Że czas telefonistki jest cenniejszy.

Cierpliwie, w nieskończoność, obracał nadłamaną tarczę czarnego, bakelitowego aparatu, tarczę, która lekko się zacięła, i z niepokojem myślał, co będzie gdy tarcza się zatnie na dobre.

Tymczasem Big Luciano, żeby się zrelaksować, trenował szybkie wyciąganie pistoletu z kabury, zawieszanej pod pachą, i celował do różnych przedmiotów, znajdujących się w pokoju. „Pif! Paf!” - i nie ma pomarańczowego klosika lampki nocnej, „pif paf” i rozwalamy dziurkę od klucza wraz z zamkiem,

jeszcze jeden strzał i ze ściany spada wiszący na gwoździu, oprawiony w ramkę niczym dyplom cukiernika, spis mebli i innych przedmiotów będących „na stanie” tego pokoju.

Ta wymaginowana demolka tak go relaksowała, że zestrzelił jeszcze w porywie złości dziwaczne radio, stojące na szafce nocnej, radio, które nie grało, dopóki jeden tubylec nie poradził im, żeby mieli zawsze ze sobą w podróży kawałek drutu, bo w każdym hotelu jest radio, ale bez anteny.

Po dwóch godzinach Santucciemu udało się wreszcie połączyć z hotelem Atlantic (pierwszym na liście), lecz zamiast dysponenta słuchawkę podniósł kucharz i opieprzył go, na czym świat stoi, że restauracja jest nieczynna, bo przecież jest pora obiadu i personel musi spokojnie zjeść, i że trzeba być głabem, żeby tego nie rozumieć.

Restauracja zamknięta w porze obiadu, ciekawe. To trochę jak parking przed hotelem Polonia, niedostępny dla gości hotelowych, a przeznaczony wyłącznie dla obsługi, zwrócili na to uwagę, bo z tego parkingu umknął im kierownik recepcji. Zdziwiło ich wtedy, że parkuje tuż przy głównym wejściu do hotelu, podczas gdy wycieczkowicze drepczą, ciągnąc walizy z autokaru zaparkowanego gdzieś dalej. Chyba cudzoziemcy, bo rozglądali się za bagażowymi. Luciano uśmiechnął się wtedy na ten widok z wyższością, bo on już to przerabiał i wiedział, że bagażowi siedzą zawsze w pakamerze, czyli w przytulnym pokoiku na zapleczu, i słuchają radia. A kto chce skorzystać z ich usług, musi tam pójść i poprosić.

Tarcza się w końcu zacięła. Luciano chodził osiem razy do recepcji i prosił, żeby naprawili bądź wymienili aparat, a recepcjonista za każdym razem zapisywał sobie w wielkim zeszycie, że trzeba to zrobić i obiecywał, że zaraz „otworzy zlecenie na naprawę sprzętu telekomunikacyjnego” (cokolwiek by to znaczyło), a dwaj gangsterzy czekali na przybycie kogoś,

kto naprawi lub wymieni telefon, ale po jakimś czasie zrozumieli, że nikt nigdy nie przyjdzie, nie naprawi ani nie wymieni. Zażądali, by dano im inny pokój, ale okazało się to z niejasnych przyczyn niemożliwe, próbowali też wymusić na obsłudze hotelu, by pozwolono im telefonować z pokoju kierownika recepcji, ale i to było niewykonalne, bo kierownik wyjechał na szkolenie do Związku Radzieckiego, i zabrał klucz.

\*\*\*

- Przemalowała pani samochód?

- Nie, tamten mi ukradli... Ale skąd pan wie? - młoda kobieta spojrzała na Klewera podejrzliwie. Siadali właśnie do jej auta, które było takie samo jak to, pod które Klewer podczepił pojemnik z białym proszkiem. Takie samo, ale nie TO samo, i Klewera przeszły ciarki.

- Jak to ukradli?

- Zwyczajnie, ukradli.

-I co?

-I nic.

- Policja nie znalazła?

- Nawet nie zgłaszałam, szkoda czasu. Jeszcze się nie zdarzyło, żeby odnaleziono skradziony samochód.

Klewer zbladł. Wszystko na nic! Tyle trudu. Podróż, szukanie po urzędach, wkradanie się w łaski młodej kobiety (podał się za polonijnego biznesmena poszukującego kontaktów do założenia spółki joint-venture) i wszystko na nic! Pojemnik przepadł jak kamień w wodę. Jeszcze do tej chwili odzyskanie go wydawało mu się możliwe. Lecz teraz się załamał. A utrata pojemnika oznacza utratę życia. Wiedział o tym. Wiedział, że depczą mu po piętach ludzie Szefa, widział ich w samolocie, a



potem na lotnisku. Ostatnio stracił ich z oczu, ale jest pewien, że gdzieś są i czuwają. Od wyroku nie ma odwołania. To nie jest oficjalny wymiar sprawiedliwości, ale za to szybki i skuteczny. Szef i tak okazał dużo wyrozumienia, pozwalając mu podjąć próbę odzyskania pojemnika, oczywiście nie z litości, tylko dlatego, że miał jednak nadzieję, że odzyska towar. Co teraz? Ukryć się, schować w mysią dziurę? Znajdą go. Szukać nadal pojemnika, odnaleźć skradziony samochód? Jak, skoro nawet miejscowa policja tego nie potrafi?

- Może jednak udałoby się jakoś odzyskać ten samochód?

- Po co? Był ubezpieczony, zresztą niewiele jest wart.

Klewer miał ochotę powiedzieć, że wart jest tyle, co kilka nowiutkich mercedesów, lecz ugryzł się w język. Kobieta wyglądała na miłą i serdeczną, ale dopuszczenie jej do tajemnicy nie wchodziło w rachubę. Przynajmniej na razie. Trzeba ją rozgryźć, wyczuć, na ile można jej zaufać. Potem dopiero można by podjąć jakieś kroki. Może wejść w kontakt z miejscowymi złodziejami samochodów? Zdziwią się, że chce odzyskać takiego grata i zaczną coś podejrzewać, może nawet znajdą pojemnik. O ile już go nie znaleźli!

Renata - tak brzmiało imię młodej kobiety - rzeczywiście była miła i serdeczna. Okazała się przyjemną towarzyszką spaceru po Warszawie, opowiadała (całkiem niezłą angielszczyzną) o swoim życiu tutaj. Prowadziła sklepik z galanterią skórzaną, prywatny sklepik, czyli była „kapitalistką w antykapitalistycznym kraju”, jak ze śmiechem sama siebie nazywała. Sklepik prosperował dobrze, kluczem do sukcesu było kupowanie za grosze wielkich ilości dzieł Lenina, których bogate, oprawione w skórę edycje były dotowane przez państwo. Następnie w pracowni na zapleczu sklepiku „obdzierano Lenina ze skóry”, czyli zrywano okładki, odzyskiwano skórę i robiono z niej torby, portfele, rękawiczki, kurtki.

Renata opowiadała o tym ze śmiechem.

- Tak mi pani o tym po prostu opowiada, a nie boi się pani, że mógłbym donieść komunistom? Przecież takie robienie użytku z Lenina to dla nich chyba świętokradztwo?

- Oni wszyscy siedzą u mnie w kieszeni. - uśmiechnęła się beztrząsco. - Ich żony dostają ode mnie w prezencie torebki.

Klewer też się uśmiechnął. Dobrze się czuł w jej towarzystwie, udało mu się nawet na moment zapomnieć o grożącym mu, śmiertelnym niebezpieczeństwie.

\*\*\*

- A gdyby tak skontaktować się z Szefem, i poprosić go o instrukcje? - w luksusowej restauracji luksusowego hotelu Grand-Victoria Lucky Santucci i Big Luciano siedzieli przy stoliku i próbowali zwrócić na siebie uwagę ospałego kelnera, który snuł się po sali. Byli zmordowani. Kilkudniowe ganiecie po hotelach, a zwłaszcza bezskuteczne wydzwanianie, porządnie ich zmęczyło. Ich wygląd nie był już tak idealny, byli trochę rozczochrani, obaj mieli twarze błyszczące od potu, przetłuszczone i sklezione włosy (w hotelu nastąpiła awaria i przez cały dzień nie było wody). Ich buty były wprawdzie wypastowane (mieli swoją pastę), ale ubrania wygniecione (nie mogli się doprosić, żeby obsługa hotelu je wyprasowała, proponowano im natomiast wypożyczenie żelazka za kaucją, ale nie mieli czasu ani chęci sami prasować, zresztą nie było prądu, więc do czego mieliby to żelazko podłączyć?). Gorzej, że nadszarpnięty został nie tylko ich wygląd, ale i psychika. Santucci przychwycił się na tym, że miewa jakieś ukłucia niepokoju. Niepokoju! On, Santucci! O przydomku „Lucky”, Szczęściarz, bo wszystko mu się zawsze udaje!

- A co do Szefa... hmm. Może lepiej na razie go nie alar-

mować? Wyobrażasz sobie, jakby się wściekł, gdyby się dowiedział, że nie umiemy sobie poradzić? I to z tak banalnym zadaniem? Zresztą, co on by nam mógł doradzić, jakie mógłby nam dać instrukcje, on nie wie tak naprawdę, co się tu się dzieje. Jak to wszystko wygląda z bliska. A poza tym, przyjacielu, jak masz zamiar się z nim skontaktować? W recepcji powiedzieli, że na połączenie z zagranicą trzeba czekać od czterech do piętnastu godzin.

- Niemożliwe. Musiałeś źle zrozumieć.

- Traty taty. Źle zrozumieć. Akurat. Przystudiowałem dokładnie „rozmówki polskie dla cudzoziemców” i wykułem na pamięć podstawowe zwroty: „nie ma, zepsute, remanent, wyszłem, przyjęcie towaru...”

I znowu. I znowu ukłucie. Właśnie w chwili, gdy była mowa o ewentualnym telefonicznym połączeniu się z Szefem. Nie tylko ukłucie, ale i dziwaczne, bardzo niepokojące odkrycie: Santucci zdał sobie sprawę, że niepokoju, że tego drobnego ukłucia, nie wywołała wcale perspektywa gniewu Szefa, bossa całej Rodziny, pana i władcy życia i śmierci każdego z żołnierzy takich jak on i każdego z kurierów takich jak Klewer, tylko... myśl o tym, że trzeba będzie znowu telefonować!

Zaraz się pocieszył, że to jednak w pewnym stopniu jest zrozumiałe, albowiem od kilku dni *żyją* tylko telefonowaniem. Ich przygody nie skończyły się na próbach dzwonienia z pokoju hotelowego. Po tym jak tarcza się zacięła, wpadli na prosty pomysł, aż dziwne, że przedtem nie przyszło im to do głowy: udali się na główną pocztę, dwie ulice dalej, kupili (prawie bez kolejki!) pięćdziesiąt żetonów telefonicznych i weszli do sali, gdzie ujrzeli całą ścianę pełną automatów telefonicznych. Chyba ze dwadzieścia! Do jednego z nich stała olbrzymia kolejka, kilkadziesiąt osób.

„Czemu wszyscy stoją w kolejce do jednego aparatu? Dur-

nie. Instynkt stadny. Komunizm zrobił z nich jakieś żałosne, śmieszne mutanty. Pewnie rząd im nakazał, że należy korzystać tylko z jednego aparatu, to ma wyrabiać w nich kolektywizm. Albo się boją, że ten, który odejdzie do innego aparatu zostanie posądzony o przekazywanie jakichś tajnych informacji. O spiskowanie przeciwko komunistom. Dlatego wołają się wszyscy nawzajem podsłuchiwać..." Santucci niczego się nie bał, więc spokojnie podszedł do jednego z kilkunastu wolnych aparatów. Podniósł słuchawkę. Wykręcił numer. Lekko zacinając się, ale sprawną, obrotową tarczą. W słuchawce rozległ się zachęcający sygnał, lecz po dwóch dzwonek ustąpił miejsca kakofonii, w której, gdyby Santucci znał język polski, mógłby rozróżnić zegarynkę, horoskop Azteków, izbę wytrzeźwień oznajmującą, że dzisiaj miejsc już brak, wreszcie automatyczną sekretarkę witającą pięknym, męskim głosem „tu Komenda Milicji Obywatelskiej. W razie nagłego zgłoszenia proszę zostawić wiadomość po sygnale..."

Santucci nie nalegał i przeszedł do następnego aparatu. Jeszcze zanim zaczął wykręcać numer, w słuchawce usłyszał wyraźną rozmowę po angielsku:

- Halo, szefie! To ja, James Bond! Jest tu ze mną Rambo, i Schwarzenegger, i wszyscy trzej nie możemy się stąd wydostać! Zabukowaliśmy się na piętnastego, w Matkę Boską Gromniczną, ale po ostatniej awarii podwozia miejscowe linie lotnicze odesłały do przeglądu wszystkie trzy samoloty dalekiego zasięgu. Tak. Słyszysz mnie pan, szefie? Ja pana nie słyszę, ale będę mówił dalej, tak jakby pan słyszał, bo tu często słychać tylko z jednej strony. No więc tak: ponieważ Rosjanie nie mają akurat żadnych wolnych maszyn, żeby im sprzedać, pozwolili im wyjątkowo wyczarterować jedną maszynę od Amerykanów. I ta maszyna ma latać na linii Warszawa - Nowy Jork. I moglibyśmy skombinować miejsca na pierwszy lot,

dzięki Arnoldowi, który sypia z jednym kasjerem z tutejszej linii lotniczej. Tak. Ale kłopot z tym, że Amerykanie wprawdzie wypożyczyli im ten samolot, ale nie zgadzają się, żeby lądował w Stanach, bo to jest DC wyprodukowany w tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym drugim roku i nie spełnia jakichś norm. Więc pomyślałam, że może szef mógłby coś zadziałać w Waszyngtonie, w Departamencie Stanu, żeby amerykańska Administracja pozwoliła im wyjątkowo przynajmniej na to jedno lądowanie, bo inaczej - tu męski głos Jamesa Bonda przeszedł w płacziwy, histeryczny falset - szefie, na litość boską, na rany Chrystusa, niech pan coś zrobi! Niech pan coś zrobi, bo my niedługo wylądujemy w zakładzie dla psy... - głos Jamesa oddalał się, przy- cichał, lecz oto nadeszła odpowiedź, z szybkością kawalerii amerykańskiej, która zawsze zdąża na czas:

- Odrzuć troski, zrelaksuj się, wszystko będzie dobrze! Jeśli czujesz się znerwicowany, jeśli nic ci się w życiu nie udaje, porozmawiaj z naszą Lolitą. Nikt was nie słyszy, możesz być szczery i zwierzyć się ze swych pragnień. „Ding!”, zadźwięczał gong, po czym miły kobiecy głos kontynuował zachęcająco - tu Paryż, Różowa Służba - sieć usług „sex przez telefon”. Zwierz się ze swoich pragnień! - I znów jakieś trzaski, szmery, i wypłynął głos Jamesa Bonda, daleki, przydu- szony, szklisty, jakby dochodził z samego dna oceanu: „Mam tylko jedno pragnienie!!! Pragnę stąd uciec!!! Hallloooąą? Szefięęę???”

Nagle rozległ się gwizd, tak ostry, że Santucci odruchowo odsunął słuchawkę od ucha i uderzył jakąś panią, która akurat przechodziła obok.

Przeprosił i przeszedł do następnego aparatu. W tym telefonie monotony głos, najwyraźniej nagrany na taśmę, powtarzał tylko dwa słowa: „Rozmowa kontrolowana. Rozmowa kontrolowana”, ale żadnej rozmowy być nie mogło,

bo aparat nie reagował, tylko wciąż powtarzał te dwa wyrazy, których Santucci nie rozumiał. Ale jedno zrozumiał dokładnie. Nie podszedł już do żadnego z pozostałych kilkunastu wolnych aparatów, wiedział, że też są nieczynne. Ciężkim krokiem udał się na koniec kilkudziesięcioosobowej kolejki stojącej do jedyne go czynnego telefonu i ustawił się jako ostatni. Z kolejki powędrowało ku niemu kilka ironicznych spojrzeń. Nagle, wbrew sobie, pomyślał, że zanim w tej kolejce doczeka się chwili, w której będzie mógł zadzwonić, ten aparat się TEŻ zepsuje, lecz zaraz skarcił się sam za tę myśl. Nie wolno! Nie wolno dopuszczać nawet odrobiny zwątpienia. Zwątpienie zabija. Porażka jest dopuszczalna, zwątpienie nigdy! Tak ich uczył psycholog na kursach przetrwania. Na tych kursach przechodzili różne próby, polegające na tym, że trzeba coś robić, a kiedy już się wydaje, że jest to zrobione, to nagle wszystko się wali, sypie, i człowiek wraca do punktu wyjścia (nazywało się to, nie wiadomo dlaczego, testem Syzyfa, może na cześć naukowca, który ten test opracował). Nie wolno było wtedy okazać zniecierpliwienia, tylko należało spokojnie robić to samo od nowa. I tak w kółko. Aż się uda. Na testach zawsze się w końcu udawało. W dotychczasowym życiu też. Więc i tu się uda.

Nie udało się jednak. Przynajmniej nie przez telefon. Pozostawało więc wrócić do obchodzenia hoteli. I to właśnie robili od kilku dni, na razie, niestety, bez skutku.

„Taaak... Szef... Co tam Szef, on jest daleko, ale telefony... telefony są blisko...” - myślał Santucci, rozglądając się za kelnerem, który znowu gdzieś zniknął, i nagle poczuł, że jest strasznie głodny. Głodny i niespokojny. To, co usłyszał w jednym z zepsutych telefonów na pocztę, do głębi nim wstrząsnęło. Nie dlatego, że ktoś tam ma kłopoty, jakiś Rambo czy James Bond, tylko coś całkiem innego. Ten Rambo czy James

Bond to mogły być, i zapewne były, pseudonimy jakichś gangsterów czy szpiegów, pies ich drapał. Mają kłopoty? Dobrze im tak. Może zresztą nie są to żadne pseudonimy, a cała rozmowa jest sfigowana, jest żartem jakichś dowcipnisiów, którzy w ten sposób się bawią, podłączają się do sieci telefonicznej i robią różne kawały. To też jest bardzo możliwe. Ale Santuccim wstrząsnęło co innego. Wstrząsnęła nim myśl, która, gdy trzymał słuchawkę przy uchu, spontanicznie przyszła mu do głowy, a która była tak absurdalna, że w normalnych warunkach nie powinna się załęgnąć w jego zdrowym, racjonalnym mózgu: czyżby fikcyjni bohaterowie - Rambo i Bond - wyszli z książek i filmów i mieli w tym kraju kłopoty? Myśl była tak głupia, że zaraz ją odgonił, ale sam fakt, że taka idiotyczna myśl go naszła, zaniepokoił go w najwyższym stopniu. Czyżby tracił rozum??? Swojego czasu przeszedł testy psychologiczne, i wynikało z nich, że jest stabilny emocjonalnie, odporny na stres, nie ma skłonności do rojeń, że ma osobowość silną, mocno ukształtowaną i nie jest podatny na sugestie. Zresztą nie zostałby kimś w swoim fachu, gdyby nie był odporny na wszelkie przeciwności, komplikacje, nieprzewidziane przeszkody. Jak to możliwe, że wystarczyło kilka dni, a już cierpi na jakieś zachwiania równowagi psychicznej?

Przychodziło mu do głowy jeszcze inne wyjaśnienie tajemniczej rozmowy Jamesa Bonda, równie niepokojące: nie było żadnej rozmowy. Halucynacja. Sen na jawie. Jego umysł jest już na tyle zmacony, że tworzy sobie wizje, przy czym należy zaznaczyć, że nie wchodzi tu w grę żadna wizja narkotyczna, gdyż Santucci, chociaż robi w tej branży, sam nigdy nie *zależy* środków halucynogennych. Myśl o tym, że mógłby mieć wizje, jak jego klienci narkomani, o których nigdy inaczej nie mówił jak o głupich, bezwolnych szmatach, była tak

przerazająca, że Santucciego przeszły ciarki, chociaż nie boi się niczego, nawet duchów. Ale boi się szaleństwa.

Czy Big Luciano, jego towarzysz, przeżywa podobne lęki? Chyba tak, bo gdy szedł się użerać z recepcjonistką to miał minę jak sztubak, który coś przeszkrobał i idzie się teraz tłumaczyć przed dyrektorem.

Wreszcie kelner raczył się zjawić, i przyniósł nawet nie-najgorsze jedzenie: befsztyk z polędwicy, kawior, wędzonego lososia i olbrzymie, monstrialne melby zwieńczone miniaturkami chińskich parasolek. I, chociaż zamawiali coś zupełnie innego, to nie protestowali, w obawie, że wymiana potraw na te, które zamówili, potrwa jeszcze drugie tyle. Żwawo wzięli się do jedzenia.

- Patrz! - krzyknął nagle Santucci, a Luciano aż się wzdrygnął i wypuścił z ręki widelec, co też nie było dobrym sygnałem, bo świadczyło o nadszarpniętych nerwach. Zaraz jednak obaj się uspokoili.

Takie zbiegi okoliczności się nie zdarzają! A jednak ten się zdarzył. Co za ulga! No, teraz tylko nie zgubić go znowu!!! Drugi raz takiej szansy nie dostaną.

Rzeczywiście, był to dla nich wyjątkowy uśmiech losu, a dla Klerwera ewidentny pech, że wszedł akurat do tej, a nie innej restauracji. Pech, ale może również przeznaczenie, jako że restauracji czynnych po dwudziestej pierwszej w Warszawie było zaledwie kilka i prędzej czy później musieliby się na siebie natknąć. W każdym razie nie było to ze strony Klewera ostrożne, że w ogóle pokazywał się na mieście, powinien był raczej jadać posiłki w ukryciu. Najwyraźniej chęć zabrania uroczej znajomej na romantyczny posiłek przy świecach przyćmiła jego umysł i zakłóciła instynkt samozachowawczy.

Podczas gdy Klewer, który ich nie zauważył, siadał ze swoją towarzyszką dosłownie kilka stolików dalej, dwaj gangsterzy



przygotowywali się gorączkowo do szybkiej akcji. Zlikwidować go na miejscu? Nie, zanim się go zlikwiduje, trzeba z niego wycisnąć informację, czy odzyskał towar, i oczywiście ten towar odebrać. A więc porwanie.

Żeby mieć wolne ręce, musieli natychmiast uregulować rachunek. Żarty się skończyły. Santucci pstryknął palcami na przechodzącego kelnera.

- Za takie „pstryk!” to możesz w mordę dostać, cwaniaczku!  
- warknął kelner, któremu nagle wzrok i słuch się wyostrzył, i tak jak przedtem udawał, że ich nie widzi i nie słyszy, tak nagle zjawił się przy ich stoiku i stanął nad nimi w groźnej postawie.  
- No, co się gapisz!?! Chodź na zaplecze, to pogadamy! Ty szacunku nie masz dla klasy pracującej, ty chamie! Pstrykać to se możesz na żonę!

Na szczęście Santucci nic z tej przemowy nie zrozumiał, poza tym, że kelner ma do niego jakieś pretensje. Ale jakie pretensje może mieć kelner? Owszem, widział już nieraz kelnerów bezczelnych, nonszalanckich, zwłaszcza w Paryżu, na ogół jednak zachowywali się tak wtedy, kiedy ktoś zamawiał niedrogie dania lub wyglądał na takiego, który da mały napiwek. Ale tu o żadnym skromnym zamówieniu nie było mowy, dostali przecież najdroższe dania, i chcieli za nie zapłacić, o napiwku też by nie zapomnieli. Widział też nieraz kelnerów leniwych, w różnych krajach trzeciego świata, ospałych południowców, którym się nic nie chce. Ale wszystko to było inne, jakieś bardziej zrozumiałe, bardziej ludzkie. Upał, przepracowanie, nerwowa bieganina wśród gości. Tutaj natomiast kelnerzy naprawdę nie wyglądali na przepracowanych. Zresztą jakie to ma znaczenie? Ważne jest jedno: nie wypuścić teraz za żadne skarby Klewera z ręki. Choćby nie wiem co!

- Rachunek! Rechnung! L'addition! II conto pręgo! - krzyknął na kelnera Big, na co kelner wzruszył ramionami i zniknął

na zapleczu.

- Ty zostań i zapłać, a ja idę szukać taksówki. Gdyby wychodzili, zawiadomisz mnie przez krótkofalówkę. - Santucci wstał, szybko wyszedł z restauracji do holu hotelowego i skierował się do wyjścia na ulicę.

Już dawno zrezygnowali z prób wypożyczenia samochodu, chociaż w każdym hotelu był oddział „rent a car”, ale zawsze albo zamknięty, albo bez samochodów, bo zabrakło, a jak już oddział był otwarty, i były samochody, to żądano od nich wyników aktualnych badań lekarskich, potwierdzenia z konsulatu, że mają prawo jazdy, a nie falsyfikat, metryki urodzenia przetłumaczonej przez tłumacza przysięgłego i zalegalizowanej w Ministerstwie Transportu Ludności, i najrozmaitszych innych zaświadczeń i potwierdzeń, których zdobycie trwałoby tygodniami. Pozostawały taksówki.

Luciano, który został przy stoliku, wyciągnął z kieszeni krótkofalówkę. Dobrze, że mogą się już porozumiewać. Udało im się bowiem wreszcie zdobyć baterijki. Jak? Można powiedzieć, że cudem. Przechodzili koło jakiegoś sklepu i zobaczyli dziwne poruszenie wśród przechodniów, i trochę z ciekawości podeszli bliżej, za nimi ustawił się tłum i nagle ktoś szepnął, że kupi od nich to miejsce w kolejce. „Dobrze, za komplet baterii” - odpowiedział przytomnie Luciano. Tubylec zniknął, a po dłuższej chwili wrócił, wyciągnął zza pazuchy japoński aparat fotograficzny, wyjął z niego baterie i wręczył im.

Kelner wreszcie przyniósł rachunek, dość fantazyjny (figurowały w nim trzy befsztyki i osiem porcji kawioru), ale Big nie miał czasu się spierać o drobiazgi, wyciągnął z kieszeni plik banknotów, odliczył kilka, rzucił na stół i powiedział wspaniałomyślnie:

- Reszty nie trzeba.

- Co ty se żarty stroisz, dziadu? - kelner spurpurowiał ze złości - masz zapłacić szesnaście tysięcy, a nie sto sześćdziesiąt. Co za ludzie, jak Boga kocham!

Big wyrzucił kieszenie i wyłożył na stół całą ich zawartość. Były to sterty banknotów dwudziestozłotowych.

Kelner wzruszył ramionami.

- To jest akurat na wodę mineralną - for mineral wasser only! - dodał, żeby nie było wątpliwości.

- Ależ ja za to dałem dwieście dolarów... - Luciano urwał, bo teraz przypomniał sobie transakcję, którą załatwiali dzięki przygodnie poznanym tubylcom, transakcję wymiany dolarów na złotówki po wyjątkowo korzystnym kursie. Tubylcy budzili zaufanie, byli dobrze ubrani, mieli pewne siebie miny i drogie samochody, i zupełnie nie wyglądali na oszustów, a jednak...

- Ty frajerze - zazgrzytał zębami kelner. - Trzeba było wymienić u mnie. Ja bym cię aż tak nie oszukał...

Luciano wyjął z kieszeni kartę kredytową, lecz kelner się skrzywił.

- A idź pan w cholerę z tym świństwem! Kiedyś też był taki klient... napisaliśmy mu na tym sumę, pieczętkę przystawiliśmy, jak trzeba, a on jeszcze marudził. No, to skombinowaliśmy taki dziurkacz konduktroski i przedziurkowaliśmy mu tę kartę, jak bilet kolejowy, a on w krzyk! Musieliśmy mu w końcu dać w mordę. To niepraktyczne, te karty...

Tymczasem do restauracji powrócił Santucci, któremu nie udało się wyjść przed hotel, bo portier gdzieś sobie poszedł i zamknął drzwi, żeby podczas jego nieobecności nikt się w te i we wte nie szwendał.

Luciano wstał od stolika i zwrócił się do kelnera:

- Ja pójdę po gotówkę, a kolega tu zostanie jako zakładnik, zgoda? - wyczytał łamaną polszczyznę zdanie z rozmówek polskich dla cudzoziemca, z rozdziału „w hotelowej

restauracji", które akurat znakomicie pasowało do sytuacji w jakiej się znaleźli (autorzy podręcznika dobrze widać znali realia) - po czym odwrócił się do Santucciego - gdyby wychodzili, to dasz znać, dobra?

Santucci skinął głową, wyjął dyskretnie z kieszeni krótkofalówkę i położył na serwetce, rozpostartej na kolanach.

Luciano poszedł do recepcji po pieniądze. Kwota, którą stracili na nieszczęsnej wymianie, była oczywiście niewielka, większość gotówki mieli przezornie zdeponowaną w hotelowym sejfie. Gotówka to grunt, wiedzieli o tym, zwłaszcza w krajach, gdzie nie znany jest obrót czekowy ani - o czym się dobitnie przekonali - nie są popularne karty kredytowe.

\*\*\*

Oczy dziewczyny patrzyły życzliwie, było w nich trochę sympatii, a trochę jakby ironii czy może pobłażliwości, lecz nie złośliwej tylko ciepłej i przyjaznej.

- Jeżeli panu tak zależy, możemy spróbować...

- Nawet pani nie wie, jakie to dla mnie ważne.

- A czy nie może mi pan wyjaśnić, dlaczego...

- Wolalbym nie. To są sprawy, o których nie tylko nie mogę, ale też i nie pragnę opowiadać. To dotyczy życia w innym świecie. I nie ma nic wspólnego z tym krajem, ani z pani samochodem, ani oczywiście z panią. To znaczy z pani samochodem ma, ale czysto przypadkowo. Gdybym opowiedział, to naraziłbym na niebezpieczeństwo siebie, panią, a przede wszystkim mógłbym stracić w pani oczach, a tego nie chcę.

Renata uśmiechnęła się leciutko. Czy przejrzała jego grę? Wyglądała na osobę inteligentną, ale u kobiet zawsze się tak z początku wydaje, pomyślał Klewer. Sam nie był co prawda pewien, czy jego przemowa była aż tak subtelna, jak mu się w

pierwszej chwili wydawało. W zasadzie było to sprytne - trochę tajemniczości, „nie mogę ci zdradzić”, jakieś sprawy sekretne, może szpiegowskie, może polityczne, może gangsterskie, no, a jednocześnie „nie chciałbym stracić w twoich oczach”, czyli, inaczej mówiąc, „podobasz mi się i zależy mi na tobie” - która kobieta czegoś takiego nie połknie? Zwłaszcza, gdy pada to z ust przystojnego, było nie było, mężczyzny. I jeśli jest wolna. O tym, że jest wolna, przekonał się dość szybko. To, że nie nosi obrączki, oczywiście o niczym nie świadczy, ale że zgodziła się bez wahania na spotkanie, że nie spogląda niecierpliwie na zegarek, że... a poza tym... czuł to. Czuł jakieś dobre wibracje, czuł się przy niej spokojny, nie onieśmielony, przeciwnie, rozmowa szła mu łatwo, a słów nigdy nie brakowało.

Kelner przyniósł wielkie melby z bitą śmietaną i z owocami, polane obficie ajerkoniakiem i zwieńczone miniaturami chińskich parasolek.

\*\*\*

- A co mnie to może obchodzić, że dyrektor wyjechał na urlop!?! - W holu hotelowym Luciano, wściekły, z bezbrzeżnym zdumieniem w oczach, karciał recepcjonistę - powinien wam przecież zostawić szyfr!

- Zostawił - odparł spokojnie recepcjonista.

- No więc? W czym problem?

- Sejf jest zaplombowany - wyjaśniał spokojnie recepcjonista - i mamy zakaz otwierania go pod nieobecność przełożonego - położył przed Bigiem trzy kartki papieru, dwie kalki i długopis - proszę napisać podanie, w trzech egzemplarzach, a Dyrekcja Hoteli rozpatrzy i jeżeli ustosunkuje się pozytywnie, to przyśle komisję, która otworzy sejf komisyjnie...

- Co mi pan tu wygaduje? Co mnie to wszystko obchodzi?

Mam to gdzieś! Zdeponowałem u was dwa tysiące dolarów i mam prawo je podjąć kiedy mi się żywnie spodoba!

Za jego plecami przeszli Renata i Klewer. Skierowali się do drzwi wyjściowych, teraz znów otwartych, gdyż portier wrócił już z drzemki.

\*\*\*

- Santucci wzywa Luciano. Santucci wzywa Luciano. - Lucky Santucci, pochylony, z ustami tuż przy krótkofalówce, której małą, teleskopową antenkę rozsunął pod stołem, szeptał konspiracyjnie: - Luciano, zgłoś się. Wychodzą. Wychodzą. Odbiór.

Odpowiedzi jednak nie było. Lucky wyjął aparat spod obrusa, poruszył antenką, skierował ją w stronę holu, przekręcił potencjometr do oporu i mówił głośniej:

- Big, słyszysz mnie? Big, odbiór!

Znów cisza. Dlaczego? Przecież to doskonały sprzęt, wcale nie potrzeba głośno mówić, wystarczy szeptać, zasięg ma do trzystu metrów, nawet przez ściany, wielokrotnie to sprawdzali i zawsze działało. Manipulował przy wyłączniku, potrząsał aparatem, ostukiwał go, przystawiał do ucha. Krótkofalówka milczała.

- Co się dzieje?

Santucci zerwał się z miejsca. Mniejsza o rachunek, kelner znowu gdzieś zniknął, jego problem. Santucci ruszył biegiem do drzwi, lecz z zaplecza wyskoczyło nagle kilkunastu kelnerów i zagroziło mu drogę. Skąd się wzięli? Co tam robili? Przecież po sali kręcił się tylko jeden. Zresztą, nieważne. Trzeba się przez nich przedrzeć. Brzuchaci, wąsaci, z papierosami w dłoniach, lekko się zataczający i zionący alkoholem, nie stanowili dla gangstera przeciwników. Nawet w pojedynkę, bez



zrozumiał. Tygrysim skokiem rzucił się w stronę drzwi. Wskoczył przed hotel właśnie w chwili, gdy Klerwer i jego towarzysza odjeżdżali. Roztrącił grupkę tubylców, w których rozpoznał handlarzy walutą, a którzy na widok jego furii przezornie umknęli za róg budynku, lecz on nie zwrócił na nich uwagi. Zatrzymał się na brzegu chodnika, władczym gestem wyciągnął rękę i krzyknął:

- Taxi!!!

Kilkadziesiąt osób, które czekały nieopodal w kolejce po taksówkę, odwróciło się i wybałuszyło oczy. Ktoś wzruszył ramionami, ktoś postukał się w czoło, jakiś młody człowiek skomentował, że widział kiedyś „jak tak robią, na zagranicznym filmie”.

- Taxi! Taxi! - Luciano darł się coraz głośniejszym głosem, a z jego głosu przebijała nutka rozpacz.

Miotał się przed hotelem, i właśnie w tym momencie, kiedy już naprawdę nie wiedział co robić, podszedł do niego niski, krępy facet, w jakiejś dziwnej czapce z daszkiem nasuniętym na czoło, i wychrypiął:

- Taksimercedes cfańzyk dolar? -I mrugnął przy tym konspiracyjnie.

- Yes! Yes! Taxi!!! - krzyknął entuzjastycznie Big, tak głośno, że cała kolejka znów się odwróciła w jego stronę. Krępy facet wziął go poufale za łokieć i odciągnął w stronę zaparkowanego nieopodal najnowszego modelu mercedesa. Ruszyli akurat na czas, by w perspektywie ulicy dojrzeć jeszcze niebieskiego fiata.

\*\*\*

- Jeżeli gdzieś go można odnaleźć, to chyba tylko tu - Renata wskazała niekończące się rzędy używanych samo-



chodów zaparkowanych jeden przy drugim, przeważnie tej samej marki, czyli produkowanych w Polsce fiatów, z których każdy miał za szybą karteczkę z kilometrażem, datą produkcji i ceną. - To giełda używanych samochodów. Tutaj każdy może sprzedać lub kupić samochód i nie musi się przed nikim z niczego tłumaczyć. Są tu dwa rodzaje samochodów - tłumaczyła cierpliwie - kradzione oraz takie, które komuniści dostają na przydział i zaraz odsprzedają po potrójnej cenie. Te też są na swój sposób kradzione.

„Co za wyczucie etyki”, pomyślał Klewer, lecz nie powiedział tego głośno. „Gdybym tu mieszkał, do której kategorii bym należał? Zwykłych złodziei czy komunistów? Chyba to drugie się bardziej opłaca”. Głośno zaś powiedział:

- No to szukamy.

- Szukamy? Ale jak? Przecież on jest na pewno przemalowany, ma zmienione numery, jeżeli nawet stoi pośród tych setek tutaj, to... pamięta pan baśń o Ali Babie i czterdziestu rozbójnikach? Bandyci robią krzyżyk kredą na drzwiach domu, w którym mieszka ten, kogo mają zabić, a bystra służąca, Fatima, zaraz robi takie same krzyżyki na wszystkich innych domach i od tej chwili dom jej pana jest schowany lepiej, niż gdyby go zasypiano ziemią...

- Ale ja mam pewien sposób, którego nie mieli rozbójnicy...

- rzekł tajemniczo Klewer. Podeszedł do pierwszego fiata z rzędu, pochylił się i zajrzał pod podwozie.

\*\*\*

- Jesteś pewien, że to tutaj? - Lucky nieufnie spoglądał na Biga, który, masując z roztargnieniem podbite oko, wskazał ruchem brody uroczą, białą willę tonącą w zieleni ogrodu.

- No masz! Wróciłem stąd wczoraj wieczorem na piechotę i

wyrysowałem dokładnie całą trasę.

- Hmm - Lucky miał wątpliwości. Wprawdzie nie wątpił w umiejętności kartograficzne Biga, te były zapewne całkiem spore, w końcu mieli przetrenowane robienie map w dżungli, orientowanie się w terenie bez mapy, ustalanie i zapisywanie tras, nie mówiąc już o takich banałach jak określanie stron świata wszystkimi możliwymi metodami. Nie. Jego wątpliwości budziło coś innego. Otóż na kartce, na której Big wyrysował trasę, widniały jakieś dziwne rysunekzki. Po bliższym przyjrzeniu Santucci dostrzegł, obok rysunekzków, maleńkie kolumny cyfr. „Co to znaczy?” - pomyślał, lecz nie powiedział tego głośno. Postanowił tylko baczniej obserwować swego współpracownika.

- Kupiłeś w końcu plan Warszawy?

- Nie. Podobno w Warszawie nigdy nie ma planów Warszawy. Za to była duża dostawa planów Białej Podlaskiej, ale sprzedawali tylko w paczkach po dziesięć sztuk, bo Zakłady Kartograficzne imienia Marcelego Nowotki w Nowosielsku koło Białobrzegów postanowiły uczcić rocznicę Rewolucji Październikowej zwiększając produkcję dziesięciokrotnie. Musiałem kupić, żeby nie zwracać na siebie uwagi. Zapłaciłem zapalniczką, tą moją Berettą. Zresztą chyba nie zrobiłem złego interesu, wszyscy brali, na sprzedaż. Jedzie się do Białej Podlaskiej, bo tam nigdy nie ma planów Białej Podlaskiej. I można je sprzedawać na każdym rogu ulicy. Wiesz, z jakim przebicciem! - w głosie Biga brzmiało coraz więcej entuzjazmu, niewiele brakowało, a za chwilę zaproponuje, żeby obaj pojechali do tej jakiejś Białej Podlaskiej, sprzedawać plany Białej Podlaskiej! Lucky zadrżał, bo znów powiało szaleństwem, i spojrzął na Biga z obawą. Teraz zrozumiał, co znaczą rysunekzki i cyfry na jego kartce z trasą: to były obliczenia zysków z ewentualnej sprzedaży planów Białej

Podlaskiej, i wyliczenia, co by można za to kupić (żelazko, toster, nóż do cięcia marchwi) i przywieźć do Warszawy na sprzedaż.

- Wiesz co - powiedział wyjątkowo łagodnie - nie martw się. Sami zmajstrujemy plan Warszawy. Wjedziemy windą na ostatnie piętro tego komicznego wieżowca w centrum, i z góry zobaczymy całe *śródmieście*, i sobie wyrysujemy.

- Pod warunkiem, że winda działa - rzekł z powątpiewaniem Big i wytarł hałaśliwie nos.

„Sami sobie zmajstrujemy”. To zdanie powtarzało się coraz częściej w ich rozmowach. Musieli coraz więcej rzeczy robić sami. Santucciemu przypomniła się książka, przeczytana w dzieciństwie, o przygodach marynarza, który po zatonięciu statku znalazł się na bezludnej wyspie i sam musiał wytworzyć wszystko, co potrzebne do życia. W pierwszej chwili ich sytuacja wydała mu się podobna, lecz zaraz uprzytomnił sobie, że marynarz-rozbitek był jednak w sytuacji nieco lepszej: jemu przynajmniej nikt nie przeszkadzał!

- A właściwie jak to się stało, że wróciłeś piechotą?

- Taksówkarz zażądał zaliczki, a kiedy się kapnął, że nie mam forsy, poprosił, żebym wysiadł, zabrał mi zegarek i odjechał... Hmmm... Uciekł...

- Było go kropnąć!

- Nie chciałem zostawiać trupa w tej okolicy. A zresztą, nie potrzebowałem już taksówki. Klewer oszedł stąd na piechotę.

- No to mogłeś go śledzić na piechotę...

- Tak też zrobiłem. Ale kilka ulic dalej wsiadł do tramwaju...

- ...a ty wsiadłeś za nim.

-Nie.

- Dlaczego!?

- Motorniczy zamknął mi drzwi przed nosem.

Santucci zamyślił się. Podrapał się w głowę.

- Może to jakiś jego współnik?

- Nie przejmuj się. Głowę dam, że on tu jeszcze wróci.

Wyglądał na zakochanego.

Przechadzali się w pewnej odległości od białej willi, cały czas obserwując ją dyskretnie. Big machinalnie odsunął rękaw koszuli i spojrzął na przegub, lecz zaraz wzruszył ramionami.

- Która godzina? - spytał.

- A skąd ja mogę wiedzieć? - Lucky też wzruszył ramionami.

- Musiałem wczoraj czymś zapłacić za tę kolację, nie?

Usiłowali wydedukować, która godzina, z położenia słońca, i nawet zmajstrowali prymitywny zegar słoneczny z patyka wbitego między płyty chodnikowe, ale efekt nie był precyzyjny, bo słońce kryło się za mgiełką, a niezbyt wyraźny cień patyka mógł równie dobrze wskazywać trzecią piętnaście jak piątą dwadzieścia trzy.

\*\*\*

„No tak, to już koniec” - pomyślał Klewer. A jednocześnie uśmiechnął się do swej towarzyszki.

Teraz to już naprawdę koniec. Jeszcze dziś rano miał jakieś złudzenia, wierzył, że uda mu się odnaleźć samochód z pojemnikiem. Fakt, że istnieje takie miejsce jak giełda, przez którą przechodzi większość kradzionych samochodów, zdawał się to umożliwiać. Tu wszystko było scentralizowane.

I to ułatwiało działanie. Jedno biuro ubezpieczeń, jedno miejsce dla paserów. Niestety. Kilka godzin spędzili na chodzeniu wśród wystawionych na sprzedaż aut, Klewer zaglądał pod podwozia, Renata starała się wypatrzeć jakieś znaki szczególne - tapicerka, wgnieciony błotnik - które pomogłyby zidentyfikować jej samochód - wszystko na nic. Wracali zmęczeni, Klewer miał poobcierane dłonie od częstego

podpierania się o ziemię, gdy zaglądał pod podwozia, Renata była apatyczna. Wyczuwała, że dzieje się coś niedobrego, że nie chodzi o sprawę błahą i że porażka może oznaczać dla tego sympatycznego mężczyzny, którego niedawno poznała i w którego towarzystwie czuła się tak dobrze - może oznaczać największe zagrożenie. Starał się tego nie okazać, uśmiechał się, obracał wszystko w żart, lecz instynkt mówił jej, że nie ma tu miejsca na żarty.

Próbowała go jakoś pocieszyć, próbowała też wyciągnąć z niego, o co właściwie chodzi. Odpowiadał półsłówkami, starał się ją zagadać, lecz szybko się domyśliła, że chodzi o jakąś wielką aferę, prawdopodobnie przemytniczą, że próbuje on odzyskać nie tyle jej samochód, lecz coś, co zostało do niego przymocowane, a tym czymś musiała być oczywiście jakaś kontrabanda. Może diamenty, może materiały szpiegowskie? To ostatnie byłoby o wiele bardziej niebezpieczne, za to idzie się siedzieć na długo, a można też zawisnąć, ale z drugiej strony o ileż to bardziej romantyczne, bardziej patriotyczne... W końcu szpieg, zapewne amerykański, bo jakież by mógł być inny, działa na szkodę obozu sowieckiego, a więc w sumie na korzyść Polski, więc paradoksalnie, szpiegując Polskę - działa dla Polski, a Renata była wychowana w rodzinie patriotycznej. Chętnie by mu pomogła, udzieliła schronienia, lecz dobre wychowanie nie pozwoliło jej powiedzieć wprost: Jeśli jest pan w niebezpieczeństwie, mogę ukryć pana w moim domu. Więc tylko dawała mu odczuć, że go bardzo lubi i że gdyby tylko czegoś potrzebował...

Pożegnali się, tak jak wczoraj, pod jej domem i umówili na jutro. Pomachała mu jeszcze od drzwi, gdy odchodził. Nie zobaczyła już jednak, że gdy zrobił kilkadziesiąt kroków, drogę zastąpił mu mężczyzna trzymający rękę charakterystycznym gestem pod połą marynarki. Drugi, niższy, wyszedł z krzaków i

zaszedł go z boku. Obaj stanęli tak, by w razie czego móc go zastrzelić, nie rażąc siebie nawzajem. „Zastrzelić”. Co za mocne, proste słowo. Broń jeszcze działa. Normalna, męska, stalowa broń. Żadnych papierków, biurokracji, zezwoleń ani stania w kolejkach. „Pyk” i już. Tu nie ma się co psuć, broń tej klasy się nie zacina, naboje na pewno nie zamokły!

- Idziesz z nami.

- I ani słowa.

Wzięli go między siebie i poprowadzili do czekającej tak-sówki.

Nie mieli najmniejszego problemu z wejściem do pokoju, nikt na nich nie zwracał uwagi, zresztą recepcja była pusta, jak zwykle w porze kolacji, gdy cały personel udawał się na posiłek do zakładowej stołówki. Klucz od pokoju mieli przy sobie, przestali go oddawać odkąd się przekonali, że recepcjonistka może wyjść i zostawić na ladzie recepcyjnej kartkę ze słowami „Zaraz wracam”. Santucci nawet odczuł coś w rodzaju dumy i zadowolenia, że potrafią się tak sprytnie w tym labiryncie poruszać, coraz sprawniej, w miarę jak rozszyfrowują jego mechanizmy.

- Siedem dni właśnie minęło - rzekł słodkim tonem, przywiązując Klewera do krzesła sznurem od firanek - a szanowny pan towarku zwrócić nie raczył. Oj, Szef nie będzie zadowolony, nie będzie... Pominie szanownego pana w kolejce do odznaczenia orderem Lenina! - Santucci powiedział ten żart spontanicznie, ale już nie poczuł niepokoju, że żart jest trochę dziwaczny i może świadczyć o zachwianej równowadze psychicznej. Czuł się wspaniale, był w euforii. Nareszcie pierwsze zwycięstwo! Teraz już wszystko pójdzie gładko.

- Dotąd radziłeś sobie nieźle, Klewer. To trzeba przyznać. Ale teraz sprawy wróciły do normy. Świat odzyskał swoje odwieczne prawa. Nam jeszcze nikt nie uciekł. I nie ucieknie.

Gdzie jest towar? Mówisz po dobroci, czy mamy użyć standardowych metod?

Klewer milczał. Cóż mógłby im powiedzieć? Że nie ma, że zgubił? To nie są żadne wyjaśnienia. A nawet gdyby miał, gdyby odzyskał pojemnik z towarem, i gdyby im dobrowolnie oddał, i tak by go zabili, wiedział to. Poszukiwania, które prowadził, były raczej działaniem psychologicznym, chciał siebie w ten sposób uspokoić, mieć poczucie, że coś robi, ludzi się, że odwlecze moment egzekucji. Teraz ten moment nadszedł i wszelkie słowa były zbędne.

- Aha, nic nie mówisz? I może myślisz, że tak po prostu cię zabijemy? Nie, mój drogi. Najpierw nam powiesz, gdzie to schowałeś. A potem zapłacisz nam za wszystko, co przez ciebie przeżyliśmy. Za kolejki. Za kelnerów...

- Za telefony! - dorzucił Big.

- O, właśnie. Jak myślisz, Big, od czego zaczniemy?

- Może od nurkowania? W końcu zanurzyliśmy się wszyscy w dziwnym kraju, więc to będzie pasowało...

- ...i ledwo dyszymy! Ha, ha! Można powiedzieć, że się tu dusimy psychicznie! A wszystko z winy tego oto obywatela. Masz rację, dobra jest, zaczynamy od nurkowania...

Zaciągnęli go do łazienki i przelozyli, wraz z krzesłem, przez brzeg wanny głową w dół. Czubek głowy brutalnie uderzył o żeliwne dno, uda opierały się niewygodnie o brzeg, nogi sterczały w górę wraz z nogami krzesła. Klewer poczuł, jak krew boleśnie napływa mu do głowy. Lecz jeszcze boleśniejsza jest myśl: „No tak, to już koniec. Teraz odkręcą krany, naleją wody, i...”

„Pssztü! Prrrr!!! Bul, bul, bul”... - w kranie zagwizdało powietrze, a potem wyprysnęło z niego kilka baniek.

- No, co jest? Odkręć drugi!

Santucci chwycił drugi kurek, ten od ciepłej wody, i kręcił

nim coraz mocniej, w lewo, w prawo, do oporu, i jeszcze raz w lewo. Lecz wody wciąż nie było. Ustało nawet syczenie. Lucky kręcił z coraz większą zawziętością. Nagle jeden z kurków został mu w dłoni.

- Myślisz, że to na nas robi wrażenie? - odrzucił z furją urwany kurek w kąt łazienki - Chciałbyś, co? Nie łudź się. My się nie dajemy tak łatwo zmylić. Owszem, to było sprytne, przyznaję, załatwiłeś to jakoś z hydraulikami, wiedziałeś, co cię czeka, ale nikt nie jest w stanie przewidzieć wszystkiego! Mamy w zanadru różne sposoby i sposobiki, dzięki którym ludzie stają się rozmowni. Bardzo rozmowni. Tak rozmowni, że nie można im przerwać. Słyszałeś o „żarówce”? Nie słyszałeś? No, to przed tobą odkrycie Ameryki. Zaiasz się wcielił w żarówkę. A żarówki mówią, a nawet krzyczą!

Zawlekli go do pokoju, i podczas gdy Santucci rozpinął Klewerowi spodnie, Big wziął ze stolika nocną lampkę. Zdjął klosik, odkręcił żarówkę, zadrżał, podskoczył, próbował odrzucić od siebie lampę, ale nie mógł, trzymał ją kurczowo w zaciśniętej dłoni. Spomiędzy zębów pociekła mu ślina i dobyło się kilka ledwo zrozumiałych słów.

- Lluccckkky... Lluccy - rrrratunku...

Santucci wpatrywał się w- niego, oniemiały. Nagle rzucił się na ziemię i zaczął turlać się po podłodze, płakać i wyc:

- Elektryków też przekupiłeś? Wszystko przewidziałeś? Wszyscy ci pomagają? Dlaczego ci pomagają! Klewer! Dlaczego!!!???

Sznury od firanek, którymi Klewer był przywiązany do krzesła, nie były chyba najwyższej jakości, gdyż wystarczyło mocne napięcie mięśni, aby pękły. Klewer wyrwał z kontaktu wtyczkę od lampki nocnej, w ostatniej chwili, bowiem z zaciśniętej dłoni Biga zaciał już dochodzić swąd przypalanego ciała. Obaj gangsterzy leżeli na podłodze, kompletnie



wyczerpani. Klewer stał nad nimi. Przez chwilę miał ochotę wziąć któryś z leżących na dywanie pistoletów, zastrzelić obu gangsterów i wyjść. Dlaczego tego nie zrobił? Zrobiło mu się ich żal? Nie, chyba nie to. Raczej zrozumiał, że są oni w tym kraju niegroźni, że nie potrafią tu działać, że nic nie rozumieją - świadczył o tym chociażby fakt, że w zwykłych usterkach technicznych doszukiwali się działania jakichś tajemniczych sił, jakichś wspólników, jakichś przekupionych majstrów. Może to błąd, może będzie jeszcze tego żałował, ale nie, jakoś nie może ich zabić. Zresztą, co by powiedziała Renata? Od pewnego czasu wszystkie swoje postęпки oceniał pod tym kątem, chociaż może nie zdawał sobie z tego sprawy, dopiero w tej chwili to do niego dotarło. „Co by powiedziała Renata...” Czy mógłby jej opowiedzieć, że zabił dwóch nieprzytomnych, bezbronnych ludzi?

Schylił się, podniósł pistolety i wrzucił je do kosza na śmieci. Nie było to wcale takie proste, bo pokrywa kosza się zacięła, chociaż była wyposażona w mechanizm podnoszenia jej nogą poprzez naciśnięcie na pedał, a może właśnie nie działała z powodu tego skomplikowanego urządzenia, w końcu jednak udało się ją uchylić i wsunąć do środka oba pistolety, tu nikt ich nie znajdzie, sprzątaczką na pewno nie przychodzi co dzień.

Jak dalece się zmienił, niech świadczy fakt, że nie tylko ich nie zabił, lecz nawet pomyślał o tym, żeby sprowadzić dla nich pomoc medyczną. Nie było to trudne, stacja pogotowia znajdowała się akurat jakieś sto metrów od hotelu, wystarczyło przejść przez ulicę Marszałkowską i skręcić w boczną, o dziwnej nazwie Hoża.

Dojście tam zajęło jednak dwadzieścia minut, jako że musiał omijać wykopki - wszechobecne dziury w jezdniach i w chodnikach. W dziurach tych widać było obnażone przewody

kanalizacyjne. Sens wykopania tych dziur był więc dość oczywisty, to co nie było oczywiste, to dlaczego rur nie naprawiano i wykopków nie zasypywano, a robotnicy drzemią w najlepsze, popijają piwo lub palą papierosy. Może boją się dotknąć rur, żeby nie rozsypały się do reszty? Faktem jest, że miasto przypominało szwajcarski ser, a wędrownka po nim była bardzo kręta. Gdy wreszcie dotarł do pogotowia, panienska w rejestracji najpierw długo wypytywała, o co chodzi, wyciągnęła wielki formularz i zaczęła go wypełniać w trzech egzemplarzach przez kalkę, pytając o wiek chorych, płeć chorych, czy gorączkują i jakie mają ciśnienie krwi, a na poirytowanie Klewera reagowała jeszcze większą ilością jeszcze bardziej szczegółowych pytań: czy mieli wypróżnienie i jakiego koloru był stolec? Wreszcie oświadczyła, że pogotowie przyjedzie jutro o szesnastej, a tymczasem trzeba dostarczyć mocz do analizy.

- Jak to jutro?! - krzyknął Klewer. - Do jutra to oni dawno umrą. Są nieprzytomni. A w hotelu...

- To oni mieszkają w hotelu?

- No tak, przecież to cudzoziemcy.

- Cudzoziemcy? - zaciekawiała się panienska. - A z jakiej strefy?

- Jak to z jakiej strefy?

- No, z dolarowej, czy z kadeeli?

- Z jakich kadeeli?

- No Enerdowo, Bułgaria, Rumunia?

- Jaka Rumunia? Przylecieli z Paryża!

- To czemu pan od razu nie mówi, że dewizowe? - panienska podniosła słuchawkę, rzuciła w nią parę szybkich zdań przyciszonym głosem, i zaraz powiedziała głośno do Klewera: - Karetka ruszyła, jaśnie wielmożny panie!

Rzeczywiście, w tej samej chwili Klewer usłyszał syrenę i pisk opon.

\*\*\*

Dokładnie sześć i pół minuty później do hotelowego pokoju wbiegła ekipa pogotowia ratunkowego: masywna, wytapirowana pani doktor oraz dwóch lekko zataczających się pielęgniarzy.

Cała trójka brodziła w rdzawej wodzie, która wypływała z łazienki i zalewała pokój oraz półprzytomnych gangsterów.

Santucci, siedząc w tej wodzie, jakby właśnie był w miejscowości kuracyjnej i brał leczniczą nasiadówkę w kąpieli z żelazistego błota, zabawiał się puszczaniem po wodzie stateczków zmajstrowanych z papieru gazetowego i, z miną dziecka dotkniętego autyzmem, nucił:

- A mamusia to dzidziusiowi dała stateczek, luli luli laj, śpij dzieciątko śpij, siwe oczka zmruż....

- Oho! Nerwica psychotyczna! - mruknęła lekarka.

- Ja bym raczej stawiał na zatrucie pokarmowe - skorygował jeden z sanitariuszy.

- A moim zdaniem zapalenie płuc. Przecież siedzi w zimnej wodzie - zauważył drugi.

Była to ich standardowa zabawa, którą nazywali „zgadywanka”, a której wynik był o tyle istotny, o ile pozwalał jednemu z nich wygrać zakład, natomiast dla samego pacjenta był najzupełniej obojętny, albowiem i tak lek był zawsze ten sam - silny środek na przeczyszczenie. Zresztą nie mieli innego. Państwowa Fabryka Lekarstw imienia Lenina nastawiona była bardziej na ilość niż na różnorodność.

- No, klienci, dawać forszę - warknął jeden z sanitariuszy.

- Gdzie forsa!? - wrzasnął drugi. - Dolary! Panimajesz!?!  
Gdzie masz dolary! - potrząsnął Luckym.

- Nie da rady, nic nie powiedzą, to jacyś twardziele.

- Zaraz się przekonamy, czy jesteś taki twardy - to mówiąc sanitariusz przytrzymał głowę Lucky'ego pod wodą, której było w pokoju pod dostatkiem, jako że sięgała już do kostek i wciąż wylewała się z łazienki. Gangsterzy najwyraźniej nie zakręcili kurków, widocznie nie czytali kartek rozlepionych w hotelowym korytarzu: „W razie awarii wody pamiętaj - nie zostawiaj odkręconych kranów!“. Gdyby tu się urodzili, nie musieliby zresztą czytać, mieliby ten odruch we krwi.

- Starczy, bo go utopisz i jak go zaksięgujemy?

Rzeczywiście, byłby to kłopot, jako że limit utonięć plażowych na ten kwartał został już wyczerpany i trzeba by księgować utopionego pacjenta jako ofiarę powodzi, a była susza.

- No, jak? Gadasz?

- Where is the money? - wtrąciła pani doktor, która najwyraźniej była dobrze przygotowana do obsługi klientów zagranicznych i знаła podstawowe słownictwo ze strefy dolarowej.

- W sejfie. W hotelowym sejfie - wyjąkał Santucci. - Dam wam połowę, jeżeli uda się wam je wydobyć...

W tym momencie cała trójka straciła zainteresowanie chorymi i zaczęła się zbierać do wyjścia.

- Nieuzasadnione wezwanie pogotowia ratunkowego - skomentował sanitariusz. - A przecież w naszej ojczyźnie brakuje karetek! - dodał patetycznie i spojrzał z niesmakiem na gangsterów. - Jak wam nie wstyd? Nie szanujecie ciężkiej pracy proletariatu. Powinniśmy was zakablować na Milicję Obywatelską.

Tymczasem drugi sanitariusz, dla porządku, przetrząsał jeszcze walizki gangsterów. Był przy tym na tyle sumienny i dociekliwy, że odkrył podwójne dno. Na widok błyszczącego, świetnie utrzymanego, supernowoczesnego sprzętu - broni, latarek, amunicji, lontów i zapalników, oczy mu się zaświeciły.

- Chwila moment! Zaczekajcie! Patrzcie!

Oglądali dokładnie broń.

- Wiesz, coś mi, kurde, chodzi po głowie... Zaraz, zaraz, czekaj, jak to jest... widziałem na filmie... - jeden z nich znalazł bezpiecznik, zwolnił go, niewprawnym ruchem odciągnął zamek i puścił, wprowadzając z trzaskiem nabój do lufy. Wycelował w Santucciego.

- Bach! Bach! Bababababaach!!! - wrzasnął.

Drugi sanitariusz był równie zachwycony znaleziskiem. Obaj trzymali pistolety maszynowe i bawili się nimi jak dzieci, biegając po pokoju i wrzeszcząc:

- Bach bach babababach! Trafiłem cię! Zabity!

- Panowie, panowie, trochę powagi! - mitygowała ich pani doktor. - Nie jesteśmy tu dla zabawy. Zbierajcie fanty i jedziemy dalej!

Spakowali metodycznie cały gangsterski sprzęt do wielkiej plastikowej torby w kratę, którą mieli zawsze ze sobą i wyszli, spierając się, czy jechać z tym prosto na bazar, czy też jeszcze obsłużyć paru klientów.

Woda z łazienki lała się dalej, aż osiągnęła poziom parapetu i zaczęła przelewać się na zewnątrz budynku przez szpary we framugach okien, na których to framugach widniał napis: „Hermetik - wodoszczelne okna produkcji Socjalistycznej Fabryki Okien w Krośnie pod Łomżą, województwo Tarnobrzесьkie”.

\*\*\*

Santucci przecierał oczy. Zdarzenia ubiegłego dnia wydały mu się jakimś koszmarnym snem. Ale faktem jest, że cały sprzęt zniknął. Nie mieli już ani pieniędzy, ani broni, ani nawet zegarków. Pozbawiono ich czasu. Gangsterzy bez broni. Toż to

żałosne. I trochę śmieszne, czuli to.

Czuli, że jeżeli teraz nie zrobią czegoś stanowczego, jeżeli nie odniosą jakiegoś niewielkiego bodaj zwycięstwa, pogrążą się już na zawsze w tym bagnie. Trzeba działać.

Szli właśnie, obchodząc ostrożnie wykopki, pustymi i ciemnymi ulicami. Była jedenasta wieczorem i całe miasto wyglądało jak wymarłe. Wiedzieli, że o tej porze tak będzie, znali już rozkład dnia mieszkańców, wiedzieli, że godzina szczytu zaczyna się o piętnastej, kiedy wszyscy kończą pracę, potem jest jeszcze trochę ruchu na ulicach, kiedy właściciele psów wyprowadzają swoich ulubieńców, a poza tym jest pusto. Kompletnie pusto. Nie ma się zresztą co dziwić. Dokąd miałby ktoś wychodzić? O dziewiętnastej wszystkie sklepy są już zamknięte, nieliczne kawiarnie czynne są do dwudziestej drugiej.

Po godzinie krążenia wokół wykopków doszli do sklepu, który zauważyli kilka dni temu. „Socjalistyczny sklep ze sprzętem myśliwskim” - głosił szyld. Na wystawie broń. Prawdziwa broń. Wprawdzie myśliwska, ale nie szkodzi. Broń palna, to grunt. Jest nawet amunicja, w paczkach stojących w gablocie.

„Bum!”

Dźwięk rozbijanej szyby zabrzmiał jak strzał z armaty. Z brzękiem posypało się szkło. Nie trzeba było drugiej cegły, nie, cała witryna poszła w drobny mak.

Sukces! Zarzucili wyrafinowane, zachodnie metody, żadnych wytrychów, żadnych diamentów do cięcia szyby, po prostu „łup!” cegłą w okno, i już! I działa! To działa! To naprawdę działa!

Na wszelki wypadek jednak, gdyby ktoś się zainteresował hałasem, na przykład jakiś zapóźniony przechodzień, postanowili chwilę przeczekać. Schowali się za pobliskim słupem ogłoszeniowym, na którym komunistyczne slogany sąsiado-

wały z reklamą włoskich dżinsów słynnej marki „Rifle”, sprzedawanych w całej Polsce szczęśliwym posiadaczom dolarów.

Nikogo. Cisza. Właśnie tak, jak przewidzieli. Nie ma psa z kulawą nogą. Santucci uśmiechnął się, bo przypomniał sobie, jak to pierwszego wieczoru pomyśleli, że obowiązuje tu godzina policyjna, tak bardzo zadziwiło ich to puste, wymarłe miasto po zmierzchu.

Podeszli do rozbitej witryny. Wyjęli z ramy resztki szkła, wskoczyli na parapet i nagle zamarli. W samą porę: wzdłuż parapetu biegła wiązka kolorowych kabli.

- Instalacja alarmowa - zachrypiał Luciano nieswoim głosem.
- Dlaczego się nie włączyła przy zbitciu szyby?
- Pewnie jest na podczerven. Uruchomi się, kiedy wejdziemy głębiej.

Przez chwilę stali tak, niezdecydowanie, nieruchomi na wystawie, jakby sami byli eksponatami.

- Czekaj, czekaj, zaraz, coś mi chodzi po głowie, coś mi świta... - Big intensywnie myślał, drapiąc się w głowę. - No jasne!

Chwycił kable, szarpnął, oderwał od parapetu, wyrwał, wydarł całą wiązkę.

Cisza. Żadnego pisku, syreny czy dzwonka. Lucky patrzył na jego poczynania z przerażeniem, lecz nagle palnął się dłonią w czoło i wybuchnął krótkim, nerwowym śmiechem.

No oczywiście! Tu przecież nic nie działa! Ile jest szans, że instalacja alarmowa jest zepsuta, czy wręcz od nowości wadliwa? Osiemdziesiąt procent? Dziewięćdziesiąt? Można ryzykować. Próbujemy! Ha, ha, ha! Trafiony! Trafiony - zatopiony! Nic się nie włączyło. Żaden alarm. To, że wszystko się psuje, może też działać na naszą korzyść!

Żwawo zeskoczyli z wystawy do środka sklepu. Wybrali dwie strzelby z pionowym układem luf, kaliber 12, produkcji

czechosłowackiej (był zresztą tylko ten model, ale nie mogli sobie odmówić przyjemności obejrzenia kilku egzemplarzy, aby mieć poczucie, że wybierają), cztery paczki naboju śrutowych, dwie paczki naboju kulowych typu brenneke, dwie bardzo ładne, skórzane torby myśliwskie i dwa pasy z przegródkami, do których zaraz nawpychali naboju. Luciano z rozpędu wziął nawet tyrolski kapelusik z piórkiem i właśnie przymierzał go, uśmiechając się szelmowsko, gdy nagle...

WIIIIimUUUULnJUUUUUUUU!!!!!!!!!!!!

Wycie potężnej syreny wypełniło cały sklep. A jednak! Alarm! Alarm zadziałał!

Gangsterzy szybko otrząsnęli się z zaskoczenia. Nieprzewidziane ryzyko to ich żywioł, wiedzieli, jak zareagować. Big błyskawicznie złamał strzelbę, wsunął naboje do luf, zatrzasnął broń. Jednym rzutem oka zlokalizował źródło dźwięku, szarą, plastikową tubę umocowaną pod sufitem, nad drzwiami wejściowymi, której przedtem nie zauważyli, bo zlewała się z szarością wnętrza. Jednym skokiem znalazł się w kącie sklepu, tak by mieć na linii strzału, dokładnie za tubą, zaimprovizowany kulochwyty - wielką, wypchaną głowę łosia. Wiedział, jak niebezpieczne są rykoszety w zamkniętym pomieszczeniu, dlatego znalezienie kulochwyty było niezbędne, mimo że opóźniło strzał o ułamek sekundy. Wycelował błyskawicznie, chociaż nie było to proste, bo musiał strzelać wzdłuż ściany, a usytuowanie celu zmuszało go, by złożył się z lewego ramienia, co jednak w przypadku takiego zawodowca jak Big nie miało znaczenia, bo mierzył równie dobrze lewym okiem jak prawym, a lekkie boczne odchylenie kolby w stosunku do osi luf, ułatwiające strzał praworęczny i tym samym utrudniające leworęczny, też mu nie przeszkadzało. Miał opanowane strzelanie z każdej broni w każdej pozycji. Pociągnął za spust. Nie minęły nawet dwie



sekundy od chwili uruchomienia się alarmu, gdy padł strzał. W zamkniętym pomieszczeniu zabrzmiał ogłuszająco.

„Dobrze wyważona. Słaby odrzut. Opóźnienie między uruchomieniem spustu a uderzeniem iglicy minimalne, prawie całkowita jednoczesność, spust dobrze wyregulowany, nie za miękki, nie za twardy, nie zrywający” - podczas gdy te pochlebne dla nowo „nabytej” broni spostrzeżenia przelatywały Bigowi przez głowę, śruciny dosłownie rozniosły tubę, wzbijając w powietrze kłęb plastikowych odłamków, i zagłębiły się w miękką szyję wypchanego łosia. Jednak syrena wyła nadal.

- Jest drugi układ! Na fasadzie! - krzyknął Santucci.

Rzeczywiście, teraz wycie syreny dochodziło sprzed sklepu. Tam pewnie zamocowana jest druga tuba, może gdzieś wysoko, ukryta nad gzymsem pierwszego piętra, a może po prostu tak szara, że zlewa się idealnie z budynkiem, dlatego jej nie widzieli. Szybko wskoczyli na okno wystawowe, już mieli zeskoczyć na ulicę, lecz chodnik nie był pusty. Zatrzymali się na moment, żeby ocenić sytuację. Przed sklepem stała para w średnim wieku, on trzymał na smyczy muskularnego psa nieokreślonej rasy, i cała trójka wpatrywała się w okno wystawowe, w którym tkwili dwaj gangsterzy lekko pochyleni, z dubeltówkami w dłoniach, nieruchomi na środku wystawy między wypchanym dzikiem a wypchanym jeleniem, i wyglądali w swoim bezruchu jak jakieś manekiny, jak wystawione na pokaz egzemplarze przodujących, socjalistycznych myśliwych.

Pies szarpnął się, lecz właściciel przytrzymał smycz i pies tylko warknął i wyszczerzył kły. Myśli, jak cienki śrut, przeszły głowę Biga: kropnąć całą trójkę? To ściągnie jeszcze więcej gapiów. Trudno, i tak już cała dzielnica jest postawiona na nogi. Big decyduje się. Jak zwykle w takich przypadkach,

będzie działał zgodnie z regułą eliminowania przeciwników w kolejności od najbardziej niebezpiecznych do najmniej groźnych. Więc najpierw zastrzeli kobietę, później psa, a facetem niech się zajmie Lucky.

Nagle kobieta wybucha długim, perlistym śmiechem.

- Patrz, kochanie! - woła do swojego towarzysza - są jeszcze na świecie ludzie, którym się chce coś robić! Próbują działać! Są tacy szlachetni, ideowi, wierzą, że coś się może udać!

- Panowie, nie macie co się miotać! - przechodzień, też wyraźnie ubawiony, uśmiechał się pobłaźliwie - my już to przerabialiśmy. Naprawdę szkoda fatygi. Nic z tego nie wyjdzie. To jest walka z wiatrakami, moi drodzy! Myśmy już nieraz interweniowali, chodziliśmy na skargę do Dyrekcji Socjalistycznych Sklepów Myśliwskich, i do Kółka Socjalistycznego Myśliwego, i do Federacji Związków Socjalistycznego Łowiectwa Krajów Za Żelazną Kurtyną Demokracji Ludowej, i nawet byliśmy w tej sprawie na Głównej Komen-dzie Milicji Obywatelskiej! I wszystko na nic! Wszystko!

- Tak proszę panów, tak - potwierdzała jego małżonka. - Trudno, musicie się z tym pogodzić, tak samo jak my już się pogodziliśmy. Ta instalacja to żywioł! Nikt nie jest w stanie jej naprawić. Ileż tu już przychodziło ekip, fachowców, Socjalistycznych Brygad Naprawy Syren, Komisji do Spraw Nocnego Wypoczynku Ludności. I co? Myślicie, że coś pomogło? Nic. Każdej nocy się włącza o tej samej porze i nie ma na to mocnych.

- Ale proszę się tak bardzo nie przejmować - dodał mężczyzna życzliwie - za półtorej godziny samo się wyłączy, jak w zegarku!

- Ja to już nawet się przyzwyczaiłam, jeśli mam być szczerą. Kiedy raz tak było, że jednej nocy się coś zepsuło i była cisza, to oka nie zmrużyłam do białego rana! Taka byłam niespokojna...

Przechodnie uśmiechnęli się raz jeszcze, kiwnęli głowami i odeszli, ciągnąc psa, który odwracał się i szczerzył zęby  
- nie wiadomo czy ze złości czy ze śmiechu - w stronę gangsterów, wciąż nieruchomych na wystawie, niczym dwa wypchane jelenie.

\*\*\*

Klewer przechadzał się w towarzystwie Renaty po tarasie na trzydziestym piętrze Pałacu Kultury i Nauki. Duży, szary budynek w stylu moskiewsko-bizantyjsko-proletariackim, postawiony w środku Warszawy przez Lud Radziecki w prezencie dla Ludu Polskiego. Ma w sobie coś z piramidy - podobny ogrom, i w pewnym sensie też jest grobowcem faraona - faraona Stalina. W swą ostatnią drogę faraon zabrał wszystko co mu niezbędne do życia, a mianowicie sylwetki przodujących robotników wznoszących betonowe młoty i sierpy takim gestem, jakby chcieli nimi walić po głowach przechodniów i podrzynać im gardła. Nad tarasem na trzydziestym piętrze wznosi się, nieco szczuplejszy od głównej bryły, wierzchołek, zwieńczony połączoną kopułą w kształcie cebuli, zwróconej węższą częścią w górę. Wierzchołek przypominałby jakiś meczet czy pałac w Bagdadzie, gdyby nie para olbrzymich anten parabolicznych, przekazujących Warszawie rosyjską telewizję. Całość wygląda jak postać w ciemnych okularach. Ma w sobie coś z cerkwi, co zrozumiałe, skoro jest prezentem rosyjskim. Przy swoim bizantyjskim stylu i domieszce cerkiewno-faraońskiej ma też coś z wieżowców amerykańskich z epoki wczesnego kapitalizmu, coś co jest zakamuflowane, ale widoczne, tak jakby skrycie im zazdrościł. Jeśli jest jedno słowo, które mogłoby go określić, to słowem tym byłyby „monumentalizm”. A głównie chodzi o to, by

wszyscy widzieli „kto tu jest panem”. Żeby Polacy czuli, że panuje tu Rosja i jej styl - zakończyła Renata swoje wyjaśnienia, które Klewerowi wydały się trochę przesadzone i nasycone tym czymś, co nie do końca rozumie, a z czym spotyka się tu na każdym kroku - jakimś przypisywaniem dodatkowych znaczeń rzeczom bez znaczenia. No, oczywiście, jest to przejaw niechęci do okupanta, niechęci zrozumiałej, ale dla kogoś z zewnątrz, tak jak Klewer, trochę męczącej. Czuł, że ci ludzie tutaj się duszą, duszą z nienawiści, może słusznej, ale co z tego? Ta nienawiść nie pozwala im żyć.

- Czy pani nie przesadza? - spytał więc trochę przekornie. - Budynek jak budynek. Taki czy inny - co za różnica?

Wciąż jeszcze byli na pan i pani, i jakoś nie zanosilo się na inną formę. Tu zresztą, jak zauważył Klewer, przejście na „ty” nie jest takie proste i oczywiste, nawet ludzie, którzy się znają latami, ociągają się z tym uroczystym aktem. On też się nie spieszył. Nie spieszył ze zmianą tego stanu rzeczy. Miało to bowiem swój urok. Zastanawiał się, czy gdyby... no, gdyby do czegoś doszło, to czy nadal będą sobie mówili per „pan” i „pani”?

Nie słuchał wyjaśnień Renaty, rozkoszował się powietrzem, które tutaj, na wysokości trzydziestego piętra, nie było tak przesycone spalinami jak w dole, wpatrywał się w krajobraz miejski, z tej wysokości całkiem przyjemny, ruchliwe ulice, w oddali rzeka...

- Pałac trzyma się dobrze, - tłumaczyła tymczasem Renata, przejęta najwyraźniej swoją rolą przewodnika - nie rozpada się, w przeciwieństwie do młodszych budynków, gdyż robotnicy, którzy go budowali, byli jeszcze ukształtowani przed wojną, w Polsce kapitalistycznej. Jeszcze dziesięć lat po wojnie nie przyswoili sobie komunistycznego lenistwa, tak silny jest pęd do pracy wpojony przez kapitalizm.

- Chyba że, przeciwnie, byli świetnymi psychologami - wtrącił Klewer - i zrozumieli, że zachęta do lenistwa jest tylko subtelnym szantażem psychologicznym, „nie pracujesz uczciwie, robotniku, okradasz państwo, miej wyrzuty sumienia, nie buntuj się! Nie protestuj. Ja cię okradam, zgoda, ale ty mnie też. Jesteśmy współnikami...” - i nie chcieli wpaść w te psychologiczne sidła. Dlatego woleli pracować solidnie.

Renata spojrzała na Klewera z powdziwem. Nie myślała, że jest tak dociekliwy w kwestiach psychologii społecznej. Sama bardzo lubiła takie analizy, a uwaga Klewera była wodą na jej młyn, bo podkreślała perfidię rosyjskiego okupanta.

Czy Klewer rzeczywiście był tak subtelnym psychologiem? Może, ale w tym wypadku jego refleksja świadczyła nie tyle o dużej dociekliwości, co o zdolności do porównań. Albowiem zjawisko, o którym wspomniał, skojarzyło mu się z doświadczeniami z własnego podwórka. Ten trick stosowany jest i w świecie, w którym wychował się Klewer. Szefowie mafii czasem pozwalają się okradać na drobne sumy i udają, że tego nie widzą, to ma uzależnić psychicznie podwładnych, nie będą wtedy mieli odwagi czegoś żądać, a jeśli zażądają, to im się wytknie ich nielojalność. Jest to rodzaj więzi, „ja cię okradam, ale i ty mnie też, więc jedziemy na tym samym wózku, jesteśmy współnikami...” Nie warto oczywiście wgłębiać się w to, kto kogo okrada bardziej, to jasne, że ja ciebie sto razy bardziej niż ty mnie, ale czy to ważne?

W każdym razie Renacie bardzo podobało się to spostrzeżenie, sama lubiła takie analizy. Lubiała też przychodzić na ten taras i oglądać tę jedną, jedyną panoramę Warszawy, panoramę, z której wykreślony jest znienawidzony pałac. Panoramę, którą Klewer wskazywał teraz, mówiąc:

- Pełno tu możliwości...

- Tak pan sądzi? - Renata jedną ręką podtrzymała szeroki

kapelusz, którego wiatr o mało nie porwał, a drugą ręką spódnicę, trzepoczącą wokół jej nóg.

- Ależ tak, jestem pewien. No, chociażby pani, pani Renato... nawet się trochę dziwię, że nie chce pani powiększyć firmy, otworzyć filii w innych miastach, założyć całej sieci domów mody...

Renata nie odpowiedziała, tylko uśmiechnęła się słysząc tyle naiwności. Kapitalizm w świecie komunistycznym nie może przekroczyć pewnego poziomu, graniczącego z rękodziełem, to chyba oczywiste... Jaki on naiwny.

„Nie, to ona jest naiwna” - pomyślał Klewer, jakby w myśli odpowiadał na myśl Renaty.

Silny powiew wiatru poderwał nagle jej lekką, długą spódnicę, która zatrzepotała wokół jej nóg i omal nie zerwał jej z głowy kapelusza, który na szczęście zdążyła przytrzymać...

„Kapelusz. To też dziwne. Kto dzisiaj nosi kapelusze?” - pomyślał Klewer. - A jednak nie wyglądało to dziwnie, a nawet miało swój urok. Renata ubierała się trochę staroświecko, lecz gustownie, widać, że starannie dobierała stroje, może nawet sama je projektowała. Stać ją było na to, prowadziła tu dość wygodne życie, zarabiała o wiele więcej niż przeciętny tubylec.

- Pani chyba nieźle się tu wiedzie? - spytał znów przekornie...

- Ach, to są pozory. Pieniądze... Oddałabym je wszystkie za wolność. Za to, żeby mieszkać w wolnym kraju.

- Czemu pani stąd nie wyjedzie?

- A pan? - odpowiedziała bystro, lecz Klewer nie dał się złapać, nie wyjaśni jej przecież, że „tam” jest spalony. Już kilka razy próbowała zręcznie coś z niego wydobyć, nie w ten sposób, to w inny, i za każdym razem podziwiał jej refleks i niewinną minkę, jaką przybierała w takich chwilach. Bystra

dziewczynka.

- Mnie się tu podoba - rzekł obojętnym tonem.

Renata uśmiechnęła się, jakby trochę rozmarzona. Zapomniała przytrzymać kapelusz. Kolejny podmuch wiatru porwał go i uniósł poza barierkę, okalającą taras. Zaskoczeni, przechylili się przez balustradę. Kapelusz wylądował zaledwie kilka metrów niżej, na ochronnej siatce, otaczającej cały wierzchołek pałacu, której sensem było zapewne zniechęcanie amatorów samobójstwa. Zniechęcanie zresztą czysto psychologiczne, albowiem fizycznie ta siatka, wyprodukowana przez Socjalistyczne Zakłady Siatek w Bydgoszczy, nie wytrzymałaby ciężaru nawet najszczuplejszego samobójcy. Świadczyła o tym wymownie dziura w siatce. Dziura miała kształt człowieka, lecącego z rozkrzyżowanymi ramionami. Najwidoczniej jakiś desperat nie uwierzył w dobrą jakość tej siatki. I słusznie, bo pod jego ciężarem siatka się rozerwała, nie stawiając oporu.

Tak przynajmniej wyjaśniała to Renata, która we wszystkim doszukiwała się złowieszczych skutków komunizmu, a Klewer, może trochę przez przekorę, odparł, że to jest skutek raczej pozytywny, bo skoro ktoś chciał popełnić samobójstwo, to należało uszanować jego wolę, i ta siatka tak się właśnie zachowała.

Kapelusz przysiadł na brzegu złowrogiej dziury, lecz już kolejny poryw wiatru poderwał go do lotu i uniósł daleko, daleko ponad rozciągający się w dole gigantyczny Plac Defilad. Kapelusz szybował nad ogromną, kamienną trybuną, z której kolejni szefowie przyjmowali co roku defilady wzorowych robotniko-chłopów, potem nad autokarami wycieczkowymi, w których drzemali znudzeni kierowcy, wreszcie nad chodnikiem, na którym kilku przechodniów walczyło z wiatrem. Wleciał w ulicę Sienkiewicza, przefrunął przed fasadą

Socjalistycznego Banku i osiadł w pasażu na tyłach Domów Towarowych Centrum.

- Widzę już mniej więcej, gdzie wylądaje - Klewer śledził wzrokiem malejący punkcik. - Chodźmy, może uda się go odzyskać.

- Czy to warto? I tak mi się już znudził.

- No to chodźmy się przejść, rozejrzemy się przy okazji. Jestem ciekaw, gdzie wylądował. Może komuś na głowie?

To dziwne, że Renata tak mało dba o swoją własność. Nie szukała skradzionego samochodu, nie obchodził ją utracony kapelusz. Klewera to raziło, może nawet był na tym punkcie przeczulony, jako że jego nieszczęścia zaczęły się od utraty powierzonej mu rzeczy. Za to dba o wolność. Wolność... Znów ten patos. Ciekawe, czy gdyby przyszło co do czego, naprawdę oddałaby pieniądze za wolność? Czy wolałaby być nędzarzem w wolnym kraju niż bogaczem tutaj? Klewer uważa, że nieważne gdzie się jest, ważne kim się jest. I nawet w takim kraju jak ten można całkiem przyjemnie żyć. Może zresztą tak myśli dlatego, że tutaj czuje się względnie bezpieczny?

Dobrze, że nie skomentowała tej dziury w siatce jeszcze bardziej patetycznie, na przykład tak: „Tutaj Rosjanie zrzucali niepokornych Polaków”. Dziura to dziura i już.

- W tym miejscu Rosjanie... - zaczęła Renata - „No tak, jasne, już się zaczyna”, pomyślał Klewer...

- ...kazali zburzyć sto siedemdziesiąt pięknych, secesyjnych kamienic, które wprawdzie były mocno zniszczone przez niemieckie bombardowania, ale jeszcze nadawały się do odbudowy... Wszystko po to, żeby zrobić miejsce pod ten betonowy plac i ten koszmarny pałac...

Podeszli do windy, przy której lekko się zataczał wąsaty strażnik w wymiętym mundurze. Renata szepnęła Klewerowi do ucha:



- Czy wie pan, dlaczego strażnik Pałacu Kultury jest najszczęśliwszym człowiekiem w Warszawie? Bo przebywa w jedynym miejscu, z którego nie widać Pałacu Kultury...

Udał, że pierwszy raz słyszy ten dowcip, który tubylcy serwują mu średnio trzy razy dziennie, i roześmiał się z przy-musem.

„A co powiedziałby Santucci na widok tej dziury w siatce?” - pomyślał. - On, ze swoim doszukiwaniem się ukrytych znaczeń, też by pewnie coś wymyślił. „Tutaj miejscowi gangsterzy zrzucają członków konkurencyjnego gangu, proszę państwa. A dziura w siatce została specjalnie zrobiona przez przekupionych instalatorów siatki, i tak zaprojektowana, żeby przeleciał przez nią przeciętny gangster...”

Klewer uśmiechnął się, tym razem szczerze, bo przypomniało mu się jak Santucci doszukiwał się jego zмовy z hydraulikami i z elektrykiem. Co też ten biedak porabia? Czy polskie pogotowie wyleczyło go z nerwic i przywidzeń?

\*\*\*

W ogromnej, monumentalnej sali Socjalistycznego Banku przy ulicy Sienkiewicza jedno z osiemnastu okienek kasowych było czynne. Do tego okienka stało dwieście, może trzysta osób. Trudno ocenić ile, bo kolejka była w nieustannym ruchu, falowała, w niektórych miejscach pęczniała, w innych robiła się cieńsza. Kolejka zawsze jest w ruchu, nawet jeśli się pozornie nie rusza, ma swoją wewnętrzną dynamikę, wynikającą z tego, że każdy uczestnik kolejki myśli nieustannie i bardzo intensywnie, jakby tu przesunąć się bliżej celu, ominąć kilka osób stojących przed nim, najlepiej wszystkie, ale żeby chociaż jedną... W związku z tym nikt nie stoi spokojnie, każdy się kręci, wierci, potrąca stojących przed nim, w nadziei, że

popelnia jakiś błąd, najczęściej zresztą jest to nadzieja płonna, jako że wszyscy znają te sposoby, i każdy pilnuje łokciami, żeby go nikt nie wyprzedził, każdy się kiwa kaczkowato z lewa na prawo, żeby swoją osobą zająć miejsce jak najszersze i tym samym utrudnić ominięcie. Kluczowe momenty, gdy kolejka się aktywizuje, ożywa, nachodzi ją nagły paroksyzm, są wtedy, gdy posuwa się do przodu. To dzieje się skokowo i wcale nie odpowiada rzeczywistemu ubywaniu klientów w czole kolejki. Odbywa się raz na jakiś czas, gdy już ubyło tyłu, że trzeba koniecznie zapelnąć luzniejszą przestrzeń. Ten moment poruszenia się kolejki do przodu wprowadza pewien bezład, rozkojarzenie, i to jest najlepsza okazja do przeskoczenia do przodu, do wyminięcia kogoś przed nami pod pretekstem, że się zagapił. A potem niech sobie protestuje, niech pomstuje za naszymi plecami, a jak mu się nie podoba, to niech pisze skargę do Milicji Obywatelskiej!

Oczywiście ideałem byłoby skorzystanie z usług banku, czy czegokolwiek innego, w ogóle poza kolejką, lecz taki wyczyn udaje się tylko nielicznym. Tym niemniej przy czole kolejki, czyli wokół części, która jest najbliżej celu, kręci się zawsze tłumek wolnych strzelców, tzw. hien, ludzi, którzy postawili w swej strategii przetrwania na uśmiech losu, na to, że coś się stanie, coś się zdarzy takiego, co pozwoli im wygrać, jakaś sytuacja konfliktowa, może pyskówka, może przepychanka wśród najbliższych stojących i uda im się nagle wsunąć w ułamek wolnej przestrzeni tuż przed okienkiem kasowym - (lada, sprzedawcą, urzędnikiem, mechanikiem czy kimkolwiek, kto jest dystrybutorem dóbr). Wtedy już nic hieny nie ruszy, oszukani kolejkowicze nie odciągną jej sprzed okienka gdy dawca dóbr zaczął ją obsługiwać, albowiem mógłby się on poczuć obrażony, że mu się przerywa w pół klienta i na przykład pójść sobie na spacer, wystawiwszy tekturkę z

napisem „Zaraz wracam, remanent, remont”. Można by pomyśleć, że hiena, która zrobiła coś takiego, oszukała kilkaset osób, zostanie potem przez te osoby zlinczowana, rozszarpana, gdy będzie odchodziła, ale nie, nikt nie ma do tego głowy, wszyscy są zajęci pilnowaniem swojego miejsca w kolejce. Hieny o tym wiedzą i dlatego nie obawiają się zemsty. Zemsta na hienie byłaby tylko niepotrzebną stratą energii. Zresztą, wszyscy są po trosze hienami, każdy na miarę swych możliwości próbuje oszukać innych i stosunek do hien jest raczej zabarwiony podziwem niż pogardą. Każdy by tak chciał!

- Ręce do góry! - zabrzmiał nagle groźny, spiżowy głos od strony drzwi wejściowych do monumentalnej sali. Cała kolejka zamarła. Wszystkie głowy zwróciły się w tamtą stronę. Do sali pewnym, dziarskim krokiem weszło dwóch mężczyzn. W dłoniach trzymali dubeltówki. Celowali w tłum.

- Ręce do góry! To jest napad! Wszyscy pod ścianę! - wrzasnął wyższy z mężczyzn.

- Pod ścianę! - zawtórował mu niższy. - Ręce na kark i pod ścianę! Albo będziemy strzelać!

W sali zapadła absolutna cisza. Słyszać byłoby nawet poszum skrzydełek socjalistycznej muchy. Nikt się nie poruszył. Cała kolejka wybałuszała oczy na dwóch gangsterów. Nagle ktoś parsknął śmiechem. I już po chwili huraganowy śmiech ogarnął całą salę. Ludzie zataczali się ze śmiechu, i nikt nawet nie próbował skorzystać z tego chwilowego zamieszania, by przesunąć się o kilka „oczek” do przodu, tak bardzo, tak szczerze wszyscy byli rozbawieni. Gdy śmiech nieco przycichł, zaczęły się żarty, rzucane przez kolejkowych dowcipnisiów:

- Cwane chłopaki!
- Nieźle wykombinowali, że niby napad, jak w Ameryce!
- Ale w Warszawie ten numer nie przejdzie!
- Tu się bez kolejki nie wtranżolą!

- Nawet „na gangstera”!
- Ale jacy profesjonalni! Obcy akcent udają, że niby z zagranicy!
- Te, gangsterzy, tu nie Ameryka! Do kolejki, jak wszyscy!
- Gangsterzy? Chyba raczej myśliwi! - rzucił inny dowcipniś i znów wybuch śmiechu zabrzmiał w olbrzymiej sali.

Rzeczywiście, można ich było wziąć za myśliwych, albowiem broń mieli zdecydowanie myśliwską, a nie gangsterską, co więcej, Big miał na głowie tyrolski kapelusik z piórkiem, który tak mu się spodobał w sklepie i który odtąd stale nosił, mimo uwag Lucky'ego, że w ten sposób zwraca na siebie uwagę i że staje się infantylny.

- Panowie myśliwi, tu nie dżungla!

Znowu ryk śmiechu. Aż pod półkoliste sklepienie monumentalnej sali.

- Panowie towarzysze myśliwi, tu zajęcy nie dają! Zajęce rzucili w mięsnym, naprzeciwno!

I znów ryk kilkuset gardeł.

Kolejka stoi twardo dalej. Nikt się nie rusza, nikt nie drgnie, nikt nawet nie spojrzy w stronę ściany, pod którą, zgodnie z poleceniem gangsterów, należy się ustawić.

„Trudno, niech sobie stoją, chyba nie są groźni” - pomyślał Lucky i ruszył w stronę okienka. Luciano za nim.

- Halo! Uważać tam z przodu! Nie puszczać ich! - zabrzmiał groźny krzyk z końca kolejki.

Na to hasło kolejkowicze stojący w przedniej części kolejki, w jej czole, otrząsnęli się z zaskoczenia, spowaźnieli i zaczęli się cisnąć jedni na drugich, zwierać szyk, do tego stopnia, że po chwili ta część kolejki tworzyła jakby jeden organizm złożony z tysięcy splecionych ciał, i gdyby ktokolwiek próbował się wcisnąć w tę magmę napotkałby zwarty mur łokci, kolan, obcasów i warknięć. Dokonało się to spontanicznie, jakby

kolejka sama wiedziała jak reagować na próbę wniknięcia do niej obcych ciał, a zwłaszcza do jej przedniej, najcenniejszej części - wartość miejsca w kolejce jest bowiem, jak głosi pierwsze prawo kolejkologii, odwrotnie proporcjonalna do odległości dzielącej to miejsce od celu.

Gangsterzy szli dalej, wzdłuż kolejki, w kierunku okienka kasowego. Za nimi rosła fala warknięć, pomruków, gardłowych, nieokreślonych dźwięków, chwilami dudniących nisko i potężnie, jak poryw huraganu, jak kontynentalna zawieja niesiona przez wiatr ze Wschodu. Kolejka zjeżyła się jeszcze bardziej, cała w pazurach i w kłach, i szczełała na gangsterów:

- Pan tu nie stał!

- Gdzie tu się pchają!?

- Na koniec! Jazda na koniec!

- Tu nie mięsny! Tu jest bank! Trochę kultury!

- Myślą, że jak inwalidzi, to od razu mogą!

- A tam, panie, inwalidzi! Jacy oni tam inwalidzi!? Zdrowe chłopy, to widać! Dzisiaj każdy sobie załatwi jakąś kartę inwalidzką i pcha się na chama! Każdy skombinuje dubeltówkę i potem mówi, że był w partyzantce. Pokażcie chociaż uprawnienia kombatanckie!

- Uprawnienia? Po co uprawnienia? Kto dzisiaj sprawdza uprawnienia! Nie widział pan tego gościa na Starym Mieście, co skombinował białą laskę i czarne okulary i kupuje „na niewidomego”?

- Albo kobiety „w ciąży”, z poduchą pod sukienką! Co za czasy!

- A może ci dwaj obywatele są w ciąży?

Wybuch śmiechu.

- To wam nic nie da! Ciężarni czekają jak wszyscy!

Znów śmiechy, komentarze. Tłum kolejkowiczów wesoły,

lecz zarazem czujny, podejrzliwy, gotów do skoku.

Pierwszą myślą gangsterów jest: „Strzelić. Strzelić na postrach. Kropnąć wzdłuż kolejki, cienkim śrutem, po nogach, po łapkach, to wystarczy, będą zmiatać jak zające i odechce im się żartów”. Ale w powietrzu unosi się coś dziwnego, nieokreślonego, jakieś opary złości, nienawiści, nerwów w takim stężeniu, że aż elektryzują, iskrzą jak burza magnetyczna i od tego robi się zimno w kręgosłupie, a w głowie jakoś tak watowato. Ta elektryczność wisząca w powietrzu zakłóca ich własny magnetyzm, fałszuje pracę neuronów. Czują jak ich sploty słoneczne opuszcza to własne, przyjemnie magnetyzujące ciepło, niezbędne by działać, niezbędne chociażby do tego, by w porę osłonić się przed dystygowaną panią, która ich wali parasolką po głowie, czy przed krępyim jegomościem, który odpycha ich energicznymi pchnięciami biodra.

No, jazda! Jeden strzał! Jeden krzyk: „Pod ścianę!” Lecz zamiast straszliwego, potężnego krzyku, z ich ust dobywa się tylko kilka bąbli śliny i jakieś śmieszne, okaleczone, bełkotliwe „po...szczane...”

Ostatnie „pod ścianę” już całkiem utonęło im w gardłach i właściwie sami nie wiedzą jak to się stało, że poszli się ustawić na końcu kolejki. Nie chcieli tego, to pewne. Chcieli działać, lecz ciała odmówiły posłuszeństwa, jak w złym śnie. Byli nawet obojętni na złośliwe komentarze, które potem nastąpiły, a które zresztą szybko zostały ucięte:

- CIIIIISZAAAAA! Co to za jazgot!!!??? Pracować nie można w takim jarmarku!!!

To kasjerka, o aparycji i głosie kapo z niemieckiego obozu koncentracyjnego Auschwitz-Birkenau, która pomyliwszy się przy liczeniu banknotów, wyładowała zły humor na klientach.

W olbrzymiej sali zapadła cisza. Wszyscy skulili ramiona,

każdy się zrobił malutki i szary, i grzecznie czekał na swoją kolej. Gangsterzy też.

\*\*\*

Przebywszy ogromny Plac Defilad, pusty jak wymiółł, jeśli nie liczyć kilku przechodniów walczących z wiatrem i kilku autokarów, w których drzemali wymięci kierowcy, Renata i Klewer przeszli podziemnym przejściem pod ulicą Marszałkowską. W przejściu pachniało gazem, ulatniającym się z przewodów, których złącza zostały rozszczelnione pod wpływem drgań, powodowanych przez tramwaje jadące po nierównych szynach. Kilka lat temu gaz zebrał się pod pobliską Rotundą - okrągłym budynkiem Kasy Oszczędności na rogu Marszałkowskiej i Alej Jerozolimskich - i wysadził ją w powietrze wraz z personelem i klientami.

Wyszli naprzeciwko Domów Towarowych Centrum, na tak zwanej Ścianie Wschodniej, na wysokości ulicy Sienkiewicza. Weszli w tę ulicę, minęli fasadę banku, z którego dobywały się odgłosy jakiejś awantury, i weszli w pasaż na tyłach domów towarowych.

Wszędzie pełno tu było młodych ludzi. Zalegali na obłuszczonych ławkach, na poźółkłych od moczu chodnikach, na lepkich od wyplutej gumy do żucia brzegach małej, dawno nieczynnej fontanny.

Najwyraźniej było to zagłębienie narkomanów, jego niedawnych klientów. „Skąd biorą towar?” odezwało się w Klewerze zawodowe zainteresowanie, ale nie powiedział tego na głos, za nic nie przyznałby się teraz, czym się zajmował przez większość swego dorosłego życia. Było mu wstyd przed Renatą, a nawet (zauważył to ze zdumieniem) przed samym sobą.

Usiłował nie wdychać wszechobecnego zapachu gazów spalinowych, którego ciężkie kłęby wiatr niósł z pobliskiej ulicy Marszałkowskiej, gdzie przejeżdżało kilka samochodów osobowych i jeden autobus.

Na szczęście dość szybko dojrzał kapelusz Renaty, na głowie jakiejś dziewczynki, chyba dwunastoletniej, siedzącej na brzegu fontanny.

- Pozwolisz, to nasz kapelusz - zauważył, że dziewczynka jest dobrze ubrana, z dyskretną elegancją, i że kapelusz, chociaż za duży, nieźle na niej wygląda.

- Ależ tak, oczywiście, bardzo przepraszam, że go założyłam, chciałam tylko przymierzyć - podniosła na niego białawe, mętne oczy. - Proszę bardzo, już panu zwracam...

Podawała mu kapelusz, lecz w tym momencie coś nią targnęło. Odruchowo podstawiła kapelusz pod usta, jak pielęgniarską nerkę, i wymiotowała do niego.

Klewer odwrócił się na pięcie.

- Chodźmy stąd! - musiał podnieść głos, aby przekrzyczeć dudnienie tramwaju.

Gdy opuścili pasaż i skręcili w spokojną uliczkę Sienkiewicza, dodał już normalnym tonem: - Myślałem, że tu ich nie ma.

- Że czego nie ma? A, ćpunów - ton Renaty był obojętny - Wprost przeciwnie, jest tego mnóstwo. I chyba nie narzekają. To jedyny towar, którego nie brakuje. Nie licząc wódki, oczywiście.

\*\*\*

Kolejka posuwała się dość sprawnie, i nie minęły cztery godziny, a już tylko kilka osób dzieliło gangsterów od upragnionego okienka. Dziwna rzecz: tych kilka godzin stania nie zmęczyło ich zbytnio, przeciwnie, było to tak jakby czerpali



jakaś siłę z faktu, że przynależą do małej, kolejkowej społeczności, a nawet zaczynało im się trochę podobać, no, podobać to może za duże słowo, ale wciągać, to jak gra, tak, wciągać, że zachowują się jak wszyscy - gawędzą z kolejkowymi sąsiadami, uważają, żeby nie dać się wyprzedzić czy wypchnąć, a zwłaszcza - i to było najbardziej podniecające - obserwują ludzi przed sobą i liczą, ilu jeszcze zostało.

Sześciu. Już tylko sześciu! Oczywiście, to jeszcze może się zmienić, bo co chwila zjawiają się nie wiadomo skąd jacyś ludzie, którzy jakoby sobie „zajęli” kolejkę, i wtedy jest znowuż moment napięcia: czy z kolejki padnie „pan tu nie stał!” czy może „tak, tak, ten pan tu stał, widziałem...”. W ten sposób kolejka może się niespodziewanie wydłużyć. Ale tym razem nic takiego nie nastąpiło. Trzy! Dwa! Jeden! Lecz cóż to za tabliczka z ciemnego drewna, na czarnej, lakierowanej podstawie, którą kasjerka ustawia na ladzie okienka? Wspinając się na czubki palców, by spojrzeć nad ramieniem kolejkowicza stojącego przed nimi, gangsterzy sylabizują:

„Z powodu zabraknięcia pieniędzy bank nieczynny aż do odwołania”.

Nie może być mowy o pomyłce. Złocene litery odcinają się od ciemnego drewna całkiem wyraźnie. Gangsterzy spojrzeli po sobie. Co robić? Co teraz zrobią inni?

Kolejka stała jeszcze chwilę, ludzie ociągali się, rzucali na kasjerkę błagalne spojrzenia, lecz widząc, że pakuje do torebki termos i nie dojedzone kanapki, zaczęli się rozchodzić.

Gangsterzy zostali sami przed okienkiem.

Nagle opanowała ich jakaś desperacka histeria. Tyle czasu! Tyle czasu i tak blisko celu!

- Pieniądze albo życie! - wrzasnął Luciano i wsunął przez okienko lufy dubeltówki, celując prosto w głowę kasjerki.

Santucci, z bronią przy biodrze, ubezpieczał go, rozglądając

się dookoła.

- A skąd ja ci wezmę! Spod ziemi wam do cholery nie wykopię! Co za ludzie, jak pragnę zdrowia! - kasjerka nie tylko nie przestraszyła się wycelowanej w nią broni, ale przeciwnie, rozjuszyła się do białości. - Widzicie przecież, że nic nie ma! - Wyciągnęła pustą szufladę spod blatu, potrząsnęła nią, ukazując puste przegródki. - Zabrakło! Nie rozumiecie po polsku!?

Owszem, doskonale rozumieli, byli już nieźle otrzaskani, zwłaszcza ze słownictwem negatywnym, ze zwrotami zaczynającymi się na „nie”. Ale nawet gdyby byli Chińczykami to i tak by zrozumieli, tak wyraźna, wymowna była pantomima odegrana przez kasjerkę. Nie ma pieniędzy. Ona naprawdę nie ma pieniędzy. Mimo to zapomnieli już o racjonalności. Wszystko jedno, pieniądze mają być! Muszą się znaleźć! Jak nie, to będą zabijali wszystkich po kolei, aż pieniądze się znajdą. Zabijać. Wszystkich zabijać!

Luciano z furią nacisnął spust. Nic. Nic się nie stało. Spust sprężynował, jakby jedna z iglic się nie napięła. Nacisnął drugi spust, od dolnej lufy. Znowu nie padł strzał, nastąpił tylko trzask iglicy uderzającej w spłonkę.

- Co się znowu dzieje? - Luciano złamał broń, obejrzał naboje. Na jednym był wyraźny ślad po iglicy. Wilgoć, czy co?

Eżektory nie wyrzuciły ciężkich, nie odpalonych ładunków, Luciano wyciągnął je więc z luf ręcznie i rzucił na posadzkę. Sięgnął po następne, lecz niełatwo je było wyszarpnąć ze zbyt ciasnych, nierównych, nie dopasowanych przegródek skórzanego pasa produkcji Ludowej Spółdzielni Pasów Skórzanych w Krośniewicach. Wcisnąć je było łatwiej. Nagle nitka, którą przszyto skórzane przegródki, nitka wyprodukowana przez Socjalistyczną Fabrykę Nitek w Nieporęcie nad Bugiem, pękła i naboje wysypały się na posadzkę.

Tymczasem Santucci podszedł do okienka, spokojnie, na zimno, wycelował w głowę kasjerki, która zresztą nie zwracała na nich już najmniejszej uwagi, pakowała swoje rzeczy - herbatę, czajnik, słoik z resztką mleka, termos, ręcznik - i nacisnął oba spusty, jeden po drugim. I znów nic, tylko dwa suche trzaski. Lucky próbuje złamać broń, żeby obejrzeć spłonki, wymienić naboje na inne, bo te widocznie zamokły, ale mimo że broń jest odryglowana, nie można jej złamać.

- Psiakrew! Zacięło się! - Wściekły, ciska strzelbę na marmurową posadzkę. - Robicie to wszystko na złość! Jesteście w znowie z Klewerem! Wszyscy w znowie!!! - krzyczy rozdzierająco, nie wiadomo do kogo, bo sala jest już pusta, tylko echo, odbite od kopuły, powtarza jego słowa: „W znowieeee! Znowieeee! ooowieeee...”

Nagle w sali zjawia się strażnik, prowadzony przez bardzo niezadowoloną sprzątaczkę.

- Pan usunie tych chuliganów! Śmiecą tutaj, na podłogę rzucają. I kto to będzie sprzątał? Mnie za nadgodziny nikt nie płaci!

- Co to za zachowanie przed dwudziestą drugą? - Strażnik, niski, kwadratowaty, krępy, chociaż brzuchaty, to widać, że bardzo silny, był szczerze oburzony - żebyście jeszcze byli po kielichu, to bym zrozumiał, bym wam nawet pozwolił się kimnąć u mnie w pakamerze. Ale tak na trzeźwo? Byście się wstydzili! Ja was nauczę kultury!

Chwyta ich za kołnierze i ciągnie w stronę służbówki, przy drzwiach wiodących na ulicę, zakorkowanych przez tłum klientów opuszczających bank.

Gangsterzy spoglądają po sobie.

- Zrób coś, Big!

- Ale co?

\*\*\*

Renata i Klewer weszli do budynku przy placu Powstańców Warszawy pod numerem drugim. Budynek był okazały, jego fronton zdobiła mozaika, przedstawiająca typowe sceny z życia wsi: wzorowy wieśniak na traktorze, wieśniaczka dojąca mechanicznie, ich dzieci śpiewające w chórze - a nad tym wszystkim wielki napis, z którego niektóre litery odpadły, albo zostały ukradzione, oznajmiał: DO. C.ŁOPA".

Klewer poprowadził Renatę do szatni przy ubikacji i dał szatniarzowi sto złotych, mówiąc:

- Dzień dobry, panie Kaziu, jak zdrowko?

- Szanowanko, Szefie - pan Kazio uśmiechnął się, wsunął do kieszeni banknot - proszę uprzejmie, już podaję przepusteczkę - mrugnął porozumiewawczo i podał Klewerowi parę olbrzymich gumiaków i obszerną kapotę haftowaną w ludowe wzory. Klewer bez najmniejszego zdziwienia ani uśmiechu wciągnął gumiaki, narzucił kapotę. Tak przebrany, poprowadził swoją towarzyszkę w stronę recepcji.

- Dzień dobry, pani Basiu - obdarzył recepcjonistkę swoim najpiękniejszym uśmiechem - Co nowego? Jak tam pani nasienie? Czy pani już posiała? Jeśli łaska, to poproszę klucz.

Recepcjonistka zmierzyła Renatę nieprzyjaznym wzrokiem i odparła zjadliwie:

- Kierownik mówił, że to pana skierowanie jakieś dziwne... pieczętka niewyraźna... i w ogóle, coś mi pan na chłopa nie wygląda...

- Jezus Maria! Józefie Świąty! Ja na chłopa nie wyglądam!?! Co też pani mówi, panno Basieńko! Ja na roli robię całe życie. Z dziada pradziada! - Klewer wykrzyknął z najwyższym

oburzeniem. Po czym wskazał Renatę:

- Niech moja siostra zaświadczy! Razem uprawiamy ojcowiznę! Jest tego dwie morgi, trzy hektary, pięć wiorst, akurat tyle, co reforma uznaje za małorolne...

Panna Barbara rozchmurzyła się na słowo „siostra” i spojrzała na Renatę okiem mniej niezyczliwym.

- No, jeżeli tak, to...

Zdjęła z tablicy klucz i podała Klewerowi.

Gdy znaleźli się sami w korytarzu, Renata parsknęła śmiechem.

- Od kiedy to przeistoczył się pan w małorolnego?

Klewera natomiast ta sytuacja wcale nie śmieszyła. Ani go to nie śmieszy, ani nie szokuje, że musi wkładać jakąś chłopską kapotę, żeby wejść do swojego pokoju. Było oczywiste, że gangsterzy będą go szukać po hotelach. Więc znalazł taki niby hotel, który nie nazywa się hotel, tylko „Dom Chłopa”. W zasadzie tylko dla rolników, jak wskazuje nazwa. W zasadzie trzeba tu mieć skierowanie z Gminnego Urzędu Rolnictwa w swojej wsi, podstemplowane przez Sekretarza Rolniczej Komórki Partyjnej i Prezesa Kółka Traktorowego. W zasadzie... tak naprawdę jednak wystarczy odrobina sprytu. Zupełnie mu nie przeszkadzało, że mieszka w takim dziwnym miejscu, ani to, że dla niepoznaki musi się trochę przebierać za wieśniaka, zresztą to przebranie nie jest chyba konieczne, raczej należy do jakiegoś ludycznego rytuału ustanowionego przez pana Kazia, szatniarza, bardzo wesołego człowieka. To też mu nie przeszkadza.

Zdziwiła go natomiast pogarda, jaką Renata okazywała za każdym razem gdy mowa była o chłopach, robotnikach, czyli, jak to określała, „plebsie”. „Co pani ma przeciwko nim?” spytał kiedyś, a ona odparła, że nic, że ich szanuje jak wszystkich, tylko że jest to naturalna reakcja obronna na

wszechogarniającą propagandę, która wmawia, że te dwie warstwy społeczne są najważniejsze, najlepsze, najmądrzejsze i co tylko. Co ciekawe, sami zainteresowani w to uwierzyli, i zachowują się, jakby byli arystokracją, a właściwie nie, zachowują się o wiele gorzej, bo prawdziwa arystokracja raczej jest skromna. Tak przynajmniej twierdziła Renata, która sama miała jakieś arystokratyczne koligacje, o których długo i zawile mu opowiadała, z czego nic nie zrozumiał poza tym, że jest spokrewniona z angielskim księciem Karolem czy Filipem przez praprapra (nie pamięta już, ile było tych „pra”) babkę. „Na tej zasadzie to wszyscy jesteśmy skoligaceni” - pomyślał wtedy, ale nie powiedział tego. Niech jej będzie, skoro ją to bawi. Może to jej zastępuje nudę, niedowartościowanie, brak wolności, o której tyle mówi?

- To pan tutaj mieszka!? Ależ tu strasznie ciasno! I tak jakoś... rustykalnie.

- Rustykalnie, ale wcale nie plebejsko - zaproponował Klewer, wpadając w jej ton. Rzeczywiście, nie było tu plebejsko, a już na pewno nie lumpenproletariacko. Pokoik był czystutki, stylizowany na chłopską chatę, i chociaż bardzo ciasny, to jednak dobrze wyposażony: łóżko z haftowanymi poduchami, rzeźbiona skrzynia na pościel, służąca też jako podstawka pod walizkę, i nawet wygodka - drewniana kabinka w rogu pokoju, z okienkiem w kształcie serduszka, wyciętym w drzwiach.

- Brakuje tylko makatki z wyhaftowanym napisem „Proletariusze wszystkich krajów, łączcie się” - zaśmiała się Renata.

- A propos, wie pan, jak to jest po czesku? „Golodupki hop do kupki!” A tak serio: pokój gościnny jest wolny, może pan u mnie zamieszkać, zanim znajdzie pan coś odpowiedniego. Przynajmniej nie będzie pan potrzebował gminnych zaświadczeń... - dotknęła swą piękną, smukłą dłońią sukmany Klewera - ani przepusteczki.

\*\*\*

W Dzielnicowej Radzie Narodowej, w pachnącej nikotyną salce gdzie odbywają się kolegia w trybie przyspieszonym, dwaj gangsterzy, na stojąco, słuchali wyroku. W ławkach siedziała sprzątaczką z banku i strażnik oraz kilku milicjantów w stalowoniebieskich mundurach, w czapkach z paskiem pod brodą, co jest umownym znakiem, że są na służbie. Za prezydialnym stołem, nakrytym zielonym sukniem, siedziało trzech smętnych panów w szarych, wymiętych garniturach. Pan w środku czytał monotonnym głosem:

-Kolegiumdosprawwykroczeńwtrybieprzyspieszonymwimieniu PolskiejRzeczpospolitejLudowej za zakłócanieporządków miejscupublicznym oraz próbęskorzystania, bezuprawnień kombatanckich, z usług uspołecznionej placówki bankowej poza kolejnością skazuje obywateli Santucci Lucky i Luciano Big na dwa tygodnie odosobnienia oraz na karę dodatkową w postaci grzywny w wysokości tysiąca dziewięciuset siedemdziesięciuosiem dolarów amerykańskich...

- Ale my ich nie mamy! - wrzasnął desperacko Luciano.

- Tłumaczyliśmy przecież, że są w hotelowym...

- ...nie przerywamy Trybunałowi! ...płatnąwterminie trzechmiesięcy, oraz na zakazopuszczaniamiastaizmianymiejsc zameldowania. Jednocześnie przypominam też podsądnym o dopełnianiu obowiązku codziennej wymiany piętnastu dolarów amerykańskich po kursie oficjalnym. Proszę protokolanta o wydanie podsądnym zaświadczeń, że ich paszporty zostały zatrzymane w depozycie sądowym do czasu uiszczenia grzywny, oraz o wypisanie im skierowania do zakładu karnego. Następnym proszę!

Podczas gdy Przewodniczący przecierał okulary kawałkiem

irchy, milicjanci wyprowadzili szamoczących się i protestujących gangsterów, a na ich miejsce wprowadzili dużego, chwiejnego obywatela z jednym uchem - drugie najwyraźniej zostało utracone w jakimś wypadku, a może odcięte w ramach bandyckich porachunków. Próbowali ustawić go w pionie na środku pomieszczenia, przed prezydialnym stołem, lecz gdy go tylko puszczała - chwiał się, zataczał, w końcu padł na stół i zwymiotował.

\*\*\*

- Z serii złotych klasyków? - ekspedientka wskazała jedną z półek, zastawionych książkami.

- Tak, prosimy pięćset sztuk.

Nawet cień zdziwienia nie pojawił się na twarzy sprzedawczyni, co nie uszło uwagi Klewera.

- Widzę, że ma pani konkurencję - szepnął do Renaty.

- Zapewne niejedną - potwierdziła.

Tymczasem sprzedawczyni kładła na ladzie sterty grubych ksiąg w skórzanych okładkach - brązowych, beżowych, i w różnych odcieniach brązu i beżu. Klewer, niosąc je do zaparkowanego przed księgarnią fiata, zerknął na okładki: Lenin, Marks, Engels.

Gdy już wszystko załadowali, sprzedawczyni wyniosła z zaplecza książeczkę cieńszą od tamtych, oprawioną w zieloną skórę i podała Renacie.

- To nowy bestseller. Wszyscy biorą.

Renata zainteresowała się fakturą skórzanej oprawy, podczas gdy Klewer odczytał złożony napis na okładce: *Mu'ammara Al-Kaddafī - eseje i myśli, trzecia teoria uniwersalna*.

- Bardzo ciekawa lektura - zachęciła sprzedawczyni.

- Poproszę dwieście sztuk, na próbę - zakonkludowała Renata.



\*\*\*

- Masz to skierowanie?

Santucci niespokojnie pogrzebał w kieszeniach. On i Luciano stanęli właśnie na końcu długiej kolejki przed bramą więzienia, pół godzinki drogi piechotą od hotelu Grand-Victoria, przy ulicy Rakowieckiej, zwanej też przez tubylców najdłuższą ulicą w kraju, bo gdy się tam wdepnie, można wyjść na przykład dopiero po kilku latach, albo i nie wyjść wcale. Istotnie, w latach powojennych wielu bojownikom ruchu oporu, którym udało się przeżyć okupację niemiecką - nie udało się wyjść z tej ulicy, przy której ich zamknęli i zamordowali rodacy. Inni, mniej pechowi, dreptali tu przez siedem, osiem lat - czekając na wciąż odkładane wykonanie wyroku śmierci i dzieląc celę z hitlerowcami, przeciwko którym jeszcze niedawno walczyli. Dopiero po „odwilży” 56 roku udało im się opuścić tę zaczarowana ulicę.

Wreszcie Lucky znalazł dokument, „skierowanie do zakładu karnego celem odbycia kary odosobnienia w kwocie czternastu dni”, pod podszewką marynarki gdzie zsunął się widocznie przez dziurę w kieszeni, choć Lucky przysięgłby, że jeszcze przed wyjazdem jego garnitur był w idealnym stanie i nic się w nim nie pruć.

- Uf! Myślałem już, że zgubiłem!

- Może i lepiej by było... - westchnął ciężko Big.

- Oj nie, oj nie! Tylko nie to! Już sobie wyobrażam, co by się działo! Tego by nam tylko brakowało do szczęścia! - na samą myśl o utracie dokumentu i konieczności uzyskania duplikatu i przechodzenia w tym celu całej urzędowej drogi, Lucky zadrżał. Ostatnio jest kłębkiem nerwów. Ta ciągła walka z niewidzialnym przeciwnikiem wyczerpała go do cna. Najpierw myślał, że to Klewer, z pomocą licznych współników,

podstawia im nogę na każdym kroku. Podejrzewał, że wściekły kelner, niechętny recepcjonista, brutalny taksówkarz, złośliwy tramwajarz, telefonistka-furiatka - że wszyscy ci opętańcy, którzy mieli ledwie skrywaną ochotę skoczyć mu do gardła, to jacyś krewni czy przyjaciele Klewera. Lecz później się zorientował, że w tym kraju prawie każdy się tak zachowuje, a przecież niemożliwe, żeby Klewer miał tutaj tylu współników. Więc jest to po prostu normalne, zwyczajowe zachowanie tubylców: każdy wrzeszczy na każdego, każdy „opieprza, ochrzania, opierdala, objeżdża...” nie pamięta już, ile było tych synonimów, ale w każdym razie ich ilość w słowniku wyrazów bliskoznacznych, w który zaopatrzyła go mafia przed podróżą i do którego często zagląda, zrobiła na nim wrażenie. Język jest odbiciem narodu, Eskimosi mają dziesiątki określeń na różne rodzaje śniegu, ludy pustynne rozróżniają wiele określeń piasku, a tutaj najobfitsze słowotwórstwo dotyczy opieprzania, chlania, podiwaniania. Analiza słownika wiele mówi o narodzie, który się danym językiem posługuje. Tak uczono Lucky'ego na kursach antropologii stosowanej, które sfinansowała mafia swoim najlepszym, najinteligentniejszym ludziom.

A więc nie są to współnicy Klewera. Nie żadni jego przyjaciele. A więc i nie nasi wrogowie. Do nas osobiście nic nie mają. To po prostu zwykli ludzie. Widocznie tu każdy wychodzi ze skóry, żeby zaszkodzić drugiemu, nawet gdyby to miało, rykoszetem, uderzyć w niego samego. Czy to jakaś genetyczna cecha tej nacji? I jak w takim kraju działać?

Poza tym - i to go napęniało goryczą - dobrze wiedział, że są ludzie, którzy w tej dżungli sobie radzą. Przede wszystkim tubylcy, to oczywiste, lecz także Klewer, który, diabli wiedzą dlaczego, zwycięża w każdej rozgrywce. A przecież na Zachodzie nie był to wielki cwaniak: po prostu goniec,

posłaniec, nic nie znaczący przemytnik, jeden z wielu trybików mafii. Dlaczego więc tutaj ta „gumowa ściana” działa na jego korzyść? Bo to jest gumowa ściana. Odkąd tylko zrozumiał, że jego oponentem nie jest Klewer ani jakiś konkretny człowiek czy grupa ludzi, Santucci nazywa „gumową ścianą” tego niewidzialnego przeciwnika, który, gdy go zaatakować, udaje że się cofa, lecz który na dobre nie ustępuje nigdy, i nawet jeśli się ugnie, to tylko po to, żeby tym mocniej cię objąć, okręcić, skrępować, zasznurować, zdusić i zrobić z mężczyzny szmatę. Na Santucciego biją zimne poty. Ach, gdybyż to był przeciwnik z krwi i kości, można by go przy- szpilić, zetrzeć na proch, jak to już nieraz robił ze swoimi wrogami w normalnym świecie, co przysporzyło mu sławy i zapowiadało błyskotliwą karierę i dzięki czemu miał przydomek „Lucky” - Szczęściarz... Lecz ten przeciwnik jest niewidzialny, jak powietrze, a zarazem jest obecny wszędzie, jak Bóg. Czy komunizm to Bóg?

Zaraz, zaraz, zastanówmy się, od czego się zaczęło? Kiedy właściwie zaczęli się bać? Jakiś drobiazg, coś bez znaczenia... Brak miejsca w hotelach... Nie, nie to. Telefonistka - też nie. Nawet nie ona.... Jedno i drugie? Ależ tak, jedno i drugie i trzecie i dziesiąte i setne! Wszystko razem! Drobiazgi się nakładają i kumulują, i tworzą... ale to nie tylko kwestia ilości tych drobiazgów, chociaż było ich dużo, bardzo dużo, tyle, że mogłyby skruszyć skałę. Lucky jest twardszy niż skała. Musiało być coś jeszcze. Coś nadnaturalnego. Albo raczej psychicznego... Ale co takiego, co takiego? A może... chyba że... A może te przeszkody nie są przypadkowe? Tak, tu coś jest, w tym tkwi tajemnica. Te drobiazgi układają się w całość, stąd wynika ich siła. A skoro nie są przypadkowe, to znaczy, że ktoś je naszykował. Że za tym wszystkim stoi jakiś architekt, jakiś konstruktor labiryntu, Bóg, Demiurg, Stwórca, potężna moc, która wszystko ukartowała, mądrze, naukowo, zręcznie,

niczego nie pozostawiając przypadkowi, nic nie puszczając na żywioł. Nie ma innego wytłumaczenia. No, bo jak to: te wszystkie przeszkody, te wszystkie dziwaczne problemy, które ich bombardują po sto razy dziennie od chwili, gdy postawili nogę na tej ziemi, miałyby być przypadkowe? Skądże. Lucky nie wierzy w przypadki. Nic na świecie nie dzieje się przypadkiem. W każdym razie nie tam, gdzie są ludzie. Przeszkody małe, przeszkody duże... - nuci sobie *Lucky - male, duże... małe czy duże, zawsze są. Zawsze. Ściana z gumy...* czasem naprawdę ma się wątpliwości, czy przeciwnik rzeczywiście istnieje. A jednak, ślady jego działania są wszędzie, a każdy z nich to dowód na jego istnienie. I to jaki dowód!

Zresztą, ilość przeszkód też odgrywa tu pewną rolę: nawet jeśli się niektóre pokona, nawet jeżeli zapłaci się tubylcowi, żeby cię zakwaterował i był twoim przewodnikiem, wyłoni się sto innych przeszkód, a przecież nie możemy tu siedzieć latami! Wszystko, czego chcemy, tó jak najszybciej wykonać zadanie i zniknąć!

Santucci spojrział na Luciana. Pewnie Big czuje mniej więcej to samo, tylko może nie analizuje tego tak świadomie, nigdy nie był intelektualistą... To jednak uderzające: już po kilku dniach pobytu dopuszcza do tego, żeby jakiś taksówkarz podbił mu oko. On, najlepszy karateka i kickbokser spośród Wszystkich... Dał się zaskoczyć... Chwila nieuwagi i już. Ale przecież zazwyczaj jest maniakiem ostrożności. To wszystko psychiczne... W każdym razie on też najwyraźniej stracił głowę, to widać chociażby po tym, że całkowicie wypadł z roli skutecznego pomocnika przy wykonywaniu misji. Misji, która zapowiadała się jako całkiem relaksowa, ha, ha!...

- Ha, ha, ha! - zaśmiał się gorzko, na głos, aż Big spojrział na niego z niepokojem.

A właściwie, to ciekawe - myślał Santucci dalej - czy Szefer, wysyłając nas tutaj, wiedział, co nas czeka? A może wysłał nas tutaj świadomie, żeby nas poddać jeszcze jednej próbie, nauczyć skromności, przypomnieć w ten subtelny sposób, że nie wszystko potrafimy i że nasz profesjonalizm ma swoje granice. Innymi słowy, II Capo byłby w pewnym sensie wzmowie z komunistami, a oni z nim? No, nie przesadzajmy, chociaż...

Santucci ma cały czas irytujące wrażenie, że dosłownie pod ręką, o dwa kroki stąd, jest klucz do rozwiązania wszystkich problemów, tajny plan labiryntu, niezawodna broń, dająca zwycięstwo, lecz on nie może jej wymacać w tym bagnie. Bo to jest bagno, o właśnie, bagno, nawet nie ściana z gumy tylko bagno, pochłaniające wszystko i wszystkich, którzy byli na tyle nieostrożni, że w nie wdepnęli.

To bagno wciąga, pochłania i niszczy, albo przetwarza, formuje na swój użytek, robi z człowieka mutantą, tak, całą rasę mutantów, niczym te dziwaczne, blade, pozbawione pigmentu, ślepe, lecz obywające się bez oczu stwory, żyjące w wiecznej ciemności w jaskiniach, albo jak te wodniste karaluchy o łapkach, czułkach i panczykach prawie przezroczystych, które Lucky odkrył za hotelową wanną, gdy szukał jakiegoś zaworu, by odciąć wodę i móc wreszcie naprawić kran.

Ci ludzie z siatkami bądź koszykami na zakupy, które jakby wyrastały z ich dłoni, tak były nieodłączne. Te istoty o wzroku drapieżnych ptaków, zdolne dostrzec z nieprawdopodobnych odległości, wśród tysięcy rzeczy absolutnie niepotrzebnych, tę jedną, na którą polowali od miesięcy. Ci ludzie o nerwach tak wyostrzonych, że zawsze wiedzą kto, z której strony ich popchnie, zwymyśla, strati... Santucci chciałby postępować jak oni, zgodnie z zasadą wpojona w Szkole Przetwania: „zawsze upodabniaj się do otoczenia. Obserwuj tubylców i

naśladowaj ich. Jeżeli oni tam żyją, możesz i ty". Ta zasada sprawdzała się w dżungli, w pustyni i w Arktyce. Dlaczego nie sprawdza się tutaj? Jak ma ich naśladować, skoro ich nie rozumie? Nawet podstawy psychologii, które zapamiętał z poprzedniego szkolenia, zaliczonego kilka lat temu, nie na wiele się przydają. Według jakich tajemnych praw żyją tubylcy? Jak można żyć wśród ciągłych wrzasków, nienawiści, bezinteresownej nieżyczliwości, chamstwa, tak, właśnie, chamstwa - Lucky jest wprawdzie bandziorem, zgoda, ale nie jest chamem i chamstwo go razi. Jakoś nie może się upodobnić do tych tubylców, chociaż wie, że powinien, i chociaż próbuje. Czy to oni go odpychają, nie chcą, żeby stał się jednym z nich, czy też raczej w nim samym tkwi jakaś blokada, jakiś instynkt, który nie pozwala mu odrzucić resztek człowieczeństwa? Jeżeli tak jest, to należałoby ten instynkt jak najprędzej zniszczyć! Przypomniał sobie dżunglę amazońską. Gorący wieczór. Helikopter nad polaną, to II Capo przyleciał na inspekcję, gratuluje im, jesteście najlepsi, wytrzymaliście w warunkach ekstremalnych najdłużej ze wszystkich kursantów, w nagrodę podaje im rękę do pocałowania, Lucky podbiega z patelnią pełną smażonych piranii, czy zechce pan skosztować, Szefie? Są naprawdę pyszne! Ech, to były czasy!

Kolejka trochę się posunęła. Santucci spojrział na wieżyczki więzienia, na których rysowały się już wyraźnie sylwetki wartowników uzbrojonych w broń maszynową. Westchnął i uśmiechnął się smutno. W gruncie rzeczy może nie jest tak źle... Może to i lepiej: dwa tygodnie odpoczynku, innej atmosfery, dobrze im zrobi. Jedzenie podadzą, zakupy zrobią. Będzie czas na przemyślenia. No i na wytchnienie psychiczne. Nie myśleć bez przerwy o kolejkach, ani o zadaniu, które, chociaż wydaje się z innego świata i jakże odległe, na pewno jednak ich dręczy. No więc, będzie czas na przemyślenia. Kto

wie, może nawet nauczą się czegoś pożytecznego od innych więźniów? Jakichś tricków, sposobów, ciekawych sztuczek?

\*\*\*

Na ulicy Kubusia Puchatka Klewer wyciągał z samochodu sterty książek i wnosił je do sklepu. Sklep, jak głosił szyld, nazywał się „Butik Renata - kurtki-torby-rękodziel- nictwo”. Na zapleczu urządzono pracownię, w której „czeladnicy płci żeńskiej” żwawo brali się za książki: jedna z trzaskiem zrywała okładki, druga ostrym nożem zeszkrobywała tekturowy spód i resztki kleju, a trzecia tarła je watką maczaną w rozpuszczalniku, pod wpływem którego blakły i znikwały złocone litery: Lenin, Marks, Engels.

Gotowe skóry trafiały na wielki stół, na którym Renata zestawiała je w piękne kolorystyczne kombinacje. Dziś asortyment kolorów został wzbogacony o śliczną, zielonkawą skórkę, odzyskaną z Kaddafiego.

\*\*\*

- No i co ja mam z wami zrobić? - strażnik prowadził obu gangsterów korytarzami. W jednym ręku trzymał ich skierowanie, drugą ręką drapał się w głowę. - Gdzie ja was upchnę? Ech, wydają te wyroki i wydają, piszą te skierowania i piszą, a nie myślą, że już dawno więzień zabrakło. No i gdzie ja was upchnę? Nawet dla recydywistów nie ma miejsca, a tu takie duperele, dwa tygodnie odsiadki, wstydziłibyście się... spokojniejszych lokujemy po korytarzach - wskazał pryce, ustawione pod ścianami - ale ostatnio zabrakło korytarzy...

Luciano i Santucci, nieco zdyszani, poprawiali jeszcze ubrania i przyglądali włosy, jakby dopiero co wyrwali się z jakiejś szarpaniny (rzeczywiście, w ostatniej chwili ktoś chciał

ich wykolegować i doszło do małej przepychanki). Rozglądali się ciekawie. Strażnik poprowadził ich dalej, przez wewnętrzny dziedziniec, po którym spacerowali więźniowie ubrani nieco dziwnie: spodnie cywilne, a góra więzienna, lub odwrotnie, spodnie w paski a na górze sweter...

- Pasiaków też brakuje... - narzekał dalej strażnik i jeszcze raz podrapał się w głowę. Zawrócił, poprowadził gangsterów z powrotem do bramy. Tam wyciągnął z kieszeni pieczętkę, i długopis, nagryzmoilił coś na skierowaniu i starannie przyłożył pieczętkę, uprzednio na nią chuchnąwszy.

- Poświadczyłem wam tu, że się zgłosiliście. I że was nie przyjęto z braku miejsc. Jesteście wolni - rzekł i oddał im dokument.

Uf! Załatwione! To się nazywa szczęście! Gangsterzy już chcieli się odwrócić i ruszyć do drzwi, gdy strażnik dodał:

- Będziecie się tu zgłaszać w każdy poniedziałek o piątej zero zero i jak tylko coś się zwolni, to was bierzemy!

-Co?

- Błagam pana! Odstaliśmy już swoje w kolejce!

- Chcielibyśmy to mieć z głowy!

- Nie mamy nawet gdzie spać. Z hotelu nas wyrzucają!

- Przykro mi, ale nic na to nie poradzę. Sami widzicie, jaka jest sytuacja. Ojczyzna Ludowa ma ciężki okres...

- To może, zamiast o piątej, moglibyśmy się meldować o jedenastej? Jak jestem głodny, nie lubię wstawać tak rano...

- Co? Piąta godzina to dla niego za wcześnie? Cały proletariatus pracuje, a takim zachciewa się wysypiać!?! - czerwony ze złości, strażnik wypchnął ich za bramę i rzucił ostro w stronę kolejki: - Następni dwaj! Szybko!

Czekając na zwycięzców szarpaniny, która wybuchła po tych słowach wśród najbliższych kolejkowiczów, strażnik gapił się bezmyślnie na dwóch delikwentów, których właśnie wyrzucił i



którzy odchodzili ciężkim krokiem, z opuszczonymi rękami, przygarbieni, oklapnięci, i nagle jakiś promyk dobroci zagościł na jego szorstkiej, prymitywnej twarzy:

- Będziecie się meldować bez kolejki! - krzyknął za nimi.

\*\*\*

- Robi się chłodnawo - Klewer wsypał ćwierć łyżeczki cukru do filiżanki z herbatą. On i Renata siedzieli w salonie białej willi, w głębokich fotelach, obszytych skórą w odcieniach brązu i beżu.

- Można by napalić w kominku, ale zabrakło drewna... - Renata rozpuściła dwie łyżeczki cukru w swojej filiżance - wie pan, może pan słodzić bez obaw, to cukier sprzed Czarnobyli, jak tylko wiadomość do nas dotarła natychmiast kupiłam na zapas dwa worki, z buraków zebranych jeszcze przed katastrofą...

- Wcale o tym nie myślałem - odparł Klewer, ale dosypał sobie jeszcze półtorej łyżeczki. - Hmm... A środki? To znaczy - wnętrza? No, chciałem powiedzieć zawartość? Jest chyba palna? - pociągnął łyk herbaty.

- Jaka zawartość? Ach, rozumiem. No tak, powinna być palna. Właściwie, czemu nie. Miałam zamiar ją wymienić na papier toaletowy, na święcie „Trybuny Ludu”, wie pan, będzie takie stoisko jak co roku, pod hasłem „oddaj literaturę na makulaturę” i tam się dostaje papier toaletowy, ale część możemy spalić.

Przynieśli z piwnicy naręcza książek pozbawionych okładek. Renata ułożyła je w kominku, po czym próbowała podpalić, ale nie chciały się zająć.

- Wilgotne, czy co?

Klewer, który tymczasem kartkował machinalnie jedną z

książek, uśmiechnął się pod nosem i przeczytał:

- Płomień rewolucji ogarnie lud...

- W kominku? - Renata, nieco rozmarzona i nieobecna kięczała przed kominkiem i zapalała coraz nowe zapalki, wciąż bezskutecznie. Była to czynność nie tylko pracochłonna, ale i niebezpieczna, albowiem komunistyczne zapalki są tak złej jakości, że zapala się jedna na dziesięć, a jeżeli się przy tym złamie, to zapalony koniec może wpaść do oka.

Klewer nadal wertował książkę. Nagle wybuchnął śmiechem.

- Czy wiedziała pani, że jest pani krwiopijcą? Kaddafi twierdzi, że każdy obywatel powinien sam wytworzyć wszystko to, czego potrzebuje. Szyjąc spódnice dla innych kobiet, czyni im pani krzywdę.

- A pan by wołał, żeby chodziły bez spódnic?

- Tak kiedyś będzie, w komunistycznym raj... cierpliwości, wszystko w swoim czasie... a czy wie pani, że opłacając gosposię, czyni pani z niej swoją niewolnicę? „Służba domowa to nowoczesna forma niewolnictwa” - zacytował z całą powagą.

Właśnie w tej chwili weszła gosposia, niosąc tacę pełną ciasteczek, i ujrzała wysiłki Renaty, zmierzające do rozpalenia w kominku.

- Pani pozwoli, ja to zrobię!

- Nie, Irmo, nie trzeba. Zwalniam panią.

- Że co!? No wie pani! Też pani wymyśliła! Jeżeli się pani zdaje, że znajdzie kogoś na moje miejsce, to uprzedzam, że nie tak łatwo! A już referencje to dam pani takie, że każda się dwa razy zastanowi, zanim...

- Ależ nie, pani Irmo, niech się pani uspokoi, źle mnie pani zrozumiała! Zwalniam panią na dzisiejszy wieczór. Sami ugotujemy kolację, to będzie zabawne.

- A, chyba że tak. No to do jutra, Renatko.

- Do jutra, pani Irminko!

Renata zrezygnowała z rozpalania ognia, wzięła do ręki jedną z książek odartych z okładek, otworzyła ją i zaczęła przeglądać.

- No, niech no tylko ja znajdę tu coś o panu. Nie pozbiera się pan. O, proszę już jest. Kto nie pracuje, ten nie je. To z Lenina. Zabieram panu ciastka.

Wzięła tacę i udając, że wychodzi, skierowała się do drzwi.

- Och nie, proszę! - Klewer udawał przestרח. - Niech je pani zostawi, to przeczytam o pani coś miłego. O, już mam: „Kobieta różni się od mężczyzny”. Hm, bardzo trafne spostrzeżenie. Ci rewolucjoniści mieli jednak swoje głębokie, rewolucyjne przemyślenia, a może i doświadczenia... O, jest następna sentencja: „Kobieta jest istotą ludzką”. No, z tym to już można by polemizować...

- Ach, tak!? Polemizować? Dobrze! - Renata zdecydowanym gestem podniosła tacę i odwróciła się do wyjścia, lecz Klewer cisnął do kominka resztki Kaddafiego, chwycił ją wpół i, udając że chce się dobrać do ciastek - przytulił mocno.

W książkach, które bezskutecznie próbowała rozpałić, jakaś iskierka musiała się jednak wykluć, a może nastąpił tam samozapłon myśli rewolucyjnych, gdyż nagle w kominku zasyczało i płomienie, z hukiem i trzaskiem, wypełniły go niczym ogień Rewolucji Październikowej.

\*\*\*

- A nie lepiej było poszukać stałej posady? - jęknął płacząco Big.

Z pustymi siatkami w dłoniach on i Lucky Santucci stali w

kolejce średniej (od stu do stu pięćdziesięciu osób) w sklepie mięsnym przy ulicy Dzielnej. Gdyby zobaczył ich teraz Szeff, prawdopodobnie z wrażenia upuściłby cygaro. Ich wygląd uległ poważnym przeobrażeniom: garnitury nie tylko wymięte, ale i wyświechtane, kołnierzyki rozchełstane, włosy rozczochrane i tłuste, twarze blade, nie ogolone, wstrząsane nerwowym tikiem, oczy niespokojne, ruchliwe, rozbiegane, zajęte śledzeniem kolejkowych sąsiadów - w niczym nie różnili się już od innych kolejkowiczów. I nie wyglądało na to, by czerpali jakakolwiek energię, radość czy satysfakcję z przynależności do kolejkowego kolektywu.

- Przecież wiesz, że nie mamy tu prawa do pracy na etacie! - Lucky wzruszył ramionami. - Musimy pracować na czarno! Nie martw się, mówili mi miejscowi, że ze stania w kolejkach można żyć jak panisko! Kupujemy w sklepie, sprzedajemy na czarnym rynku, i tak w kółko!

- A gdyby tak dać nogę?

- Co!? Miałbyś odwagę pokazać się Szeffowi na oczy bez kolejki... eee, to jest, chciałem powiedzieć, bez wykonanego zadania? Zresztą, jak się stąd wyrwiesz? Bez paszportu, z wyrokiem, bez forsy? Popatrz lepiej, jak sobie radzi konkurencja...

Wskazał wzrokiem staruszka, siedzącego na wózku inwalidzkim, zapewne sparaliżowanego od pasa w dół, a do tego niewidomego, bo miał ciemne okulary, a na kolanach trzymał białą laskę. Staruszek wykupywał właśnie bez kolejki mięso na pięć podwójnych kartek dla kobiet w ciąży, nie przejmując się wcale wyzwiskami, które sypały się na niego ze wszystkich stron.

Gangsterzy patrzyli, jak jedzie na swym wózku w stronę wyjścia, obłożony całą stertą siatek wypakowanych mięsem wołowym w dużych kawałkach owiniętych w szary, prze-

moknięty papier, odprowadzany wściekłymi spojrzeniami i kąśliwymi uwagami, torując sobie drogę uderzeniami białej laski. Ech, to jest dopiero gangster! Rozmarzeni, odprowadzali go wzrokiem i patrzyli jeszcze za nim przez wystawową szybę, gdy był już na ulicy. Taką karierę zrobić, to jest coś!

Dlaczego nam się nie udało? Dlaczego nasz trick nie działał, a działają podstępny tych, co udają kobiety w ciąży albo niewidomych? Czy było to tak dziwaczne, tak przesadzone, że kolejka wyczuła podstęp? Ale przecież wiadomo, że wszystko jest podstępem, że nie ma prawdziwych niewidomych ani prawdziwych kobiet w ciąży, a mimo to tamte numery przechodzą, a nasz nie przeszedł. „Przechodzą...” nagle Santucci zadrżał. Zaraz, zaraz, o czym on myśli. To przecież... nie, to niesamowite, on myśli o ich nieudanym napadzie na bank jako o nieudanej próbie załatwienia czegoś bez kolejki. Czy wszystko mu się już pomieszało? Przecież nic nie chcieli załatwić w okienku, w banku, w którym nie mają zresztą konta ani nie mają zamiaru zakładać konta, ani nic wpłacać czy pobierać. A mimo to spontanicznie mu się pomyślało... i jeszcze do tego próbuje dojść przyczyn niepowodzenia... to straszne.

Sylwetka człowieka na wózku inwalidzkim, zniekształcona przez nierówną szybę, nagle znieruchomiała. Widzieli to jak na filmie. Jak w zwolnionym tempie, chociaż odbywało się to normalnie. Do niewidomego inwalidy podeszło dwoje ludzi, mężczyzna i kobieta. Odebrali od niego siatki z mięsem, wręczyli mu plik banknotów.

- To oni!!! - wrzasnął Luciano, aż cała kolejka podskoczyła.

Rzucił się w stronę drzwi, lecz Santucci go przytrzymał.

- Stój. Po co!? Co im zrobisz? Nic im nie zrobisz!

Luciano opuścił ramiona i stanął z powrotem obok Lucky'ego.

Mieli wielkie szczęście. Dzięki refleksowi Lucky'ego podczas

tego incydentu nie oddalili się na więcej niż jakieś pół metra i mogli z powrotem się wcisnąć na swoje miejsce w kolejce. Taki uśmiech losu nie zdarza się co dzień.

Santucciemu myśli nadal kłębiły się w głowie. „Wpuszczono nas z powrotem do kolejki, bo nie jesteśmy w przodzie kolejki, w jej „czole”, więc czujność kolejkowiczów jest tu mniejsza, a tolerancja większa, bo inwestycja poczyniona, a mianowicie czas, przez który się stało w kolejce, jest jeszcze niewielka, więc do stracenia jest mniej. Po prostu im dalsze miejsce w kolejce, tym mniej cenne. Ciekawe, czy można by stąd wysnuć jakąś prawidłowość, jakieś naukowe prawo kolejkologii, zgodnie z którym odporność kolejki na obce ciała rośnie odwrotnie proporcjonalnie do odległości dzielącej kolejkowiczów od celu”, ale w tej samej chwili przestraszył się. „O czym ja myślę! Co za brednie! Co też mi chodzi po głowie! Chyba już głupieję od tego wszystkiego. A co by było, gdybym tu mieszkał przez całe życie?” Aż go przeszły ciarki. W miarę jak schodził w kolejny krąg piekieł, miał rzeczywiście wrażenie, że traci rozum... „W miarę jak schodził w kolejny krąg piekieł...” Skąd właściwie przyszło mu do głowy takie określenie - krąg piekieł? Takie dziwne, pretensjonalne określenie? Może z serialu „Niewolnica Izaura”, który tak lubił? Nie, chyba nie. Może z „Ptaków ciernistych krzewów”? Nieważne zresztą... W miarę jak schodził w kolejny krąg piekieł starał się analizować otaczającą go rzeczywistość coraz wnikliwiej. I za każdym razem wydawało mu się, że już, już uchwycił sens, mechanizmy tego świata, czy raczej antyświata.

Dlaczego ludzie tutaj robią wszystko na opak? Na znak protestu! Chcą, żeby się ten kraj zawalił. Niszczą go od środka. To wielkie poświęcenie patriotyczne z ich strony, bo przy okazji niszczą też siebie. Santucci przypomniał sobie, jak kilka lat temu został porwany przez konkurencyjną bandę i wieziony

w bagażniku, a koledzy próbowali go odbić, i zastanawiał się wtedy, co woli, czy żeby trafili w samochód porywaczy - choćby mieli przy tej okazji zabić jego samego - czy też nie. W końcu stwierdził, że woli, żeby trafili, a nawet próbował - bez skutku zresztą - dobrać się do wlewu paliwa i podpalić zbiornik. Podobny dylemat musieli przeżywać, i chyba rozstrzygnęli tak samo jak on, mieszkańcy tego kraju. Wolą dać się zabić niż funkcjonować w systemie, w organizacji, która nie jest ich dziełem. Nie przejdą do konkurencyjnej bandy. Santucci poczuł dla nich coś w rodzaju szacunku. Poczucie przynależności mafijnej było dla niego jednym z uczuć wyższych, stanowiło o honorze. Tak, to musi być właśnie tak. Jest jakaś mafia, która im narzuciła swoje panowanie, i chce czerpać z tego zyski, a oni na znak protestu robią wszystko na opak. Bo woleliby mieć własną mafię niż pracować dla cudzej.

Właściwie nie wiadomo kiedy zaczęło go to wciągać. Zauważył też, początkowo z niepokojem, a potem już jako rzecz normalną, że nieznacznie przesunęła mu się skala wartości, hierarchia zadań. Już nie poszukiwanie Klewera było na pierwszym miejscu, a zdobycie, właśnie, nie kupienie, tylko „zdobycie”, czegoś niezbędnego do przetrwania... Na widok kolejki miał ochotę od razu podejść i się ustawić, nieważne co tam rzucili (o, właśnie, nie „sprzedają” tylko „rzucili”, w słownictwie, którym się posługiwał w myślach, też zaszły pewne zmiany).

Kiedyś pasjonował się dobrymi wozami, teraz na widok kuriozalnej, cuchnącej syrenki dostawał ataku pożądlivosti. „Kiedyś pasjonował się dobrymi wozami” - dlaczego pomyślało mu się słowo „kiedyś”? Przecież to nie było żadne „kiedyś”, to było raptem dwa tygodnie temu!!! Ale chyba na innej planecie i w poprzednim wcieleniu, tak bardzo jest to już odległe. Czy jeszcze pamięta kim jest? Jak się właściwie nazywa? Santucci?

Santuski? Santurski? I kim jest z zawodu? „Jaki obywatel ma zawód? Gangsterski? Nie, to niemożliwe, nie ma takiego zawodu w Socjalistycznym Spisie Zawodów Obywateli” - powiedziano mu, gdy musiał się zarejestrować i udowodnić, z czego żyje. W końcu urzędniczka, która długo kręciła głową i wertowała różne zarządzenia, okólniki, dekrety, powiedziała, że wpisze go po prostu do najpopularniejszej kategorii: „robotniko-chłop, specjalizacja - stacz kolejkowy”. „Pochodzenie inteligenckie” - zaznaczył jeszcze Santucci w ostatnim odruchu obrony swej godności zawodowej, lecz urzędniczka postukała się w czoło - „Panie, chcesz pan sobie zabagnić życiorys?” - i Santucci przyznał jej rację. „Pochodzenie chłopskie” - wpisała i odtąd Lucky, uzbrojony w ten dokument, mógł w Urzędzie Gminnym dzielnicy Warszawa-Śródmieście pobierać kartki na cukier, buty, mięso, czekoladę, papierosy i wódkę.

Na myśl o kimś wrogim, na falę złości, nie reagował już, jak dawniej, odruchowym sięgnięciem po rewolwer, tylko nie wiadomo dlaczego miał ochotę wyjąć kartkę papieru, zaadresować „Uprzejma Komenda Milicji Obywatelskiej” i napisać: „Uniżenie donoszę, że obywatel Klewer Johnny, cudzoziemiec bez stałego zameldowania, zadaje się w towarzystwie plejbojów z Niemieckiej Republiki Federalnej oraz że przemycą do Ludowej Ojczyzny końcówki od długopisów w ilościach hurtowych...” - i podpisać: „Zatroskany Anonimowy Obywatel”.

Nagle Santucci aż się złapał za głowę. A właściwie dlaczego by nie? Przecież na pytanie, które zadali jednemu tubylcowi, „co by pan zrobił, żeby kogoś zniszczyć, zabić, zlikwidować”, usłyszeli taką właśnie odpowiedź: „Napisałbym donos do Milicji”. To prawda, że tubylec był już po kilku wódkach, i może po prostu żartował, ale co szkodzi spróbować? A nuż



zadziała? A nuż zaszkodzi, jak nie jemu, to tej jego wybrance? Trochę zazdrościł Klewerowi tej miejscowej dziewczyny. Ech, fajnie byłoby się tu ożenić... Właściwie zazdrościł nie tyle dziewczyny, co rodziny dziewczyny. Ma na pewno jakąś siostrzenicę, wujków, rodziców, może jeszcze babcię - słowem, ładnych kilka osób, które ten cwaniaczek będzie mógł wysyłać do stania w kolejkach. Wie co robi. Głupek? O, nie, Santucci już od jakiegoś czasu nie nazywał Klewera głupkiem. Po pierwsze dlatego, że tym samym uwłaczałby sobie - skoro głupek nie daje się złapać, to kim jest on, który z głupkiem przegrywa? A po drugie miał coraz większy szacunek dla zaradności i zdolności adaptacyjnych głupka, to znaczy nie głupka, tylko, jak on się tam nazywa - Klewera. Może jednak w nazwisku jest jakieś przeznaczenie i fakt, że ktoś nosi nazwisko „Sprytny” pomaga mu w życiu? „Lucky” to tylko przydomek, a więc nazwa nabyta, podczas gdy Klewer to nazwa odziedziczona. Widocznie przodkowie Klewera byli zaradni i sprytni i przyłgnęło do nich takie przydomek, a potem przydomek się usankcjonowało, stało się nazwiskiem, i tak jak geny nosi w sobie ślady zaradności przodków. Santucci ostatnio nabrał skłonności do filozofowania. Do teoretyzowania. Do wszelkiego rodzaju rozważań. Może dlatego, że w praktyce nic mu nie wychodzi, instynktownie rzuca się w regiony teorii? No więc, dlaczego Klewerowi się wszystko udaje? W tym tkwi jakaś zagadka. Czy Klewerowi udaje się to wszystko przypadkowo, czy też dlatego, że wcale nie jest głupkiem? I dlaczego jemu się udaje, a im nie, chociaż na pewno nie są głupkami? Przez moment przyszła mu nawet do głowy absurdalna myśl, że cały ten kraj jest w zмовie z Klewerem, że są to wszystko jacyś jego wspólnicy (może krewni? W końcu w rodzinnych stronach Santucciego, w Kalabrii, też wszyscy są spowinowaceni albo spokrewnieni),

którzy specjalnie, na każdym kroku, z zaciętością i z uporem, utrudniają im życie. Oczywiście to bzdura. Życie jest tu utrudnione jednakowo dla wszystkich, to widać jak na dłoni. Wszyscy je sobie utrudniają nawzajem po równo. I trzeba sobie z tym radzić. Ciekawe, że z tego utrudniania życia tubylcy chyba nie odnoszą żadnych bezpośrednich korzyści, że jest to sztuka dla sztuki, może jakiś narodowy sport. Chyba, że korzyści są ukryte, niewidoczne dla cudzoziemca. Ale jakie? I czy wszystko wynika tylko z utrudniania życia? Chyba nie. Nie wszystko da się tak wyjaśnić. Niektóre sprawy są wręcz tajemnicze. Na przykład te baterie. Autentycznie japońskie, nie zleżałe, bo świeżo ukradzione japońskiemu turyście wraz z aparatem, a jednak rozładowane. Czy Japończyk mógł mieć w aparacie niesprawne baterie? Teoretycznie mógł, ale Santucci czuł wyraźnie, że to nie tak, że te baterie były sprawne do chwili kiedy wylądowały w tym kraju, a dopiero wtedy coś się zaczęło z nimi dziać, coś takiego, że się zepsuły. Co? Coś metafizycznego - pomyślał Santucci, chociaż nie do końca rozumiał to słowo, ale czuł, że ono tu pasuje.

Chwilami ma wrażenie, że to wszystko sen. Że zaraz obudzi się w jakimś normalnym, spokojnym hotelu w normalnym kraju, zejdzie do hotelowej restauracji, nikt na niego nie będzie krzyczał, nic nie będzie zamknięte, nieczynne, niedostępne, zje śniadanie i weźmie się spokojnie do pracy. Może to wszystko mi się śni? - pomyślał po raz nie wiem który, i nawet próbował się obudzić, co się czasem udaje w koszmarnych snach, kiedy już się dusimy - ale nic z tego.

A może jest pijany? Przyjechał tu i straszliwie się upił i to są zwidy, ma delirium, dlatego wszystko wydaje mu się krzywe, dziwaczne, niezwykle? Rzecz jednak w tym, że Lucky nigdy nie pije. No, więc może upito go na siłę? Odurzono go czymś, a potem wstrzyknięto mu spirytus do żył? Kompletnie sobie tego

nie przypomina, ale to nic nie znaczy. W każdym razie to nie może być świat rzeczywisty. Przypomniał sobie zdanie z książki podróżniczej o wyprawie Kon-Tiki, kiedy to na widok rekina wielorybiego jeden z podróżników zawołał: „To nieprawda! takiego stworzenia nie ma!” No więc, takiego kraju nie ma. Nie ma i już.

Co myśli Szeff? Nie ma od nich wiadomości, termin dawno minął. Pewnie uważa, że zostali zabici, że zlikwidował ich Klewer, albo jakieś miejscowe gangi, niezadowolone z tego, że ktoś działa na ich terenie. Na pewno nie przychodzi mu do głowy, co tu się dzieje naprawdę. Bo chyba nikt normalny nie mógłby sobie tego wyobrazić.

Już po dwóch tygodniach pobytu w tym kraju ma wrażenie, że lada moment zwariuje. A co by to było, gdyby tu mieszkał na stałe... Najgorsze, że zaczyna go to wciągać. Im dalej schodzi w kolejny krąg piekieł... Stop! Myśli wracają, te same, trzeba przerwać to zakłęte koło! Trzeba sprawdzić, ilu jeszcze przed nami, wyliczyć średnią posuwania się kolejki... a jednak myśli nie dają się odpędzić. „Nie będą mieli gdzie spać...” Jak to? Przecież oprócz hoteli są na pewno tysiące innych możliwości, wynająć pokój u jakiegoś tubylca, (wprawdzie niełatwo, bo w każdym mieszkaniu gnieździ się trzypokoleniowa rodzina, ale coś by się przecież w końcu znalazło), w ostateczności koczować w parku - jest lato. A jednak nie przyszło mu to nawet do głowy. Brak pokoju w hotelu zamykał w jego głowie wszelkie możliwości. Czepiał się tego pokoju z jakimś dziwnym, zrezygnowanym uporem. Szedł jak owca na rzeź. Na biurokratyczną rzeź. Zatracił zdolność racjonalnego myślenia!!! Brrr.... co za okropny wniosek... od tego dnia zrozumiał, że wszystko, co mu się tu przytrafia (śni?) rozgrywa się w dwóch płaszczyznach: na zewnątrz i w głowie. Trudności piętrzyły się na zewnątrz, i trudności mnożyły się w głowie.

Efektom było coś w rodzaju paraliżu. Dobrze, że jeszcze nie zatracił jasności widzenia. Odtąd zaczął wszystko starannie analizować. Chciał nawet w pierwszej chwili to zapisywać, ale pomyślał, że lepiej nie, bo takie zapiski mogą komuś wpaść w ręce i zostać wykorzystane przeciwko niemu. A poza tym w sklepach zabrakło zeszytów.

Zapisywał więc w głowie. I snuł niekończące się rozważania, od których sam nie mógł się uwolnić. Na przykład: skąd bierze się ta komiczna, rozrośnięta i malownicza biurokracja? Po co te okólniki, zarządzenia, instrukcje, formularze, spisy przedmiotów w pokoju hotelowym? To jasne, szefostwo mafii chce w ten sposób zapewnić sobie kontrolę nad wszystkim, Lucky znał ten problem z własnego podwórka. Od razu też zrozumiał, że błędem tej mafii jest to, że się zanadto rozrosła. Nie można kontrolować wszystkiego! Tak było, gdy poprzednik jego Szefa chciał zanadto rozszerzyć strefę wpływów. I co? I nic z tego nie wyszło. Połknął więcej niż mógł strawić. Gdyby Santucci miał miejscowym gangsterom coś doradzać, to sugerowałby podział mafii na kilka niezależnych, lżejszych struktur. Wtedy można więcej rzeczy robić „na gębę”, nie potrzeba potwierżeń, pieczętek, podpisów. Wszystko jest prostsze. I nie ma tej straszliwej, pożerającej siebie samą biurokracji.

Inna ciekawostka, która go fascynuje: szarość. Dlaczego tu wszystko jest szare? Dlaczego większość przedmiotów jest szara? Czy komuniści nie są w stanie wytworzyć kolorów? Wyprodukować farb? Ależ nie, szary to przecież także kolor, trzeba wyprodukować szarą farbę, szarą wykładzinę, szare kafelki, linoleum, bakelit... więc nie oto chodzi. Może to jakieś specjalne, celowe działanie? Jest jakiś rozkaz, wydany zapewne przez jakiegoś szefa, że wszystko ma być produkowane w kolorze szarym, malowane na szaro, przykryte szarością. Po

co? Prawdopodobnie chodzi o to, żeby wywołać przygnębienie. Ale po co przygnębienie? Santucci zna techniki psychicznego znęcania się nad przeciwnikiem, wie, że dobrze jest przeciwnika dobić psychicznie, odebrać mu chęć do walki, że jeśli trzymamy u siebie kogoś z konkurencyjnej bandy, kogo udało nam się porwać, i chcemy z niego coś wydusić, to trzeba go zalać, nie tylko bólem fizycznym, ale i psychicznym, do tego służy pozbawienie snu, budzenie w nocy co pół godziny, no i oczywiście zamknięcie "w jakimś ponurym pomieszczeniu, w piwnicy, a ci tutaj nie są wprawdzie zamknięci w piwnicach, ale mają wszystko wokół siebie szare i piwniczne. Ale dlaczego ktoś chce ich złać psychicznie? Na to pytanie też odpowiedź może być tylko jedna. Konkurencyjna banda chce ich wykończyć. To jasne. Santucci uśmiechnął się z zadowoleniem. Reguły gry stawały się dla niego coraz bardziej przejrzyste. Wszystko tu było zakamuflowane, przyjmowało maski i pozory, zasłaniało się planszami z komunistycznym slangiem, lecz kiedy się te maski zdarło, ukazywał się świat normalny, świat, którym rządzą te same prawa co camorą.

A zapachy? Co z zapachami? Zapachy też są, nazwijmy to umownie, piwniczne. Inne, całkiem inne niż na całym świecie. Santucci znał różne zapachy, zapach kawy i benzyny w wielkich metropoliach, zapach rozgrzanych słońcem południowych roślin w ciepłych krajach, zapach pieczonej baraniny w krajach arabskich. Ale z czego składa się ten tutaj ohydny fetor? Spróbujmy go rozszyfrować. Składnik numer jeden: spaliny. Ale dziwne spaliny, w niczym nie przypominające spalin w Nowym Jorku. Co ciekawe, stężenie spalin nie było proporcjonalne do natężenia ruchu. Samochodów było niewiele, ale każdy ciągnął za sobą smugę czegoś gęstego. Uwagę zwracały zwłaszcza samochody wyposażone najwyraźniej w silniki dwusuwowe (Santucci znał takie sil-

niczki, pamiętał je z czasów dzieciństwa, gdy na jego podwórku w ubogim rejonie Bronxu uruchamiano motopompę do opróżniania szamba). Można je było poznać po charakterystycznym dźwięku „pyr, pyr, pyr!”, no i oczywiście, po zapachu.

Dźwięki! To kolejna sfera. Ludzie mówią cicho, o ile się akurat nie awanturują. To zresztą rozumiał. W jego środowisku też mówi się cicho, nawet w kameralnym gronie, obowiązuje dyskrecja, mówi się tylko to, co trzeba.

Nastroje. Wahnięcia nastrojów. Niezwykła zmienność wrażeń. Szybkie przechodzenie od euforii do smutku. Raz się coś udaje, to znaczy myślimy, że się udaje, a za chwilę rozumiemy, że wcale się nie udaje. Czy tak już będzie cały czas - nadzieja i rozczarowanie, i tak w kółko? „Panowie, nie macie co się miotać” brzmiało mu w uszach ostrzeżenie przechodnia sprzed sklepu myśliwskiego, jakże dwuznaczne w ich sytuacji. Czy to przepowiednia rzucona przez los, sygnał, że powinni zrezygnować, że i tak się nie uda? Santucci przyłapał się z niepokojem na tym, że pomyślało mu się „los”. Czy kiedykolwiek przedtem wierzył w jakiś los? Nie, nigdy. Nie był przesądny, jak niektórzy w jego branży, którzy noszą amulety z naboju, który ich omal nie zabił, po wykonaniu każdego zadania robią pamiątkowe nacięcia na kolbie i takie tam. Nie, Santucci zawsze wierzył, że człowiek jest kowalem swojego losu. Kto pracuje, ten ma wyniki. Kto jest zdolny, ten sobie poradzi. I tak rzeczywiście było. Aż do teraz. Aż do teraz, kiedy coś się zatarło... Pytanie podstawowe: czy zatarło się w nim? Czy jego koledzy po fachu lepiej by sobie poradzili? Santucci chciałby wierzyć, że nie. Że stałoby się z nimi to samo. Z kolei sukcesy Klewera wskazywałyby na coś innego. Ten drań sobie tu radzi. Ale czy to są naprawdę sukcesy? To są sukcesy bierne. Klewer się cofa, oni atakują, i opór materii działa w naturalny

sposób na jego korzyść, a na ich niekorzyść. To wcale nie musi znaczyć, że on jest mądrzejszy. A jednak Santucci nie może się oprzeć pewnemu podziwowi.

Na tych rozmyślaniach niepostrzeżenie zleciało popołudnie. Nastął wieczór. Już tylko kilka osób dzieliło gangsterów od lady w sklepie mięsnym. Kolejka posuwała się niemrawo, ale systematycznie. Nie o to zresztą chodziło, jak szybko się posuwa. Gangsterzy już dawno zrozumieli, że ich czas się nie liczy. Liczy się to, czy mięsa starczy dla wszystkich. A to wcale nie było takie oczywiste. I bardzo trudne do oszacowania. O zapytaniu obsługi nie było mowy, gangsterzy wiedzieli już dobrze, że takiego nietaktu nie wolno popełnić, że nie mają prawa do rozmów z personelem sklepu, że gdyby się wyrwali z czymś takim, nie tylko nie usłyszeliby odpowiedzi, ale najprawdopodobniej zostaliby wyrzuceni ze sklepu, albo też, co gorsze, zostaliby zapamiętani i gdy przyszłaby ich kolej, okazałoby się, że mięsa nie ma. A najprawdopodobniej zostaliby też surowo zgromieni przez innych kolejkowiczów za taką bezczelność jak zwracanie się do ekspedienta z niedyskretnym pytaniem. Obserwacja półek i haków też niewiele dawała, bo działały się tam różne dziwne rzeczy, mięso przynoszono z zaplecza, wieszano na hakach, ale potem to mięso znowu wnoszono, przynoszono inne, albo zdejmowano z haków i chowano pod ladę, był tam ciągły ruch, ekspedienci zajmowali się głównie tym, tylko jeden (jedna? trudno określić płeć, bo osoba ta była wielka, kwadratowa i miała coś jakby wąsy i zarys hiszpańskiej bródki, ale mówiła piskliwym, kobiecym głosem) stał/stała przodem do klientów, wrywała im z ręki kartki, oglądała je bardzo uważnie, wycinała z nich kwadraciki z napisem 200 g, 400 g, chwyciła siekierę i rąbała mięso, jak leci, kość nie kość, w poprzek i bez sensu, co się komu trafiło. Tkwił w tym element hazardu, bo nigdy nie było

wiadomo co się dostanie. Lucky grywał kiedyś w ruletkę, i obstawiał zakłady sportowe, ale nigdy nie doświadczał tak silnych emocji hazardowych jak tutaj. Zmiażdżone kości przemieszane z tłuszczem i żyłami? Czy może przeciwnie - kawałek czyściutkiej zadniej bez grama tłuszczu ku? To jest dopiero hazard!

Jak zahipnotyzowany obserwował ciosy tasaka.

I nagle... I nagle coś się w nim przełamało. Ogarnęła go furia. Cisnął siatką na zakupy w ekspedienta, chwycił Biga za rękę i wyciągnął go ze sklepu.

- Co ty robisz, kolejka przypadnie! - protestował Big, lecz Santucci nie zważał na to.

- Czy wiesz, że zwariowaliśmy? - spytał bardzo poważnie.

- Chyba ty zwariowałeś! Tyle godzin stania i wychodzisz. I to w chwili, kiedy już było widać, że i dla nas wystarczy!

- Nic nie rozumiesz. Zwariowaliśmy! Naprawdę! Jesteśmy w domu wariatów. To Szef wszystko ukartował. Chce nas wypróbować. Nie rozumiesz? Przecież to jasne!

Szef. To oczywiste. To jeszcze jedna próba. Gra. To nie może być prawdą! Dopiero teraz Lucky to zrozumiał i ulżyło mu. To gra! To tylko gra! Zwycięzimy! - Wrzasnął tak głośno, że aż sparaliżowany niewidomy zerwał się z wózka, zdjął ciemne okulary i przyjrzał mu się uważnie.

- To się nie dzieje naprawdę, rozumiesz? Dekoracje. To są dekoracje. Jesteśmy w miasteczku, zbudowanym przez Szefa, żeby testować wytrzymałość mafiosów. O, właśnie, widzisz? - wskazał Bigowi niewidomego. - Wszystko tricki. Nic nie jest prawdą!

- A nasze zadanie? - spytał niepewnie Big. - Czy Klewer i ta baba to też fikcja?

- Nie, oni istnieją naprawdę. I zginą naprawdę - odparł Lucky poważnym i spokojnym głosem.



\*\*\*

- Ależ u nas tego nie wolno! - wykrzyknęła Renata - to są rzeczy zabronione, to podpada pod burżuazyjne zwyrodnienia, nikt nie da na to zgody, niech pan to sobie wybije z głowy! - dodała, wcierając Klewerowi w głowę szampon. Oboje siedzieli w wielkiej wannie wypełnionej wodą i pianą.

- Przecież sama pani wie, że wszystko wolno, że to tylko kwestia ceny, że trzeba wiedzieć, komu dać w łapę...

- Niech pan lepiej szybko splukuje, bo w każdej sekundzie może zabraknąć wody!

Może zabraknąć wody. W tej willi nie jest się bezpiecznym, komunizm wciska się i tutaj. Renata jest zamożna jak na tutejsze warunki, ale to nie zapewnia jej dobrobytu ani spokoju. Klewer szybko splukiwał szampon z włosów.

Sytuacja, w jakiej się znaleźli, tylko z pozoru mogła wydawać się dwuznaczna, czy raczej jednoznaczna. Prawda była taka, że kapali się razem, aby zminimalizować ryzyko gdyby nagle zabrakło wody. Tu zawsze może zabraknąć wody. I wszystkiego. Po kilku latach komunizmu zabrakłoby piasku na Saharze. I co wtedy zrobić z namydloną głową? Oczywiście, jest zapas w dzbankach i wiadrach, ale zawsze to łatwiej poradzić sobie wtedy w dwie osoby, bo można polewać się nawzajem. Stąd wspólna kąpiel.

- Są pewne granice, niektórych rzeczy oni nie przełkną - kontynuowała Renata.

- Przełkną, w końcu przełkną. A kto będzie pierwszy ten wygra.

Do wygrania jest dużo. Bardzo dużo. Skąd w nim nagle taki przebłysk, taka smykałka do interesów? Na Zachodzie nie był żadnym geniuszem biznesu. Przeciwnie. Był płótką, pętkiem. Może dlatego, że tam już wszystko jest. Nie ma atmosfery

tworzenia czegoś nowego, zapachu Ziemi Obiecanej. A tu, tu poczuł coś takiego. Oczywiście, że tu będzie w końcu wolny handel i wolny przemysł. Ten system długo nie wytrzyma. Renata go wyśmiewała, gdy to mówił, ale co ona może wiedzieć, jest zaślepiona klatką, w której siedzi. Ta klatka zostanie otwarta, i wtedy jedni się przystosują, inni nie, a najlepiej na tym wyjdą tacy jak on - z zewnątrz, z doświadczeniem wolnego świata. Co tu można będzie wtedy robić? Wszystko, ależ wszystko!

A że Renata tego nie dostrzeża? To naturalne. Wpajano jej od dziecka, że komunizm jest wieczny i chcąc nie chcąc, mimo całej swej inteligencji, uwierzyła w to. To nieuchronne, każdy tyran wmawia poddanym, że jest wieczny i poddani w to wierzą, dopóki tyran nie zdechnie. Wtedy zaczyna się wyścig. A właściwie wtedy jest już za późno. Wyścig zacząć trzeba wcześniej, jak najwcześniej. Wiatr ze Wschodu, zapach komunizmu... Wiatr to wiatr, a smród to smród i nie należy się nad tym zastanawiać. Ani dorabiać do tego filozofii.

Nagle zgasło światło.

Szlag by to trafił. Jeszcze tego brakowało. Nie ma światła. Mimo że Renata robiła co mogła, do jej willi wciskało się coś, co nazywała komunistycznym otoczeniem, a Klewer po prostu polską głupotą. Obserwował to otoczenie, czy też głupotę, z odrazą, ale zarazem i z fascynacją, od dnia, w którym wylądował w tym kraju. Od pierwszej chwili ten inny świat uderzył go, uczynił na nim olbrzymie wrażenie, zwłaszcza zapachowe, bo Klewer jest bardzo wrażliwy na zapachy. Czuł się dosłownie osaczony przez jakiś dziwny, niezrozumiały, niepokojący zapach. To nie był tylko smog. Lichy beton, z którego zrobione były nowe budynki, wilgotny i zagrzybiony, wydzielal nieokreśloną stęchliznę. Ostrą i mdłą jednocześnie. A nad wszystkim unosił się kłoczny odorek. I to nie tylko

znad kratek nad kanałami ani wokół wykopków - rozgrzebanych dziur w jezdni, w których siedzieli pijani robotnicy i drzemali oparci o popękane rury. Odorek był wszędzie tam, gdzie był tłum. W sklepach, w tramwajach. Na tarasie Pałacu trochę lżejszy, może z powodu wiatru, lecz gdy drzwi windy się otworzyły i wysypała się z nich wycieczka - znów musiał zatkać nos. Kiedy się dowiedział, że w tym kraju brakuje papieru toaletowego, że można go zdobyć tylko oddając państwu książki lub gazety czyli, jak tutaj mówią, makulaturę, wydedukował, że ci biedni mieszkańcy, zwłaszcza jeżeli nie mają w domu książek albo żal im się z nimi rozstać - po prostu nie mogą się podcierać, stąd zapach. Lecz Renata wyjaśniła mu, że do tego celu używa się zastępczo, zamiast papieru toaletowego, wszystkiego, co tylko komuniści „rzucą na rynek”: gazy, bandaży, ligniny, papierowych chusteczek, waty, tamponów lub podpasek higienicznych, tych ostatnich zresztą rzadko, jako że ich też brakuje, bo Szef Partii sam wszystkie zużywa - przechodzi ciężki okres (tu musiał znów się uśmiechnąć, by skwitować dowcip, który słyszał już osiem razy). Tak więc dominantą kloaczego odorku nie są ekskrementy, to uznajmy za pewnik. One są tylko jednym ze składników. Co jeszcze? Tłuste włosy? Gnijące zęby? Przepocona wełna? Zakisłe ubrania? Wszystko się miesza i powstaje unikalny konglomerat, ilość przeszła w jakość, gdzie też ostatnio wyczytał to zdanie? Aha, to w tych palonych książkach, był tam jakiś wywód o masach ludowych, których ilość przeszła w jakość. No więc, powstaje nowy smród o innej, nowej jakości, produkowany tylko w tym kraju, niepowtarzalny i wszechobecny, jak Lenin w tych łózkach trzyosobowych, które podobno tu produkują, by stało się zadość partyjnemu sloganowi: „Lenin zawsze z nami”. Renata mówi, że tak pachnie komunizm.

W jej domu robi się wszystko, żeby się chronić przed zapachem komunizmu. Kwiaty w ogródku, najbardziej pachnące - róże, fiołki. A w pokojach - kadzidelka (śmierdzą gorzej niż kloaka, pomyślał Klewer pierwszego dnia, ale nie powiedział tego głośno).

Do sklepu, prowadzonego przez Renatę, komunizm wdzierał się pod inną postacią. Pod postacią wszelkich możliwych kontrolerów. Klewer podziwiał jej wolę przeżycia, determinację z jaką wbrew wszystkiemu i wszystkim, prowadziła ten swój sklepik, nachodzony niemal codziennie przez kontrolerów z Wydziału Handlu, inspektorów z Izby Skarbowej i z Izby Wytrzeźwień, milicję obywatelską poszukującą towarów z kradzieży, wysłanników Sanepidu, sprawdzających „warunki sanitarne w placówce handlowej”, przez strażaków kontrolujących „stan zagrożenia pożarowego”, przez inspekcje robotniczo-chłopskie sprawdzające przestrzeganie przepisów bezpieczeństwa i higieny pracy... Cały ten ludek, pod kuriozalnymi pretekstami, wyłudzał od właścicielki sklepu haracz skuteczniej i bardziej zażarcie niżby to robiła wyspecjalizowana mafia grożąca podpaleniem, wysadzeniem sklepu w powietrze czy zabiciem całego personelu. Albowiem ludek dysponował bronią lepszą niż pistolety z tłumikiem, noże sprężynowe czy bomby: niebywałym arsenałem ustaw, przepisów, paragrafów, pozornie bezsensownych i sprzecznych, lecz całkiem racjonalnych, jeśli spojrzeć na nie jak na narzędzie do wyłudzenia, maszynkę do robienia pieniędzy.

Renata płaciła, nie miała innego wyjścia. Nie zapisała się do Partii Komunistycznej, chociaż to zapewniłoby jej nieetykalność. Wyjaśniła Klewerowi, że nie zrobi tego nigdy, dla zasady, nie przyłączy się do zdrajców Ojczyzny (znów te patriotyczne frazesy, przecież daje prezenty żonom partyjnych,

więc tak czy siak jest w to uwikłana... - pomyślał Klewer) a zresztą, nawet gdyby chciała, jest już za późno: tylko w pierwszych latach po dojściu do władzy, kiedy nie było wielu chętnych, komuniści przyjmowali do swojej partii każdego, z otwartymi ramionami. Niestety! Z upływem czasu coraz więcej ludzi zwęszyło, że czerwona legitymacja daje niezliczone przywileje - lekką i dobrze płatną pracę, a przede wszystkim tak zwane przydziały, czyli możliwość kupna po absurdalnie niskich cenach wszystkich towarów niedostępnych na rynku. To dawało dodatkowe zarobki, bo komuniści odsprzedawali te towary natychmiast, po zawyżonych cenach, i w ten sposób stawali się kastą bogaczy. Gdy to stało się jasne, nagle miliony ludzi zaczęły deklarować, że zbudziły się w nich przekonania komunistyczne, i pragną się koniecznie zapisać do partii. Komuniści nie od razu spostrzegli niebezpieczeństwo, dopiero pod koniec lat siedemdziesiątych zauważyli, że jak tak dalej pójdzie, to niedługo cała ludność będzie w partii, i kto wtedy będzie pracował? Postawili więc tamę temu napływowi. Rekomendacja dwóch członków, „dobrowolna” praca społeczna przy porządkowaniu trawników, dwuletni staż w partyjnej młodzieżówce, zwanej żartobliwie lenin- jugend. W ten sposób w latach osiemdziesiątych zostanie członkiem partii proletariatu stało się już praktycznie niemożliwe, chyba że się tam miało wysoko postawioną rodzinę, lub że się zapłaciło wpisowe w dolarach, jak w sklepach Peweksu, gdzie proletariusze posiadający dewizy mogli kupić wszystko bez kolejki.

Co ciekawe, takich posiadaczy dolarów, którzy nie należeli do partii, było coraz więcej. Rosła cała klasa kombinatorów, spryciarzy, handlarzy walutą, przemytników. Według oficjalnej propagandy istnieją trzy klasy społeczne, robotnicy, chłopci oraz inteligencja pracująca, lecz bardziej prawdziwy jest

inny podział: partyjni, kombinatorzy i reszta.

Żeby zostać kombinatorem, wystarczy spryt. Renata była zaradna, owszem, ale za mało. Natomiast, ku swemu lekkiemu zdziwieniu, Klewer stwierdził, że on sam, on, który w wolnym świecie ledwo dawał sobie radę, tutaj jakoś dobrze się czuje i ma masę pomysłów na przyszłość.

Oczywiście nie w swojej branży. Renata by tego nie zniosła. A on sam też patrzył teraz na swoją poprzednią działalność z obrzydzeniem. Jak mógł to robić? Przemycać truciznę! I jak to się stało, że tak się zmienił?

„Chlust!” Renata polala mu głowę wodą z dzbanka. No tak, oczywiście! To ona. To jej wpływ. Ale jak jej się udało, w tak krótkim czasie i tak niepostrzeżenie, aż tak na niego zadziałać? Chociaż miała do „mas proletariackich” stosunek obojętny, a nawet pogardliwy, nigdy nie zniosłaby, żeby jej facet dostarczał plebsowi narkotyki. Dla zasady. Właściwie skąd o tym wiedział, skoro nigdy na ten temat nie rozmawiali? Kiedy mu to wszystko wpoila, a zwłaszcza - jak? Jaką drogą, jakimi sposobami? Coś z niej widocznie emanuje takiego, co ma wpływ na ludzi.

„Jej facet”? Właściwie dlaczego mu się tak pomyślało? Przecież wcale nie są razem. To, że siedzą w jednej wannie, jeszcze o niczym nie świadczy...

Nagle światło się zapaliło.

- Pospieszyli się, ci elektrycy.

- Elektrycy? - ironiczny uśmiezek musnął pełne wargi Renaty - to mój generator się włączył. A wodą się nie przejmuj. Mam w piwnicy zbiornik na dwieście litrów, i trzy piece: elektryczny, gazowy, węglowy...

Więc to tak? Chciała wytworzyć nastrój? No, no...

\*\*\*

Nazajutrz w południe Renata wychodziła ze swojego sklepu i wsiadała do fiata. W momencie, gdy już miała przekręcić kluczyk w stacyjce, dwaj gangsterzy, którzy kryli się w pobliskiej bramie, podbiegli i wepchnęli się do jej samochodu.

- Tylko nie próbuj się opierać! - krzyknął Santucci. - Mamy niezawodną broń!

Zza pazuchy wyciągnął sierp, który ukradł z Muzeum Ruchu Robotniczego w Pałacu Kultury i Nauki, i przyłożył Renacie do gardła. Sierp był bardzo wygodny, bo przez swoje zakrzywienie nie pozwalał ofierze się wyrwać na boki, trzymał ją jakby w obroży.

- Porywamy cię bez kolejki, powinnaś to docenić, nie musisz czekać!

- I ukryjemy cię pod ladą!

- Oczywiście w sensie przenośnym! Będiesz towarem wymiennym spod lady. Rajstopy za ogórki, mięso za spirytus, a my sobie Renatę za narkotyk. A co? Nie wolno? Wolno! Władza popiera prywatną inicjatywę!

- Czy macie zarejestrowaną działalność i należycie do Cechu Rzemieślników? - spytała odruchowo Renata, ale nagle zdała sobie sprawę, że to nie żarty.

- Ruszaj! - krzyknął Santucci i mocniej przycisnął sierp do jej szyi - bo podzielisz los białogwardzistów!

Nie pozostawało nic innego jak tylko posłuchać rozkazu. Renata przekręciła kluczyk.

„Bang! Bandg bang bang bang bang!”

Tuż za samochodem rozległy się strzały. Z rewolweru, a zaraz potem cała seria z pistoletu maszynowego. Może zresztą strzelał tylko jeden napastnik, dysponujący bronią nowszego typu, gdzie wystarczy głębiej wcisnąć spust, aby przejść

automatycznie z ognia pojedynczego na ogień ciągły?

Gangsterzy, zaprawieni w takich sytuacjach, błyskawicznie rzucili się na podłogę fiata, lecz ich wprawne ucho zaraz złowiło w tych strzałach coś podejrzanego. Nieco zbyt nosowe, to „bang” i jeszcze do tego takie dziwne echo po każdej detonacji, jakby jakieś blachy brzęczały. Szybki rzut oka wokół pozwolił stwierdzić, że wszystkie szyby są całe, żadnych dziur po kulach. Lucky znów przyłożył sierp do gardła Renaty, tym razem jeszcze mocniej.

- Co to było? Gadaj! Masz ochronę? Goryli?

- Nnnie... Nnnic... Paprochy. Paprochy w gaźniku... Strzały w kolektor wylotowy... Nagłe zubożenie mieszanki... - wyjaśniła Renata, która jak każda kobieta w tym kraju, musiała znać się na wszystkim: lepiej od hydraulików wiedziała, która złączka pasuje do którego kolanka, pomagała mechanikom reperować samochód, gdy ci byli zbyt pijani, by odróżnić gaźnik od kolektora dolotowego. - Przedmuchałam dysze główne - ciągnęła - i dyszę wolnych obrotów, a nawet dyszę powietrza, no i oczywiście dysze siłownika podciśnieniowego i pompki przyspieszającej, przepłukałam kanaliki benzyną, wymieniłam główne uszczelki, bo mógł ciągnąć fałszywe powietrze - i nic. Jak się dławił, tak się dławi.

Rzeczywiście, silnik zgasł. Renata raz jeszcze przekręciła kluczyk. Paprochy były widać niedużego kalibru i zostały po prostu wystrzelone z dyszy do gardzieli, co przywróciło mieszance właściwe proporcje i samochód ruszył.

- A próbowała pani zamontować dodatkowy filtr paliwa na przewodzie dolotowym do pompy? - spytał jeszcze Big, lecz Santucci go zgromił. Co za głupiec!



\*\*\*

Pędzili w stronę hotelu. Za kierownicą siedział Big, nie ufali Renacie, mogła skrócić gdzieś w bok, albo umyślnie spowodować kraknę. Nagle, gdy omijali wielką ciężarówkę-wywrotkę, wyładowaną gruzem, zza kiosku z gazetami wyskoczył milicjant, wymachując lizakiem.

Big instynktownie zahamował, chociaż Lucky krzychał na całe gardło:

- Rozjedź go! Rozjedź go, durniu, nie hamuj!

Luciano dodał gazu, lecz było już za późno. Przy gwałtownym hamowaniu silnik znowu zgaś.

Milicjant tymczasem podszedł do drzwi od strony kierowcy.

- Dzień dobry obywatelu. Kontrola drogowa. Dokumenty proszę.

Big podał mu zaświadczenie, wystawione przez Kolegium do Spraw Wykroczeń.

- Aha, Kolegium... w porządku, w porządku... - milicjant oglądał dokładnie dokument, potem wyjął z kieszeni notes służbowy i coś w nim zapisywał.

Lucky tymczasem schował sierp za plecy Renaty, i rozglądał się. Przy zaparkowanej ciężarówce stał drugi milicjant i próbował sprawdzić poziom alkoholu w powietrzu wydychanym przez kierowcę, co nie było łatwe, albowiem ten zataczał się i nie mógł trafić ustami do probierza. Wreszcie milicjant, zirytowany, wyciągnął z kieszeni mały, błyszczący pistolet, przyłożył go do ust kierowcy i nacisnął spust. Pistolecik okazał się zapalniczką. Od płomyka oddech kierowcy natychmiast się zapalił. Wyglądało to jak scena z cyrku, gdzie popisują się połykacze ognia.

- No i widzi pan, obywatelu! - wykrzyknął milicjant z satysfakcją. - Ma pan poziom, i tyle! Po co się było upierać? - To

mówiąc, własną czapką szybko stłumił płomień, buchający z ust kierowcy wywrotki.

Tymczasem pierwszy milicjant oddał Bigowi dokument, zasalutował i powiedział uprzejmie.

- To wszystko, dziękuję, można jechać, szerokiej drogi!

- Chwileczkę, panie władzo! - krzyknęła Renata, nie zważając na to, że Santucci znacząco dźgał ją sierpem w plecy. - Ja zostałam uprowadzona! Ci dwaj obywatele to zachodni gangsterzy!

Oczy milicjanta rozszerzyły się.

- Ho, ho ho, mam wrażenie, że obywatelka ma poziom alkoholu we krwi! Hej, kapralu! - krzyknął do drugiego milicjanta - tu jest obywatelka, która ma poziom! Wydaje się jej, że została porwana przez gangsterów, jak na zachodnim filmie!

Kapral parsknął śmiechem.

- Filmowcy? Podobno to prawdziwa mafia... pewnie aktorzy, co? Ech, takim to dobrze! Sam bym chętnie gdzieś porwał taką ładną obywatelkę!

- Ależ panowie! Ja nie żartuję! Grożą mi nożem, takim zakrzywionym nożem... Chcą, żebym z nimi poszła do hotelu... - Renata krzyczała desperacko.

- Do hotelu? A, to co innego! To zmienia postać rzeczy. Usiłowanie zgwałcenia. Proszę się nic nie obawiać, obywatelko, my wszystko ustalimy!

Ich miny robią się groźne, w spojrzeniach pojawia się złość.

- Wysiadamy z samochodziku! No już, już, jeden i drugi! Hop!

- Najpierw ustalimy stopień trzeźwości gwałcicieli! Podaj no mi probierz, z łaski swojej... Módlcie się, żeby coś wykazało, bo jak nie, to nie będzie okoliczności łagodzących!

- Kiedy właśnie skończyły mi się ustniki... - drugi milicjant bezradnie grzebał w raportówce.

- Aha, no dobra, ustalimy organoleptycznie. Chuchnijcie na mnie, obywatelu!

Sierżant zbliżył twarz do twarzy Biga, ten mówi machinalnie, czego zaraz pożałuje:

- Chuchnąć na pana? Ależ to bardzo niekulturalne!

- Patrzcie go! Jaki delikant, cholera! Nie chcecie chuchać? Dobra! Jedziemy na pobranie krwi. Macie noc w żłobku jak w banku!

- Uwaga! Chce wam spierdolić! - wrzasnął nagle Lucky, pokazując w stronę ciężarówki-wywrotki.

Rzeczywiście, jej kierowca, który od kilku minut próbował wgramolić się z powrotem do szoferki, wreszcie dokonał tej sztuki i właśnie ruszał z piskiem opon.

- O cholera. Dziękujemy!

Obaj milicjanci wskoczyli do ukrytego za kioskiem radiowozu i pognali na sygnale.

Big spojrzął na Lucky'ego z uznaniem.

\*\*\*

W wielkiej sali na Poczcie Głównej przy ulicy Świętokrzyskiej (via Santa Croce, jak sobie zapisał Lucky, bo odkrył w sobie ostatnio pasję lingwistyczną) jak zwykle kłębił się tłum. Do jedyne go czynnego telefonu stała kolejka niezbyt długa, dająca się zaklasyfikować jako „średnia i pół” według kryterium długości, ale o mocnej, wewnętrznej dynamice, w skali Richtera grubo powyżej średniej. Była też z otoczką, to znaczy, że wokół niej krążyli wolni strzelcy, hieny oraz zwykli gapie.

Lucky stanął na środku sali, nabrał powietrza do płuc i wrzasnął:

- LUUUUDZIEEEEE!!!!!! W PAPIERNICZYM RZUCILI

**RAJSTOPY!!!!!!**

W trzydzieści sekund później sala była pusta, tylko kurz unoszący się jeszcze w powietrzu, oderwane guziki na posadzce i wyłamane drzwi świadczyły o bitwie, która się rozegrała przy wyjściu.

Słuchawka wisiała i kołysała się leniwie. Lucky uniósł ją i nakręcił numer.

Big patrzył na Lucky'ego z coraz większym podziwem. Trzeba przyznać, że odkąd zwariował, Santucci stał się o wiele bardziej efektywny. Dynamiczny. Zdeterminowany. No i ma lepsze pomysły. Big nieraz słyszał, że wariaci są pod pewnymi względami genialni, że znajdują rozwiązania tam, gdzie normalny człowiek ich nie widzi. I był pełen podziwu dla Lucky'ego za jego poświęcenie. Zwariować, żeby zwyciężyć! To nowa strategia, która zapewne szybko rozpowszechni się na świecie. Przy czym nie było to udawanie wariata. O nie, Santucci zwariował naprawdę, Big był tego pewien, chociaż nie mógłby powiedzieć, na czym tę pewność opiera. Zwłaszcza że szaleństwo Lucky'ego było trochę nietypowe. O ile Big się orientował, to każdy wariat twierdzi, że jest normalny, tymczasem Lucky przeciwnie, utrzymuje, że zwariował. Poza tym raz mówi, że jest w domu wariatów, to znowu, że wszystko jest grą i że znajdują się w mia- steczku-atrapie. Zresztą, czy to ważne? W końcu życie jest i tym, i tym... I domem wariatów, i miasteczkiem-atrapą... Świat jest domem wariatów, a życie grą... Big też zaczął filozofować i nagle się przestraszył, bo przypomniał sobie, że takie właśnie były pierwsze objawy szaleństwa Lucky'ego: zaczął filozofować. Czy teraz przyszła kolej na niego?

- Ależ ja tego nie mam! - w słuchawce zabrzmiał desperacki krzyk Klewera. - Spróbujcie wreszcie zrozumieć: NIE MAM TEGO! Koniec i kropka! Skąd wam to wezmę!? Spod ziemi

wam do cholery nie wykopię!

- To już twoje zmartwienie, młody towarzyszu - Santucci trzymał słuchawkę niby niedbale, lecz mocno, na wypadek, gdyby mu ją ktoś chciał wyrwać, i wzruszał ostentacyjnie ramionami pod adresem ludzi, którzy już zdążyli się za nim ustawić, i z których co bardziej niecierpliwi spoglądali ostentacyjnie na zegarek i pstrykali trzymanymi w dłoniach żetonami. - W każdym razie, jeżeli nam tego nie oddasz do niedzieli... - Lucky odwrócił się plecami do kolejki i wyszeptał: - to pociachamy twoją ukochaną i opylimy ją na czarnym rynku, jako mięso z tajnego uboju. Bez kartek, po cenach umownych, wyobrażasz sobie, jaki zysk?

I odłożył słuchawkę, chichocząc upiornie.

\*\*\*

Okolo godziny dwudziestej drugiej warszawskie lotnisko pustoszało. Ostatnie urzędniczki, celnicy, kasjerzy i babcia klozetowa zmierzali do pętli autobusu 175, który zaraz odjeżdżał.

W półmroku przed barakiem, nad którym szczyrbaty neon anonsował W..SZAWA, Klewer rozmawiał półgłosem z apatycznym celnikiem. Celnik kręcił głową przecząco, Klewer podsunął mu butelkę wódki, celnik kręcił nadal przecząco.

- Panie, to byłoby nieuczciwe, ja nie jestem przekupny - mówił z oburzeniem, lecz gdy Klewer podsunął mu całą torbę pełną półlitrówek, chwycił ją ochoczo - dobra, interes ubity

- powiedział rześko i podał Klewerowi koniec smyczy - tylko pamiętaj pan, do zwrotu, szanowny panie, bo po niedzieli ruch się zaczyna. A w ogóle na cholere panu to bydlę?

\*\*\*

„ Jak to na co mi to bydlę? To moja ostatnia szansa! Nie-wielka zresztą. Jeżeli on nie wytropi pojemnika, to nikt...” - myślał Klewer, chodząc po terenie giełdy samochodowej, wzdłuż rzędów polskich fiatów. Pies obwąchiwał samochody sumiennie. Ale czy cokolwiek wyczuje? Zakładając nawet, że ten samochód tu jest? Pojemnik był hermetyczny, cała nadzieja, że przy napełnianiu go mogło się coś na nim osadzić, i że nie splukala tego woda z kałuż, w które samochód musiał od tamtego czasu nieraz wjechać. Małe szanse...

\*\*\*

- Mam! Tak, mam! - głos Klewera w słuchawce był radosny, i ten nastrój udzielił się natychmiast Santucciemu. Ma to! - szepnął do Biga. Wygraliśmy. Zwycięstwo! - Wrzasnął nagle rozdzierająco, na całą pustą salę w urzędzie pocztowym przy via Santa Croce.

- Gdzie dokonamy wymiany? Ależ u nas, drogi towarzyszu, u nas! W hoteliku na stoliku. Co? Boisz się? Depczą ci po piętach tajniacy z KGB? No, to co proponujesz, mój młody dysydencie? Święto „Trybuny Ludu”? Będzie mnóstwo ludu, nikt nas nie pozna? Świetnie, ale czy to nie pachnie świętokradztwem, takie rzeczy na święcie? Ach, to święto partyjne, nie kościelne? W takim razie wszystko w porządku. Nie chciałbym być w niezgodzie z Matką Boską. Nie, to chyba nic złego, że stałem się trochę religijny, widzisz, przeżyłem ostatnio wewnętrzne przemiany...

- Big wyrwał słuchawkę z ręki Lucky'ego i odwiesił ją. Po czym ujął go delikatnie za łokieć i poprowadził do wyjścia. Po każdym przeblysku geniuszu Lucky miał jakąś zapaść

psychiczną, zaczynał na przykład mówić bez końca i bez sensu, dostawał słowotoku i wtedy trzeba go było hamować, bo mógł narobić głupstw, wygadać się z czymś przy ludziach. Ale i tak działał wspaniale. Nareszcie zwyciężą!

Oczy błyszczały Bigowi ze szczęścia, jak oczy dziecka, któremu się udało wymienić trzy tuziny damskich majtek z przemytu na japoński kołowrotek do wędki - nareszcie ten sukinsyn zmięknął! Uderzyliśmy celnie. W najczulsze miejsce.

- Wiesz co, co byś powiedział gdybyśmy się potem trochę poznęćali nad tym ściąganiem? Za to wszystko, co przeszliśmy...

- Nie - Lucky nagle spowaźniał - to byłaby niepotrzebna strata energii. Po odebraniu towaru załatwiamy ich i wyjeżdżamy. Żadnych zabaw. Bądź poważny.

- Masz rację. Grunt, że mamy towar. II Capo będzie soddisfatto, zadowolony... Hmm... a jak ich załatwimy? Bomba pod samochód?

- Co ty? Tutaj takie rzeczy nie działają. Zapalnik przejdzie wilgocią, z baterijki kwas wycieknie i przeżre izolację, przewody zardzewieją, wtyczki męskie nie będą pasowały do wtyczek żeńskich, i zaciski krokodylkowe się wyszczerbią, i magnes się rozmagnesuje, i bomba odpadnie albo wybuchnie jeszcze zanim ją przytwierdzimy... Nie, nie, tu trzeba inaczej...

Lucky podał Bigowi ołówek i papier listowy, po czym wyjął z portfela serwetkę i z nabożnym szacunkiem ją rozłożył. Na serwetce tej pewien tubylec, którego poznali w barze Halibut, zapisał im drukowanymi literami: „Komenda Milicji Obywatelskiej, ul. Wilcza w miejscu.”

- Donosy, rozumiesz? Tylko donosy! Donosy, to jest to! Zrozumiałem to, gdy przeszedłem głębsze wtajemniczenie przy kilku głębszych. Donosik-papierosik, rozumiesz? No jazda, pisz!

Big, zrezygnowany, pisał. Lucky miał swoje dziwactwa,

jakieś dziwne, bzdurne skojarzenia, „donosik-papierosik”, idiotyczne zdrobnienia, ale przecież jest geniuszem. Więc może wie co robi?

- Dobrze wiesz, że to też nie działa! - próbował jeszcze zaoponować. - Napisaliśmy przecież swojego czasu skargę do dyrekcji hotelu na nieuprzejmą telefonistkę - i co? Nie tylko nie pomogło, ale jeszcze przyszła z awanturą! Już zapomniałeś, jak ci przykładałem kompresy?

- Nic nie rozumiesz. Napisaliśmy donos, zgoda, ale napisaliśmy go jak durnie! Byliśmy wtedy jeszcze zieloni! Co to może obchodzić komunistów, że jacyś przybysze z Zachodu, jacyś kapitaliści, skarżą się na złą obsługę w hotelu? To przecież są banialuki i duperele w porównaniu z prawdziwymi problemami Ludu Pracującego. Pisz:

„Uprzejmie donosimy, że obywatel Klewer Johnny, cudzoziemiec z krajów kapitalistycznych, zamieszkuje bez zameldowania w segmencie obywatelki Flamy Renaty (notabene działającej w sektorze nieuspołecznionym jako właścicielka prywatnej placówki handlowej, co jest bardzo znamienne i mówi samo za siebie) i za najem lokalu płaci wyżej wzmiankowanej obywatelce w dewizach po kursie czarnogielkowym, a obywatelka Flama nie odprowadza od tych kwot podatku obrotowego ani domiaru, a w dodatku nawiązała z wyżej wymienionym obywatelem Klewerem stosunki intymne, oraz inne stosunki z obcokrajowcem, prawdopodobnie natury szpiegowskiej... Oboje bezwstydnie wyzyskują proletariat, będąc na usługach imperialistycznych służb wywiadowczych...  
- O, widzisz tak się pisze, mój drogi - Lucky zatarł ręce i zaśmiał się upiornie. - Poza tym wyżej wymienieni zatrudniają pomoc domową, co podpada pod wyzysk ciemnoty, paragraf ósmy podpunkt drugi...”



\*\*\*

Nazajutrz, w pasażu na tyłach Domów Towarowych Centrum, Klewer kręcił się wśród przechodniów, zagadywał do młodych ludzi siedzących na ławeczkach wokół nieczynnej fontanny, coś opowiadał, tłumaczył, rozdawał dyskretnie nieduże, ręcznie zapisane ulotki, wskazując od czasu do czasu na pobliski Plac Defilad.

Od strony hotelu Grand-Victoria zbliżał się Lucky. Z ulicy Marszałkowskiej skręcił w ulicę Sienkiewicza i szedł teraz przed bankiem, który niedawno chciał obrabować. Skręcił w stronę poczty przy Świętokrzyskiej. W dłoni trzymał dużą, szarą kopertę. Przed budynkiem poczty wszedł w chmurę gęstych spalin. Rozgrywała się tu banalna scena, która dla Lucky'ego była jednak na tyle niecodzienna, że zatrzymał się, aby popatrzeć. Dwa samochody stały zaparkowane na chodniku. Pierwszym była ciemnoszara syrena 104 D (De Luxe), z zieloną półprzezroczystą nalepką zasłaniającą górną część przedniej szyby (na nalepce widniał duży, biały napis TURBO). Kierowca syrenki wysiadł z pojazdu, lecz nie *wyłączył* silnika co, jak Santucci już wiedział, oznaczało, że ma zepsuty rozrusznik lub słaby akumulator.

Kierowca drugiego samochodu też zostawił silnik na chodzie, zapewne z podobnych przyczyn. Jego pojazd to jasnoszary trabant 601 L (Limuzyna), bardzo ceniony za solidne wykonanie i za absolutną nierdzewność, jako że karoseria jest z plastiku. Jedyną drobną i nieco zabawną wadą tego kultowego już w czasach Honneckera pojazdu jest to, że plastik ma słodkawy smak, i należy unikać parkowania w pobliżu piwnic, bo szczury mogą w nocy schrupać błotnik.

Kierowcy obu aut otworzyli bagażniki z kłódek, wyciągnęli z nich kanistry, bańki na olej i specjalne, blaszane pojemniki

przypominające ubijarki do śmietany, zaopatrzone w ręczne mieszadła.

Najwyraźniej miała się tu dokonać wymiana, jedna z tych, które pozwalały komunistycznej gospodarce funkcjonować: jeden automobilista dysponował nadmiarem benzyny, drugi nadwyżką oleju. Transakcja została szybko sfinalizowana, po czym przystąpiono do tankowania. Obaj panowie włączyli do mieszadeł benzynę i olej w odpowiednich proporcjach, teraz już tylko należało utworzyć jednorodną mieszankę, która stanowi paliwo do silników dwusuwowych, gdzie nie ma układu smarowania, a silnik nie zatrze się tylko dzięki olejowi dodanemu do benzyny. Chwycili ręczki mieszadeł i wzięli się do pracy: mocnymi, ale spokojnymi ruchami, tak by nie zmęczyć się za szybko, opuszczali i podnosili mieszadła. Każdy z nich miał inną metodę, jeden bowiem wyznawał wartości pozytywistyczne, drugi natomiast był romantykiem: pozytywista przy każdym ruchu się schylał, romantyk natomiast kuczał, co było bardziej energochłonne, lecz pozwalało pracować z godnością, bez zginania karku i wypinania się na przechodniów.

Santucci obserwował tę scenę jak zafascynowany. Ech, mieć taką syrenkę!

Oba samochody leciutko drżały, wydając dźwięki „pyr, pyr, pyr” i wydzielając kłęby spalin, w których wkrótce zniknęły poruszające się rytmicznie sylwetki kierowców.

Santucci zakrzuszył się i to wyrwało go z kontemplacji. Poszedł dalej, wrzucił kopertę do skrzynki na listy przy wejściu na Poczta Główną i wracał, zacierając ręce, chichocząc upiornie i nucąc pod nosem jakąś melodię, jakąś, nomen omen, wariację na temat ścieżki dźwiękowej z filmu „Ojciec chrzestny”...

Z naprzeciwka nadchodził Klewer. Skończył już swoją akcję

agitacyjno-ulotkową w pasażu na tyłach Domów Towarowych Centrum. On też nucił coś pod nosem, jednak melodii kompletnie nie można było rozpoznać.

Nagle zabrzmiał rozpaczliwy krzyk:

- No i czemu mi to zrobiłaś!?

To kierowcę syrenki spotkało nieszczęście: silnik jego samochodu zgasł. Był to rzeczywiście kłopot. Z zepsutym rozrusznikiem można go było uruchomić tylko „na pych”. Albo dzięki grawitacji. Co też czynił zazwyczaj, parkując na noc na ulicy pochyłej. Niestety, teraz stał na chodniku poziomym, a drugi kierowca już odjechał, więc nie miał kto pomóc. Na szczęście każdy warszawski kierowca wie, że może liczyć na przechodniów, akurat dwóch się zbliży z przeciwnych stron, łapie ich za rękawy, panowie, pomóżcie!

Przechodnie stają jak wryci. Spoglądają po sobie. Nic nie mówią. Chwila wahania.

- Pchnijcie mnie, z łaski swojej - nalega kierowca.

Wzruszają ramionami, stają za syrenką, zapierają się i pchają, ramię przy ramieniu.

Lucky leciutko chichocze, Klewer też, a może wcale nie chichoczą tylko wstrząsy syrenki udzielają się im przez dłonie oparte na karoserii?

Syrenka nie chciała zapalić i, wciąż popychana, oddalała się mała, bladła, nikła w spalinowej mgłę, popychana przez dwie malejące sylwetki.

\*\*\*

Na Placu Defilad, zwanym przez propagandę komunistyczną Największym Placem w Europie, co jest słusznym powodem do dumy, tak jak dumna jest gospodarka radziecka, że produkuje najszybsze zegarki na świecie, no więc na największym betonowym placu w Europie odbywało się doroczne święto

„Trybuny Ludu”, czyli Organu Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Cały plac, zazwyczaj szary, dziś był niezwykle kolorowy. Zdobily go baloniki, chorągiewki, wstążki oraz transparenty, czyli wielkie płachty materiału z naszytymi literami tworzącymi hasła w rodzaju: „Pracując dla komunistów powiększasz swój dobrobyt”, albo „Oby Polska rosła w siłę, a ludzie żyli dostatniej”. Ta część śródmieścia, zazwyczaj wymarła i pusta jak reszta miasta, stała się dziś wesoła i gwarna. Olbrzymi plac był usiany straganami, stoiskami, budami, kioskami, ciężarówkami i furgonetkami, i zamienił się w jeden wielki bazar, na którym sprzedawano wszystko to, czego na co dzień nie ma w sklepach. Szynkę, śledzie, czekoladę, „ptasie mleczko”, batoniki „Prince Polo”, komunistyczną coca-colę pod nazwą polo- -cocta oraz dzinsy „Odra”.

Do każdego stoiska, straganu lub ciężarówki stała już od rana kolejka. Nie były to jednak jeszcze kolejki duże ani nawet średnie, ot kolejeczki po kilkanaście, dwadzieścia osób z pustymi siatkami (albo koszykami) w dłoniach. Siatkarki i koszykarki - tak dzieliły się kobiety w tamtym czasie. Mężczyźni zresztą też. Niektórzy kolejkowicze mieli już jakąś zdobycz w siatce, kawał mięsa ociekający wodą, w której trzymano go, żeby nabrał na wadze, paczkę waty, żywego karpia... Już zaczynały się drobne sprzeczki, właściwie jeszcze nie sprzeczki, takie przymiarki do sprzeczek, coś jak prekomarzenia harcówników przed bitwą:

- Pani trzyma tę swoją rybę! Rajstopy mi przemokły!
- Patrzcie ją, delikatna, wody się brzydzi. To tylko woda z solą! Dobrze robi na żylaki!

Tysiące ludzi krążyło już po Placu, rozglądając się wśród stoisk i towarów. Nie tyle po to, żeby znaleźć coś potrzebnego, tylko żeby znaleźć mniejszą kolejkę. Bo potrzebne było

wszystko, to znaczy nawet rzeczy niepotrzebne warto było kupić, bo potem można je z kimś wymienić na coś innego. Świat powrócił do epoki przedmonetarnej, epoki handlu wymiennego.

Wielu proletariuszy przybyło tu całymi rodzinami, co pozwala lepiej obstawić kolejki. Ładna mamusia, śliczne dzieciaczki, młody tatuś, trochę łysy wskutek drobnej awarii w Czarnobyli. Tatuś z triumfem niesie na głowie muszlę klozetową, a ponieważ muszla wpada aż na oczy więc mamusia podpowiada mu, w którą stronę iść, żeby nie zderzyć się z innym tatusem. Inny tatuś niesie na szyi oponę. Sprzedają tylko po jednej „na głowę ludności”, ale to nie szkodzi, większość tatusiów i tak nie ma samochodu, opona posłuży jako lokata kapitału. Mamusia, szczęśliwa, ściska w ramionach dwie puszki mleka w proszku dla najmłodszej pociechy, a w siatce ma worek pieluch i paczkę podpasek. Dzieci też niosą zdobycz: po dwie tabliczki czekolady na głowę ludności.

Prawie każdy proletariusz, bez względu na płeć i wiek, taszczy pod pachą plik świeżutkich numerów „Trybuny Ludu”, rozdawanych w niezliczonych kioskach, rozsianych po całym Placu. Ten natomiast, kto nie ma już gazet, niesie dumnie naszyjnik, zrobiony z dziesięciu rolek papieru toaletowego nawleczonych na sznurek. Wygląda to jak murzyńska, rodowa ozdoba, oznaka szamana, wyróżnik starszego w plemienu. I rzeczywiście, nadaje to pewien prestiż, jest bowiem oznaką przynależności do elitarnego klubu posiadaczy papieru toaletowego. Dziś wprawdzie klub stał się trochę mniej elitarny, bo prawie każdy mógł się załapać na papier, ale to nie powód, żeby się nie cieszyć. Nieśli więc naszyjniki dumnie, chociaż niektórzy, mniej odporni psychicznie, próbowali je ukryć za pazuchą lub pod połą marynarki, rzucali wokół niespokojne spojrzenia, jakby się bali, że ktoś im zerwie ten

naszyjnik, wydrze go, rozerwie, porwie kilka rolek i ucieknie, a przechodnie, pod pozorem pomocy, podniosą pozostałe rolki i też umkną.

Mniej więcej na środku Placu, obok pustej, betonowej trybuny z szarym, betonowym orłem, na której każdego pierwszego maja wodzowie przyjmują defiladę wzorowych robotniko-chłopów, ustawiono teraz estradę z desek, na którą wdrapał się partyjny wodzirej i robił próbę mikrofonów, raz dwa trzy, raz dwa trzy! Próba! Próba!

W innej części placu królowała odmienna rozrywka kulturalna, a mianowicie stał tam batut, a na nim dziewczęta z Ludowego Kółka Sportowego ćwiczyły efektowne skoki i salta. Dziewczęta były młode i zgrabne, ubrane tylko w czerwone kostiumy kąpielowe. Zaangażowano je po ostatniej porażce propagandowej w zeszłym roku, kiedy to komuniści chcieli ludowi urządzić striptiz i wydelegowali do tego celu same najstarsze i najbardziej doświadczone aktywistki partyjne.

W tłumie szacownych, niedzielnych obywateli i obywaterek snuli się też wychudzeni i brudnawi młodzi ludzie, którzy najwyraźniej przyszli tu z pobliskiego pasażu na tyłach Domów Towarowych Centrum. Niektórzy z nich trzymali w dłoni ulotki, które poprzedniego dnia dostali od Klewera, i rozglądali się po placu, jakby czegoś szukali. Poza tym kręciło się też trochę punków, hippisów, satanistów, skinheadów i neofaszystów.

Nieśmiertelny wiatr ze wschodu omiatał cały plac, szarpał kurtki, spódnice, unosił tumany kurzu, piasku, cząsteczek wyschniętego błota i brudu, i osadzał je na twarzach, włosach, lodach, lizakach, hot dogach i wacie cukrowej.

- Drodzy towarzysze, szanowni państwo i ty, proletariuszu!  
- wodzirejowi udało się wreszcie uporać z próbą mikrofonów i teraz perorował ze swadą, a wokół niego zbierali się ciekawscy.

- Za kilka chwil stanie przed wami, a właściwie nie stanie, tylko zatańczy i zaśpiewa, no słowem będziecie mogli podziwiać piękno folkloru, te barwy i feerie, i tę dorodną młodzież, a nie jakieś skarłale cherlaki jak na Zachodzie, młodzież wykarmioną komunistycznym Chlebem, o zdrowym kręgosłupie moralnym, wszystko kandydaci do Partii i czytelnicy „Trybuny Ludu”, dziś zwiedzali naszą stolicę i powiedzieli mi w sekrecie, że chcieliby tu zamieszkać i będą się starać o meldunek. Na razie są zakwaterowani w Domu Chłopa. Swoim tańcem chcą dać odpór, odpór kapitalistycznej propagandzie. Drżij imperialisto, lękliwie chowający się w luksusowych hotelach, drżij zachodni delikancie, co chciałbyś tylko narkotyków, by wyniszczać swój i tak już nadwerężony chorą ideologią organizm. U nas ten numer nie przejdzie. Gangsterski ustrój nie ma szans.

U nas jest zdrowa, jędrna młodzież i hołubce! Oto przed państwem zespół folklorystyczny „Ludowe Pasiaki!”

Tu wodzirej efektownym gestem wskazał na drewnianą budę, z której wysypało się na estradę z pół kopy tnacerek i tancerzy i puściło w szaleńczą polkę, akcentowaną gwizdnięciami, okrzykami i tupnięciami, od których dudniły deski.

- Ukochany kraj! Umiłowany kraj! - ryczeli tancerze. - Robotników i chłopów to raj! Hej, ho, fiuu!!! Usia, susia!

„Bum! bum!” - grzmiąły deski pod uderzeniami podkutych butów.

Oblicza gapiów rozjaśniły się szczęściem, gęby się po-  
otwierały, oczy rozszerzyły.

\*\*\*

W tej właśnie podniosłej chwili, gdy święto „Trybuny Ludu” można już było uznać za oficjalnie otwarte, na Plac wjechała

nieduża, brązowa furgonetka marki żuk. Klewer, który ukradł ją Państwowym Zakładom Spirytusowym, prowadził ją ostrożnie wśród tłumu, aż znalazł wolne miejsce i zaparkował w rzędzie takich samych żuków, z których każdy był punktem sprzedaży śledzi w pięciokilogramowych puszkach.

\*\*\*

Przy via Santa Croce, nieopodal Placu Defilad, skrzynka na listy, której Santucci i Luciano powierzyli swoją tajną broń w postaci perfidnego donosu, wisiała sobie spokojnie na ścianie. Jakiś przechodzień wrzucił do niej list, inny kartkę pocztową.

\*\*\*

Klewer siedział w zaparkowanym żuku. Starał się nie denerwować. Ale mimo to myśli kłębiły mu się w głowie jak ludzie w sklepie mięsny. Czy przyjdą? Czy nic jej nie zrobili? Czy naprawdę ją przyprowadzą? Czy wszystko pójdzie bez zgrzytów? Czy nic się nie wydarzy, nie będzie żadnej niespodzianki? W zasadzie wszystko przemyślał, wszystko przygotował. Ale...

Puk puk puk!

Aż podskoczył, tak go to zaskoczyło. Szybko go znaleźli, to dobrze, bał się, że w tłumie mogą mieć z tym kłopoty, ale nie, żuk jest dobrze oznakowany, ma na dachu balonik z gołąbkim pokoju, tak jak się umówili.

Otworzył drzwi. Do furgonetki gramolą się gangsterzy, ciągnąc za sobą Renatę. Chce się z nim przywitać, ale ją przytrzymują.

- Zaraz zaraz, chwileczkę - zachichotał Santucci - będziecie mieli jeszcze czas na czułości, całe życie przed wami, młodzi



towarzysze, najpierw niech no lepiej ten opozycjonista pokaże nam towarek. Słyszałem, że rozdajesz ulotki, Klewer, chcesz obalić komunizm? Życzę powodzenia, no, ale to twoja sprawa. Na razie dawaj kapitalistyczny proszek.

Klewer bez słowa wyciągnął spod fotela pojemnik, wielkością i kształtem trochę podobny do pięciokilogramowej puszki śledzi, i podał Santucciemu.

Santucci wyjął zza pazuchy sierp i spróbował nim podważyć pokrywę pojemnika, lecz szło mu to opornie, ostrze ześlizgnęło się i skaleczyło go w palec. Klewer usłużnie po dał mu śrubokręt. Po krótkich manipulacjach wieko odskoczyło - pojemnik był otwarty.

\*\*\*

Mała dziewczynka trzymała w ręku lizaka, kupionego w jednej z bud na Placu Defilad, i lizala go beztriosko chociaż wyglądał nieapetycznie i nieświeżo, jakby go już ktoś lizal, na przykład jakieś partyjne dziecko. Podeszła do skrzynki na listy i próbowała włożyć do niej kartkę z życzeniami, ale się nie udało - skrzynka była tak pełna, że nic, nawet jednej kartki nie można było już wepchnąć. Dziewczynka westchnęła. Ech, pomyśleć, że musi znaleźć trzy skrzynki, i to takie, do których się zmieści. Kartka została bowiem napisana w trzech egzemplarzach, żeby chociaż jeden dotarł do adresata, a zresztą wszystko trzeba pisać w trzech egzemplarzach, to jasne, dziewczynka, chociaż mała, zna już podstawy biurokracji, czyli życia. Życzenia były ważne, nie były to bowiem życzenia dla kogoś, imieninowe czy świąteczne, tylko życzenia, które sobie życzy dziewczynka żeby się spełniły, a mianowicie lalkę barbie i trochę kompotu, oczywiście nie takiego na deser, tylko takiego, co sobie

wstrzykują koleżanki, a adresatem życzeń jest święty Mikołaj. Mogłoby się wydawać, że to jeszcze trochę za wcześnie, nieprawdaż, przdwcześnie na takie życzenia, bo do świąt jeszcze trzy miesiące, ale przecież wiadomo, jak powoli działa poczta. Dziewczynka ruszyła dalej, na poszukiwanie innych skrzynek.

\*\*\*

Santucci lizał palec, oblepiony białym proszkiem. Zamyślił się, zmarszczył brwi.

Luciano podał mu usłużnie podręczny zestaw do testowania heroiny, który, za pieniądze zarobione na staniu w kolejkach i wymienione na czarnym rynku na dolary, kupił w Peweksie, lecz Lucky odsunął go niecierpliwie.

- No, no, Klewer. Chciałeś nas oszukać. Ale nie zrobiłeś tego. To się chwali! Hahahaha! - Tu wybuchnął upiornym śmiechem. - Wiecie, dlaczego się śmieję? - wykrzyknął ze łzami w oczach. - Bo taki numer odstawiał Stalin, jak ktoś się przed nim meldował. Robił zawziętą minę, wzywał goryli i mówił „Tego obywatela...” - tu następowała długa, długa cisza, podczas której obywatel mdlał ze strachu albo dostawał zawału - „...przedstawić do odznaczenia!!!” Ha, ha, ha! Dobrze, co!?

- Owszem, świetne, świetne - próbował go wyciszyć Luciano. - No, a teraz, skoro sprawa załatwiona, to wracamy do domu.

- O, nie, mój drogi. Niech oni idą pierwsi. Może naszykowali zasadzkę, to niech sami w nią wpadną! My tu sobie jeszcze chwilę posiedzimy, taki przyjemny samochodzik, może sobie taki kupię...

- Możecie go sobie zabrać za darmo - wtrącił Klewer - właściciel nie będzie go szukał, bo jest abstrakcyjny.

- Samochód? - zdziwił się Luciano - samochód abstrakcyjny?  
- Właściciel, baranie - zgromił go Santucci, który doskonale zrozumiał - właścicielem jest państwo, czyli nikt, a w gąszczu biurokracji samochód jest wprawdzie gdzieś tam zarejestrowany, ale jeśli zniknie, to nikt nigdy nie zorientuje się, że zniknął. Możemy nim wrócić na Zachód.

- A paszporty? - zaproponował Luciano. - A dokumenty wozu, ubezpieczenia, zaświadczenia?

- Co tam paszporty, zaraz nakupujemy tu kielbas i pod-pasek i przekupimy wszystkich celników, z takimi łapówkami możemy jeździć w te i we wte po całych demoludach, gdzie chcemy, Czechosłowacja, bracie, Enerdowo, nawet na Kubę!

- Idźcie już - rzekł Luciano do Renaty i Klewera, chciał się ich pozbyć jak najprędzej, zanim się zorientują, że z Santuccim jest coś nie tak.

- Idźcie, idźcie - zgodził się Santucci - kupcie sobie lizaka, wypijcie za nasze zdrowie piwo karmelowe...

Renata i Klewer wyszli, podczas gdy Santucci perorował jeszcze, a Big próbował przerwać jego słowotok i przywrócić go do rzeczywistości. Wreszcie Santucci zamilkł, a po chwili powiedział całkiem trzeźwo:

- Oczekajmy z pół godzinki.

Wyjął z kieszeni maleńką klepsydrę, zmajstrowaną chytrze z dwóch buteleczek po kroplach żołądkowych na spirytusie, znalezionych pod apteką.

\*\*\*

Do przepelnionej skrzynki na listy podszedł jakiś człowiek i opróżnił ją do szarego, płóciennego worka. Wcisnął worek do małego, czerwonego jak skrzynka pocztowa fiata 126p, wcisnął się sam w ślad za workiem i ruszył z piskiem opon.

\*\*\*

Klewer zamknął za sobą tylne drzwi furgonetki. Renata chciała jak najszybciej się oddalić, lecz zatrzymał ją. Jeszcze momencik, jeszcze sekunda...Pochylił się i wyciągnął spod podwozia przyłączone tam dwa wielkie zwoje kartonu. Rozwinął je i starannie przykleił do boków furgonetki taśmą samoprzylepna, kupioną za 50 centów w wielkim Peweksie w Alejach Jerozolimskich. Renata przyglądała się z niepokojem.

- Co robisz?

- Podkładam bombę. Niezawodną. Niezatapialną, nierdzewną, odporną na wszelkie usterki...

Po czym wziął ją za rękę i szybko się oddalili. Klewer starał się nie czuć, nie wdychać zapachu komunizmu, unoszącego się nad Placem Defilad, zapachu, w którym obecnie dominujący stał się, wskutek wielkiej ruchliwości zgromadzonych, odór potu - robotniczego, chłopskiego i inteligenckiego - zmieszanego w ścisłym, nierozzerwalnym sojuszu.

Bardzo szybko ten i ów z młodych ludzi snujących się po placu zauważył kartony przyklejone do żuka i ustawiał się natychmiast w kolejce. Czas oczekiwania skracano sobie studiowaniem napisów zrobionych czerwonym flamastrem (1,50\$ w Peweksie w Alejach):

**NARKOTYKI - Z IMPORTU**

**BEZ KARTEK! ZA ŻŁOTÓWKI!**

**PRZYDZIAŁ DLA DOROSŁEGO - 10 GR.**

**PRZYDZIAŁ DLA DZIECKA DO LAT 14 - 50 GR.**

**EMERYCI, RENCIŚCI I ŻOŁNIERZE ZASADNICZEJ  
SŁUŻBY WOJSKOWEJ - 30% ZNIŻKI**

**INWALIDZI, KOBIETY CIĘŻARNE I KOMUNIŚCI**

**- BEZ KOLEJKI**

\*\*\*

Na estradzie zespół folklorystyczny pieśni i tańca „Ludowe Pasiaki” śpiewał już dwunastą zwrotkę, zmieniając nieco słowa popularnej pieśni w taki sposób, że wywołał entuzjazm widzów:

„Płynie, wódka płynie, po polskiej krainie!

Usia, siusia!”

Bum, bum! - grzmiały deski.

Wnet tysięczne tłumy podchwyciły: „Płynie, wódka płynie, po polskiej krainie!” I oto wszyscy byli świadkami powstania jednej z tych pieśni ludowych, które wchodzi w skład narodowego dziedzictwa, jak „Góralu, czy ci nie żal”, albo „Przepijemy naszej babci domemk mały”, czy „Pije Kuba do Jakuba”. „Płynie, wódka płynie, po polskiej krainie!!!” - potężny ryk tysięcy gardel rozbrzmiewał nad całym placem i pieśń niosła się aż pod niebiosa, niczym modlitwa o deszcz.

\*\*\*

W czteropiętrowym budynku Komendy Milicji Obywatelskiej trzy piętra zajmował departament ds. donosów. W kancelarii podawczej pracowała maszyna do hurtowego otwierania listów w domach sprzedaży wysyłkowej, sprowadzona ze Stanów Zjednoczonych. To było dla Departamentu Donosów jedyne skuteczne rozwiązanie, ponieważ wobec zalewu listów nikt nie byłby w stanie otwierać ich ręcznie, albo trzeba by zatrudnić przy tej robocie miliony osób, i kto by wtedy pisał donosy?

Dwóch milicjantów, ubranych po cywilnemu, pogrążonych było w lekturze. W pewnej chwili młodszy z nich wykrzyknął:

- Niech pan spojrzy, panie kapitanie, już nawet cudzoziemcy biorą się za pisanie donosów. Jacyś dwaj, Francuz i

Amerykanin, skarżą się, że ich źle obsłużono w hotelu Grand-Victoria. I dodają, że jak będziemy traktować przyjezdnych w taki sposób, to nigdy nie rozwinie my turystyki...

- Turystyki! Ha, ha, ha,... dobre. To naiwne barany. Turystyka! Akurat nam potrzebna turystyka! Precz z turystami! Niech nam się tu nie kręcą, nie węszą i nie szpanują. Wydadzą sto dolarów, a złej propagandy narobią za tysiąc! Jaki to hotel, sierzancie? Grand-Victoria? Przekażcie do Ministerstwa Socjalistycznej Turystyki wniosek o odznaczenie personelu Krzyżem Socjalistycznej Zasługi.

- Tak jest, obywatelu kapitanie. A tego śmiecia wyrzucam - sierżant cisnął list do kubła - niech sobie dzwonią z poczty!

- Zaraz, zaraz! Chwileczkę. To oni się skarżą na telefony?

- Tak, podobno centralka w hotelu jest zepsuta, a telefonistka robi wszystko, żeby utrudnić...

- Czy wyście zgłupieli, sierzancie? Jak wy sobie wyobrażacie, że jak nasze służby podsłuchowe mają pracować, skoro telefon nieczynny? Natychmiast wyślijcie ekipę do naprawy centralki!

- Tak jest!

- .. I przekazcie wniosek do Ministerstwa Turystyki o ukaranie personelu! Z pozbawieniem kartek na buty włącznie!

\*\*\*

Kolejka za żukiem wydłużała się powoli, lecz niestrudzenie. Najpierw powiększali ją tylko narkomani, lecz gdy się już tak wydłużyła, że z jej końca nie było widać początku, zaczęli ją zasilać przypadkowi kolejkowicze, ot tak, na wszelki wypadek, nie wiedząc na co czekają, lecz to nie ma znaczenia, wszystko dziś na placu jest atrakcyjne, wiadomo że nie po to jest święto „Trybuny Ludu”, żeby władza rzucała ludowi byle co. Zazwyczaj można było się łatwo dowiedzieć, co zostało

rzucane, zadając poprzednikowi w kolejce rytualne pytanie: „Co tam dają?” Lecz narkomani odpowiadali tylko jakimś nieartykułowanym mruknięciem, co tym bardziej budziło ciekawość i zachęcało do stania.

Wkrótce więc kolejka za żukiem osiągnęła już całkiem spore rozmiary, a po kwadransie stała się wprawdzie jeszcze nie ogonkiem słoniowym (ponad dwa tysiące kolejkowiczów), ale z pewnością już najdłuższą kolejką na tegorocznym święcie, dłuższą nawet niż ogonek kobiet za furgonetką pełną damskich majtek, sprzedawanych wyłącznie na zaświadczenie o wykonywaniu pracy na drabinie.

Wkrótce była już tak wielka, że zaczęła budzić powszechną sensację samym swoim rozmiarem.

- Co tam rzucili? - słychać było ze wszystkich stron placu okrzyki zaintrygowanych ludzi.

I stało się to, co musiało się stać: kolejkowicze z innych kolejek, najpierw pojedynczo, potem całymi watahami, zaczęli przechodzić do kolejki za żukiem.

Wokół zaczęły pączkować podkolejki, coś jakby nibynóżki kolejki głównej, złożone z kolejkowiczów uprawnionych do obsługi poza kolejnością, których było tylu, że tworzyli własne kolejki. Była więc podkolejka inwalidów zwykłych, podkolejka inwalidów wojennych, podogonek kobiet ciężarnych, uczniów, studentów, poborowych, żołnierzy zasadniczej służby wojskowej, jedynych żywicieli rodziny, chłopów poniżej pół morgi, chłopów powyżej pół morgi - a wszystko razem tworzyło kolejkę palczastą, rozgałęzioną, wieloramienną, gwiazdzistą, mackowatą, zwaną też po prostu ośmiornicą.

Ludzie, stojący w mackach takiej ośmiornicy niczym przyssawki, obsługiwani są według następującej, prostej zasady: dwie osoby z macki głównej, jedna osoba z podkolejki, i znów macka główna, i jeden podogonek, i tak dalej, oczywiście

zgodnie z ruchem wskazówek zegara.

To wersja oficjalna, tak powinno być, a naprawdę bywa różnie. Ludzie, którzy stwierdzali, że kolejka jest już tak długa, że nie ma sensu się w niej ustawiać, zwłaszcza, że nawet nie widać jej końca, albowiem wije się przez cały plac i trzeba by iść wzdłuż niej w poszukiwaniu końcówki, spontanicznie tworzyli kolejki konkurencyjne, uznając, że skoro tamta jest nieosiągalna, to trzeba zrobić nową, osiągalną. Proceder ten tylko pozornie był bez sensu, albowiem po powstaniu kilku czy kilkunastu podkolejek można już było udawać, że się nie wie, która jest ta pierwsza, że wcale nie ci z pierwszej byli pierwsi, tylko my, proszę państwa, a tamta kolejka jest nieważna. Słowem, można zastąpić starą kolejkę nową kolejką i w ten sposób wydymać kilka tysięcy frajerów. Problem w tym, że takich cwaniackich podkolejek powstaje kilka, i że stają one obok podkolejek osób uprawnionych do obsługi bez kolejki. W ten sposób powstały dwie ośmiornice - legalna i oszukańcza - i nałożyły się na siebie. Każda kolejka uważa, że tylko ona jest ważna. Taka sytuacja jest wysoce konfliktogenna. Całość przypomina teraz gigantyczną ośmiornicę, a właściwie już nie ośmio- tylko dwudziesto- (lub więcej) -śmiornicę, o poplątanych mackach, której głowę stanowi punkt, w którym coś sprzedają, w tym przypadku furgonetka żuk z balonikiem na dachu.

\*\*\*

Mężczyzna, który opróżnił skrzynkę na listy przy ulicy Świętokrzyskiej, zaparkował czerwonego malucha przed budynkiem Komendy Milicji Obywatelskiej, wszedł do środka i oddał płócienny worek z listami w kancelarii podawczej, za pokwitowaniem. Przed nim i po nim inni pracownicy robili to samo.



\*\*\*

A tymczasem kolejka ośmiornicowata wykształciła, między innymi, podkolejkę kombatantów. Starsi, niektórzy bardzo starzy, o laskach lub o kulach, w wytartych garniturach, z baretkami odznaczeń, stali cierpliwie. Nie bardzo wiedzieli na co czekają, ale nie było to zbyt ważne. Nagle do ich podkolejki zbliżyła się grupa młodych, byczkowatych facetów o wyglądzie fernali przebranych w szare garnitury, białe koszule i czerwone krawaty.

- Tu jest kolejka kombatantów? - ni to wrzasnął, ni to spytał jeden z fernali.

- Owszem, proszę pana - odpowiedział schludny staruszek o lasce, stojący jako ostatni. - To ja jestem ostatni - dodał - ale za mną jest jeszcze dwóch panów, którzy na chwilę odeszli...

- Wypierdalać stąd! - wrzasnął fernal i odepchnął staruszkę. Za nim cała grupa ruszyła, taranując i przewracając kombatantów. Zrobił się krzyk, ktoś ze staruszków zaprotestował, lecz młodzi fernali w garniturach parli do przodu, wrzeszcząc:

- Jazda stąd! Na koniec! To my jesteśmy kombatanci!

I ustawili się całą grupą jako pierwsi do żuka. Rzeczywiście byli to kombatanci, przynajmniej tak mieli napisane w legitymacjach. Należeli do stowarzyszenia kombatantów ZBOWiD, czyli Związek Bojowników o Wolność i Demokrację, gdzie kombatantstwo jest dziedziczne. Ich tatusiowie i dziadkowie zasłużyli się, walcząc dzielnie na polu walki ideologicznej i „utrwalając władzę ludową”, co polegało głównie na torturowaniu bezbronnych, i oczywiście poczuli się z tej racji bohaterami, a ZBOWiD przyznał im medale za męstwo, dodatki pieniężne do pensji, i liczne przywileje w naturze - pralki, lodówki, telefony, mieszkania, przydziały na syrenki. Wkrótce zrozumieli, że można w ten sposób zadbać

też o najbliższych, więc rekomendowali do Związku swoje dzieci, siostrzeńców, chrześniaków, wnuki, tak, że im więcej lat upływało od wojny, tym weterani stawali się młodszy.

Grupa, która teraz rozepchnęła kolejkę prawdziwych uczestników Drugiej Wojny Światowej, należała już do trzeciego pokolenia zbawidowców, była prężna, bojowa i umiała dzielnie walczyć o swoje prawa.

- Jazda, dziadu! Jak cię nauczę kultury - warknął rostry, siedemnastoletni weteran, odpychając staruszkę w rogatywe, który próbował jeszcze tłumaczyć, że „Panowie tu nie stali”.

- Do ZBOWiD-u nie przyjmujemy, mamy komplet! - dorzucił inny wyrostek. Reszta zbawidowców ryknęła śmiechem.

\*\*\*

- O, sporo ma pan dziś listów, panie Tomaszu! Będzie pan miał dużo pracy. Ciężki dzień, co?

Na zapleczu Poczty Głównej, przy ulicy Świętokrzyskiej, urzędniczka dawała listonoszowi serty listów przysłane właśnie z Komendy Milicji Obywatelskiej jako ocenzurowane i dopuszczone do dalszej wysyłki. Listonosz starannie układał je w torbie.

- Cóż robić, pani Rózo, taki już los listonosza - westchnął melancholijnie.

- A nie trzeba było opowiadać turystom kawałów! Zachciało się panu głupich żartów z władzy. Jakby pana nie wylali, to by pan nadal pracował jako przewodnik, i miał różne boki...

- Och, nie szkodzi, i tak miałem dosyć tej pracy. Działali mi na nerwy tym swoim zachodnim sposobem myślenia. Chcieli wszystko zrozumieć przez porównanie do swoich krajów. I zawsze się cieszyli, jak znaleźli coś, co mogło świadczyć, że tu się żyje tak samo jak na Zachodzie. Lodówki u was są? Są. A telewizory? Też. No to świat jest wszędzie taki sam. „Tutto il

mondo e paese". Za każdym razem, jak słyszałem to przysłowie, robiło mi się niedobrze... Teraz jestem spokojniejszy. A zresztą, mam już widoki na nową posadę: piszę książkę o święcie „Trybuny Ludu” i zostanę Artystą, Człowiekiem Pióra! Będę mógł jadać obiady w stołówce literatów i dostanę co miesiąc przydział papieru, i zezwolenie na zakup maszyny do pisania... - rozmarzony listonosz zapiął torbę, odwrócił się i odszedł.

Pani Róża, patrząc za nim, dodała z melancholią:

- Z pańską zgryźliwością to chyba żadnego przydziału panu nie dadzą... nawet na papier toaletowy. - Po czym zajęła się następnym listonoszem, stojącym w kolejce po listy.

\*\*\*

Gdyby ktoś teraz spojrział na Plac Defilad z góry, na przykład z tarasu na trzydziestym piętrze Pałacu, zobaczyłby cały plac usiany grupkami ludzi oblegających stoiska, i jedno olbrzymie skupisko ludzkie w kształcie skotłowanej ośmiornicy, które utworzyło się wokół furgonetki marki Żuk. Czy to napis „Narkotyki z importu”, widniejący na furgonetce, sprawił, że żuk stał się centralnym punktem placu? Zapewne tak. Narkotyki! Tego jeszcze nie było. To musi być coś zagranicznego, i to zagranicznego z Zachodu, a nie z Rumunii, Bułgarii czy Enerdowa. A więc coś super. Nie każdy potrzebował narkotyków, niektórzy nawet nie wiedzieli dokładnie co to jest, ale każdy wiedział jedno: jak rzucili, to trzeba brać. Potem się albo wymieni, albo się odsprzeda, albo, co jeszcze lepsze, potrzyma do następnej podwyżki. Ten numer jest najpewniejszy i stosuje go każdy, kto ma chociaż odrobinę wolnej gotówki. Inwestuje się, a to w kanister benzyny, a to w paczkę podpasek, a to w kilo cukru, zależnie od indywidualnych możliwości. Więc trudno się dziwić, że ludzie tłumnie stawali w głównej kolejce lub w którymś z podogonków ośmiornicy. Zwłaszcza, że od pewnego punktu

krytycznego zaczęło działać zjawisko aglutynacji, efekt kuli śniegowej. Nikt już nie wiedział, za czym ta kolejka, ale że była największa, więc jasne, że warto się ustawić. Stąd zresztą powiedzenie „ustawiony życiowo”, czyli stojący we właściwej kolejce.

W podogonku dewotek, który każda większa kolejka wykształca spontanicznie, chociaż oficjalnie dewotki nie są zarejestrowane jako uprawnione do zakupów poza kolejnością, nie podpadają ani pod inwalidów, ani pod ciężarne, ani nawet pod niedorozwinięte, stało już kilkanaście kobiet, okutanych w chusty zawiązane pod brodą. Gawędziły, miętosząc w dłoniach puste siatki, jakby to były różańce. Ktoś, nie pamiętały już kto, powiedział, że to kolejka za dewocjonaliami, ustawiły się więc i czekały w pokorze. Stały za daleko od czoła kolejki, żeby coś zobaczyć, a pchać się tam byłoby głupotą, bo im bliżej czoła, tym bardziej ludzie są nerwowi, moja pani, i mogliby panią stratować... Próbowwały więc zgadywać, gubiły się w dociekaniach:

- Wino mszalne?

- Oplatki?

- Może takie zajączki wielkanocne z czekolady? Albo święte Mikołaje w sreberku? W radio mówili, że dzisiaj rzuca produkt czekoladopodobny.

- A może po prostu różańce, medaliki, krucyfiksy, obrazki z Matką Boską Częstochowską? - spytała któraś, oblizując się.

- Medaliki na święcie partyjnym?

- A cóż pani chce, moja droga, oni też idą z duchem czasu...

Mnie w każdym razie nic już nie zdziwi...

- No, jednak, to byłby cud, żeby...

- A niby dlaczego zaraz cud? Te antychrysty tłuką pieniądze na wszystkim! Gdyby mogli, toby sprzedali nawet sam święty obraz Matki Boskiej Częstochowskiej, i to w Peweksie, za

dolary!

- No, to już pani przesadziła, moja droga, i nawet się zastanawiam, czy to nie zakrawa na bluźnierstwo... muszę zapytać Ojca Spowiednika... Moja Święta Panienko z Częstochowy... Ty, któraś już tyle wycierpiała, którą w średniowieczu pocięli szablami Szwedzi, zrobili ci tę podwójną bliznę przez całą twarz... Już prędzej wystawię na sprzedaż te wszystkie laski i kule, co to cudownie uzdrowieni zostawili nad ołtarzem.

- Więc sama pani widzi, że wszystko jest możliwe, nawet medaliki na święcie partyjnym. Trzeba wierzyć! Wiara czyni cuda, już pani zapomniała co mówił brat głośnikowy na pielgrzymce, wtedy co to się poznałyśmy dwa lata temu...

- Nie, poznałyśmy się rok temu, w kolejce za konfesjonalem, wtedy co ta młoda chciała się wtranzolić bez kolejki, a myśmy ją...

- Wszystko jedno. No więc mówił, że trzeba wierzyć. We wszystko.

- Tak, tak, ma pani rację, pani kochana. Podtrzymała mnie pani na duchu tym przypomnieniem Pielgrzymki. Matko Boska Częstochowska, cóż to za cudny moment, kiedy grają na tych trąbach i biją w te bębny, a wszyscy na kolanach, wszyscy, i ta zasłona, cała ze srebra, się podnosi, i Twoja Natchniona Twarz się ukazuje! To coś takiego od Ciebie bije, taka światłość, takie życie, jakbyś zaraz miała zstąpić z ołtarza i wejść między nas...

Poryw wiatru załopotał chustami. Kobiety schyliły głowy w obawie przed kurzem. Gdy je uniosły...

Jakaś niewiasta, młoda, lecz postarzona przez chustę, szła ku nim.

- Przepraszam, co tu dają? - spytała cicho.

Nikt jej nie odpowiedział. Nie mogły słowa wykrztusić. Nie mogły wprost oczu oderwać od podwójnej blizny, przecinającej

twarz na ukos. Nie było mowy o pomyłce.

- Matka Boska Częstochowska! - krzyknęła któraś.

I wszystkie padły na kolana. Dopiero po dłuższej chwili odzyskały głos i, nie wstając z klęczek, zaczęły szeptać między sobą. Wreszcie jedna wstała i zwróciła się do niewiasty z blizną:

- Proszę pani... to jest, chciałam powiedzieć, Patronko Święta...

- Ucieczko grzesznych! - zawtórowała inna.

- Święta Panienko!

- Uradziłyśmy... - dodała inna.

- No, krótko mówiąc - wyrwała wreszcie przemowę z zakłętego kręgu najśmielsza - prosimy bez kolejki!

Rozstały się, a jedna, najbardziej krzykliwa, wrzasnęła w stronę czoła kolejki:

- Przejście! Przejście dla Matki Boskiej Częstochowskiej!

Lecz reakcja niewiasty była co najmniej nieoczekiwana:

- Znowu! W każdej kolejce to samo! - krzyknęła. - Zawsze mnie wezmą za Matkę Boską! Bliznę mam po tym, jak mąż mnie nakrył z sąsiadem. Dwadzieścia dwa szwy. Mam nawet książeczkę inwalidzką - zaczęła czegoś szukać w torebce.

Dewotki przyglądały się jej z niedowierzaniem. Najśmielsza podeszła. Wyciągnęła rękę, jakby chciała dotknąć blizny, lecz w ostatniej chwili cofnęła się jak oparzona.

Znów zapadła cisza, potem nastąpiły szepty.

- To niemożliwe!

- Ależ tak, mówię wam!

- Nie, ja w to nie wierzę.

- Trzeba wierzyć. We wszystko! To nie jest normalna blizna.

To są te, jak to się nazywa...

- Stygmaty!

- OOOOOCH!

- Tak, to piętno!!!
- Pewnie nie poszła na Pielgrzymkę w zeszłym roku!
- Albo jechała pociągiem!
- Pociągiem! Coś podobnego. Trzeba doprawdy być bezbożnikiem! Raptem dwieście kilometrów, a ktoś sobie jedzie pociągiem!

Atmosfera wokół niewiasty z blizną stawała się coraz cięższa. Kobiety w chustach rzucały jej wrogie spojrzenia, jedna nawet splunęła w jej stronę. Inna odsunęła się ostentacyjnie, jak od trędowatej.

- Ojciec konfesjonał miał rację! - cisnęła jej w twarz. - Uprzedzał, że takiej, co się zachwiała w wierze, przytrafi się coś dziwnego! Teraz jesteś naznaczona! Napiętnowana do końca życia! Nigdy nie damy ci spokoju! - krzyknęła histerycznie.

- A poszły won, do diabła, bo zdieję różańcem - kobieta z blizną zamierzyła się na nie siatką.

Odsunęły się. I natychmiast się uspokoiły. A kiedy w chwilę później wiatr przyniósł ze środka ośmiornicy jakiś gwar, jedna z dewotek szepnęła „Matce Boskiej” do ucha:

- A gdybyśmy tak spróbowały się przepchać wszystkie razem? Ty idziesz przodem, a my się podajemy za twój Święty Orszak. Na Matkę Boską. Ten numer na pewno przejdzie!

I ruszyły, tworząc kolejkę kroczącą. Kolejka krocząca charakteryzuje się tym, że w całości podąża za swoim celem. Jej najwspanialszym wytworem jest doroczna pielgrzymka na Jasną Górę. Pielgrzymka ta budzi zazdrość komunistów jako największa kolejka wszechczasów, w dodatku tworząca się chętnie, dobrowolnie i bez żadnego narzekania, a celem tej kolejki jest towar, który nic nie kosztuje - widok obrazu.

Najdłuższa kolejka świata, i to po coś, czego ma - to ideał komunizmu. A kolejkowicze dziękują na kolanach - oto marzenie komunistów, oto ideał porządku społecznego! Kolejka

krocząca, według kolejkologów z Instytutu Kolejkologii Stosowanej na Wydziale Nauk Społecznych Uniwersytetu Warszawskiego, to jedna z najbardziej uporządkowanych form życia społecznego. Kolejkowicze ustawiają się już na kilkaset kilometrów przed celem w świetnie zorganizowane kolumny, z własnymi służbami porządkowymi, i w nienagannym szyku zmierzają do celu - którego nie ma. Marksistowscy badacze długo pochylali się nad tym zagadnieniem, chcąc rozwikłać jego istotę i wyciągnąć wnioski, które mogłyby posłużyć utrwaleniu „władzy ludowej”. Efektem tych wysiłków myślowych był sklep „Składnica harcerska”, muzeum Lenina w Poroninie, doroczny kolarski „Wyścig Pokoju”, ale wszystko to nie mogło konkurować z Pielgrzymką. Wszystko rozbijało się o to, że towar, po który ludzie ustawiają się w Pielgrzymce, jest darmowy, a zarazem bezcenny. Jest to produkt jakiego w żadnym wypadku nie mogą dostarczyć komuniści - nadzieja.

\*\*\*

Listonosz pan Tomasz wyszedł z urzędu pocztowego i ruszył ulicą Świętokrzyską, uginając się pod ciężarem torby z listami. Zmierzał w stronę Placu Defilad.

\*\*\*

Na całym placu panowało nadzwyczajne rozgorączkowanie, spowodowane niebywałym rozrostem i rozmnożeniem kolejek i podkolejek wokół furgonetki. Ośmiornica już nie istniała, gdyż macki tak się splątały, że tworzyły teraz jedną, skłębioną masę, nad którą krzyżowały się wrzaski:

- Co tam dają?
- Nie wiem!
- Podobno coś SUPER!



Dziewczyny w czerwonych kostiumach kąpielowych zeskakiwały z batuta, wokół którego zresztą nie było już gapiów, zespół folklorystyczny „Ludowe Pasiaki” z tupotem zbiegał z estrady. Tancerze galopowali, migając pasiastymi nogawkami i gubiąc czapki z pawim piórem. Tancerki trzymały w spoconych dłoniach brzegi zadartych spódnic. Niektóre, popchnięte przez tłum, przewracały się i majtały bezradnie w powietrzu nogami wśród koronkowych halek, niczym owady przewrócone na grzbiet.

Wodzirej też opuścił estradę i parł w stronę najgęstszej cizby, otaczającej furgonetkę. Rozpychał się łokciami i darł się w niebo głosy:

- Przejście! Przejście! Ja tu pracuję! Ja służbowo!

\*\*\*

- Co to znaczy „żuk”?

- To takie zwierzątko. Owad. Taki, co jak się przewróci na plecy to już nie może wstać. Ma wtedy wyrok z odroczeniem. Już nie żyje, a jeszcze o tym nie wie. Dowie się, jak go dopadną mrówki.

- Dziwna nazwa dla furgonetki...

Wewnątrz furgonetki marki żuk dwaj gangsterzy siedzieli spokojnie. Santucci wciąż machinalnie oblizywał palec umaczany w narkotyku. Nic nie mówił. Odkąd zwariował, zrobił się skryty - pomyślał Big. Big natomaist był w euforii. Nareszcie. Nareszcie stąd wyjadą! Koniec! Zadanie wykonane!

- II capo sara contento! Szef będzie zadowolony. Pochwali nas. No i nareszcie opuścimy ten kraj. Kraj dziwnych ludzi. Wścieklejszych niż zachodni mafiosi, my bowiem czynimy zło dla pieniędzy, a ci tutaj dla samej przyjemności czynienia zła...  
- Big coraz więcej ostatnio filozofował i skłonności tej nie

powstrzymał nawet fakt, że misja została spełniona i że właściwie nie ma już o czym rozmyślać. Dlaczego ci ludzie są tak wściekli? No, oczywiście, mają ciężkie życie, i są mocno gnębieni przez swoich szefów, na których nie mogą się odegrać. Więc odgrywają się na sobie samych. To jasne. Agresja przeniesiona. Ale kto wie czy pewnego dnia, przyparci do muru, kiedy już nie będą mieli nic do stracenia, kiedy w sklepach zabraknie nawet octu, nie rzucają się do gardła swoim prawdziwym prześladowcom, i wtedy będzie tu taka chryja, jakiej świat nie widział... Nagle inna myśl przyszła Bigowi do głowy: nie, nie będzie żadnej chryi. Po pierwsze dlatego, że ich szefowie pilnują, żeby tu nie było prawdziwego głodu, i trzymają ich idealnie na skraju nędzy. Ani mniej, ani więcej. Bardzo mądre - pomyślał z podziwem Big. Gdyby ludzie mieli więcej, toby się usamodzielnili, a gdyby mniej, to rozpacz by ich pchnęła do walki. Zresztą, jakiej walki? O jakiej tu walce może być mowa? Ten system działa przecież jak pajęczyna, sami tego doświadczyli: im bardziej się miotasz, tym bardziej się zaplątujesz i tracisz siły. Nie trzeba żadnych czołgów, kałasznikowów ani KGB: po tygodniu stania w kolejkach stajesz się miękki, apatyczny i bezwolny, tak jak ci „muzułmanie” - więźniowie niemieckich obozów koncentracyjnych, którzy nie mieli już siły na nic, tylko na to, żeby wlec się z pochyloną głową, z wargami drżącymi jakby odmawiały modlitwy (stąd przezwisko „muzułmanie”), a jedyny czyn, do jakiego jeszcze byli zdolni, to dowlec się do ogrodzenia i chwycić drut kolczasty pod wysokim napięciem. Wtedy dym idzie z głowy i człowiek pada - nareszcie wolny. Usłyszawszy tę historię z ust jednego warszawiaka, który przetrwał cztery lata w niemieckim obozie koncentracyjnym Auschwitz-Birkenau, a teraz, na starość, wynajmował się do stania w kolejkach, Big domyślił się, że komuniści

zainkasowali odszkodowania wojenne przeznaczone dla ofiar obozów nie tyle dla samego łupu, ile po to, by ofiary się nie wzbogaciły. Niech sobie stoją w kolejkach jak wszyscy i nie myślą o głupstwach. To wszystko też pewnie wchodzi w skład Systemu: najdrobniejsza poprawa warunków życia, najmniejsze skrócenie kolejek byłoby dla Szeów straszliwym niebezpieczeństwem! Big rozumiał to dobrze i uśmiechnął się na myśl, że Polacy się skarżą na swoich przywódców określając ich jako „niedołężnych, tępych, niezdolnych do rządzenia Ojczyzną!”. Co za naiwność! To nie żadne tępaki, to geniusze! Big widział to świetnie, może dlatego, że w swoich rozważaniach wychodził oczywiście z punktu widzenia gangstera („gangsterowski”, czy coś takiego, jakby powiedzieli tubylcy). On rozumiał doskonale miejscowych szefów i podziwiał ich. Toż to mistrzowie! Zorganizować coś takiego! Na taką skalę! Opanować cały kraj! Odwieczne marzenie przestępców całego świata o całkowitym podporządkowaniu sobie wszystkich dziedzin życia, całego państwa, zostało tutaj spełnione. Ach, gdybyż nasza mafia mogła w ten sposób opanować rząd, parlament, administrację, sądownictwo, szkolnictwo i wszystkie inne dziedziny życia! Tylko że wtedy Zachód nie byłby Zachodem. Poziom życia spadłby do zera i nie byłoby co rabować. Kwadratura koła. Tak źle i tak niedobrze. No nic, grunt, że zadanie wykonane! Misja dobiega końca. W samą porę! Jeszcze trochę, a miejscowa mafia byłaby górą... Jeszcze trochę, a dwaj wspaniali gangsterzy, okazy zachodniego profesjonalizmu, kwintesencja zła, zostaliby pokonani przez jeszcze większe zło i zredukowani do postaci komunistycznych „muzułmanów”: włóczyliby się po ulicach Warszawy z pustymi siatkami w dłoni i ruszaliby wargami, mrużąc jak modlitwę: „Co tu dają? Co tu rzucili?”. Bigowi na taką myśl włos się jeży z przerażenia. Całe szczęście, że z nami

nie tak łatwo. My, z Zachodu, jesteśmy inni! Nigdy nie dalibyśmy się tak zeszmacić! U nas taki system nie miałby szans! Nigdy.

- Wiesz, Lucky, po namyśle dochodzę do wniosku, że ta nasza skarga niewiele mu zaszkodzi...

- Klewerowi? Co tam, nieważne. Grunt, że mamy towar! Mamy towarek, mamy towarek! - Santucci zaczął podśpiewać. - Wracamy do domu, ech, jak tylko dolecimy, jak sobie damy w gaz, przepijemy naszej babci domek maaa- aaa-ły, pije Kuba do Jakuba, góraaaaaluuu, czy ci nie żaaaal!!!

- rozdarł się, i Big spojrział na niego z przerażeniem. Zaraz po powrocie zaprowadzi go do psychiatry.

- Ciiii - szepnął nagle Santucci i przytknął palec do ust. - Co to za hałas?

Rzeczywiście, z dworu słychać było jakiś szum, a gdzieś w oddali, niczym echo lub chórek do piosenki, którą właśnie Santucci zaśpiewał, doszedł potężny chór tysięcy głosów: „Góóóraaaaalu, czy ci nie żaaaaal???” „Płynie, wódka płynie, po polskiej krainie! Pije Kuba do Jakuba! Przepijemy naszej babci domek maaa-aaaa-ły!” Słowa piosenek mieszały się, szum stawał się coraz głośniejszy, narastał, potem trochę przycichał i znowu narastał, jak powracająca fala.

- Coś jakby ocean. Ach, ocean, kolory, wyspy! Uciec od szarzyzny! Zaraz po powrocie wykupuję tydzień na Karaibach, muszę się zregenerować po tym bagnie!

- Niemożliwe - kategorycznie zaprzeczył Lucky. - Tu nie ma oceanu. Patrzyłem na mapę. Najwyżej rzeka. Wisła. „Płynie, Wisła płynie, po polskiej krainie!” - zaśpiewał w nagłym przypływie euforii. I znów, niczym echo, odpowiedział mu z zewnątrz ryk tysięcy gardel: „Płynie, Wisła płynie, po polskiej krainie!”

**BUM! BUM! BUM!**

Uderzenia w skrzynię furgonetki były tak nagłe i gwałtowne, że gangsterzy porwali się z miejsc. Od zewnątrz ktoś walił w ściany i szarpał za klamki. Na szczęście drzwi były zablokowane, przez Biga, przezornego jak zawsze... Nagle ze wszystkich stron huknęły krzyki, przebijając karoserię żuka jak kule z automatu:

- No, co jest? Długo jeszcze!? Sprzedawać!
- Sprzedawać!
- Sprzedawać!

W tylnej części furgonetki, tam, gdzie siedzieli, było tylko małe okienko. Luciano wyjrzał przez nie. Za brudną i nierówną szybką, deformującą karykaturalnie obraz, ujrzał pałające oczy, wyszczerzone zęby, zaczerwienione, spocone twarze. Dalej rozciągał się ocean głów, nad którym snuły się pasma dymów czy też mgieł, jak gdyby wściekłość, emanująca z tłumu, materializowała się w powietrzu w postaci czegoś w rodzaju smogu. Smogu wściekłości.

„To tylko kurz - powiedział sobie Luciano - to tylko kurz, wzniecony wiatrem, no i butami...”

Nagle ocean głów zafalował i żuk się zachwiał. Linia horyzontu zakołysała się.

Lucky złapał za uchwyt w suficie, Big poszedł za jego przykładem. Żuk zataczał się teraz na wszystkie strony jak pijany obywatel, jakby właśnie wypił cały miesięczny przydział wódki i nawet nie zagryzł kiszonym ogórkiem bez kartki.

Tymczasem tłum zaczął się organizować i słychać już było coraz lepiej zgrane i coraz bardziej regularne krzyki: „He-eeej... ho!” „Heeeej... ho!”. Żuk zakołysał się mocniej, ale już nie bezładnie, na wszystkie strony, tylko regularnie, z boku na bok.

Klepsydra i pojemnik z białym proszkiem upadły na podłogę i potoczyły się wraz ze śrubokrętem, lecz gangsterzy nie

zwrócili na to uwagi: jak zahipnotyzowani patrzyli w okienko, w którym, zniekształcony przez nierówne szkło, pojawiał się teraz na przemian to rozszalały tłum, to znów, przy akompaniamencie chrzęstu olbrzymich, piórowych resorów żuka, w okienko wjeżdżała szara sylwetka Pałacu Kultury i Nauki. Najpierw ukazywał się tylko szeroki parter, najeżony rzeźbami wzorowych robotników wymachujących sierpem, następnie, w miarę jak furgonetka kołysała się mocniej, coraz więcej Pałacu wsuwało się w pole widzenia gangsterów: część środkowa, potem dwadzieścia pięter bryły głównej, wreszcie w okienko wjechał taras na trzydziestym piętrze i czubek z wielką, połączoną cebulą, zwróconą ostrym końcem do nieba i błyszczącą w słońcu jak kołpak bizantyjskiego wojownika.

Big nie mógł się powstrzymać od wychwytywania tych szczegółów pomimo, a może właśnie z powodu, swojej tragicznej sytuacji. Przyszła mu nawet do głowy idiotyczna myśl, że dwie anteny paraboliczne, umocowane pod cebulastą iglicą, przypominają parę ogromnych, ciemnych, gangsterskich okularów, przez które Pałac obserwuje Miasto, Kraj, i pół Europy, i że, wbrew wszelkim kanonom estetyki, dobrze te gangsterskie okulary pasują do bizantyjskiego kołpaka.

Lucky mocniej ścisnął śrubokręt w dłoni.

\*\*\*

Na uboczu, skromnie zaparkowane w najodleglejszym zakątku Placu Defilad, stały sobie trzy ciężarówki. Na burtach ciężarówek przyklejone były plakaty:

**PAPIER TOALETOWY NA LUDNOŚCI GŁOWY!**

**ZBIERAJĄC MAKULATURĘ OSZCZĘDZASZ NATURE**

**TRZY KILO ŚMIECI - JEDNA ROLKA LECI!**

Dla większej jasności umieszczono też piktogramy: rysunek paczki gazet, pięknie przewiązanych sznurkiem, obok znak

równości, a dalej rysunek oszczędzonego drzewka.

Wokół ciężarówek było pusto, klienci zapewne udali się w stronę centralnej części placu, skąd dochodziły, niesione wiatrem, odbite od ścian Pałacu, powielone i dziwacznie zniekształcone przez echo - krzyki, jęki, wycia, dudnienie i wrzaski.

Listonosz przeszedł podziemnym przejściem pod ulicą Marszałkowską i teraz szedł sobie spokojnie po obrzeżach Placu Defilad, omijając rozhisteryzowane tłumy, aż dotarł do trzech ciężarówek. Podszedł do jednej z nich. Ciężarówka załadowana była prawie pod plandekę świeżutkimi egzemplarzami „Trybuny Ludu”, starannie powiązanymi w paczki papierowym sznurkiem.

Przed ciężarówką, na ławko-stole, stała waga. Wagowy opalał się obok, na rozkładanym leżaczku.

Listonosz wydobył z torby naręczne listów i położył na wadze. Wagowy Wybałuszył na niego oczy jak na wariata:

- Panie, czyś pan na głowę upadł!? Ludzie to mają pomysły, jak pragnę zdrowia! I to jeszcze, żeby jakiś cham, prostak, ale listonosz, osoba urzędowa! Nie wstyd panu?

- Wstyd, ale wie pan, wszyscy jesteśmy zdemoralizowani... No trudno, najwyżej ludzie nie dostaną tych listów...

- Ludzie!?! Co mnie tam ludzie? O czym pan gadasz! Przy-nosisz pan makulaturę w rozsypce! Nie ułożoną! Nie powią-zaną w paczki! I to jest właśnie niemoralne! O, patrz pan, jak wygląda porządna, kulturalna makulatura! - wskazał paczki „Trybuny Ludu”, które istotnie robiły wrażenie bardzo schludne. - I jak pan sobie wyobrażasz, że jak ja panu te listy zważę?

Rzeczywiście, część listów zsunęła się z szali na ławko- -stół, niektóre spadły na ziemię.

- A może w tym, i potem odejmie pan wagę torby - listonosz

nieśmiało wyciągnął w stronę wagowego pustą torbę.

- Jeszcze czego! Będę się w jakieś rachunki bawił na starość! - wrzasnął wagowy, lecz widząc zmartwioną minę i opuszczone ręce listonosza, zreflektował się. - No dobra, niech panu będzie. Policzę to panu ryczałtem. W przybliżeniu. - Wziął z piramidy papieru toaletowego trzy rolki i wyciągnął w stronę listonosza - Masz pan. Na oko!

Listonosz oddalał się. Idąc, pogwizdywał wesołą poleczkę. Otworzył torbę, wyjął jedną z trzech rolek, zerwał banderolę, odwinął trochę papieru i pomacał go: papier był najwyższej jakości - delikatny, różowy, pachnący. W niczym nie przypominał socjalistycznego, twardego i drapiącego szarego papieru. Przez chwilę podziwiał jego miękką, aksamitną fakturę. Po czym przysunął do nosa i powąchał.

- W roku bieżącym rzucili papier z darów od towarzyszy francuskich... - skomentował.

\*\*\*

W Socjalistycznej Wytwórni Papieru, której budynek przylegał do redakcji „Trybuny Ludu”, od kilku miesięcy trwała gorączkowa praca. Stery makulatury, przywiezionej z Placu Defilad po Święcie Trybuny Ludu, leżały na podwórzu. Robotnicy zbierali je na wózki i wieźli w stronę młyna do produkcji masy papierowej.

Większość makulatury stanowiły starannie powiązane papierowym sznurkiem paczki „Trybuny Ludu”, lecz tu i ówdzie walały się jakieś tektury, szmaty, maszynopisy, ulotki... Uwagę zwracała zwłaszcza duża liczba książek pozbawionych okładek...

Po podwórzu przechadzał się milicjant po cywilnemu, uzbrojony w kij zakończony szpikulcem. Na ten szpikuliec nadziewał każdy papier, który wzbudził jego czujność. Na



plecach miał kosz do zbierania winogron, przysłany przez bratnich towarzyszy z południa Francji. Nad koszem sterczało małe, praktyczne urządzenie, pozwalające łatwo zdejmować papiery ze szpikulca. Były to widelki w kształcie dwóch rozchylonych na znak zwycięstwa palców. Wystarczyło przesunąć szpikulec między palcami, a papier elegancko wpadał do kosza.

Pracownik nadział właśnie zmiętą kartkę, na której ktoś bardzo starannie wyrysował plan głównych ulic śródmieścia, widzianych z lotu ptaka. Już miał ją zsunąć do kosza, gdy nagle się potknął. Pod leżącą na ziemi płachtą „Trybuny” tkwiła czarna rurka z nierdzewnej stali, pocętkowanej plamkami rdzy. Rurka potoczyła się po ziemi. Fachowiec mógłby w niej z łatwością rozpoznać lufę karabinka Strzelca wyborowego, niechlujnie wyrwaną z połamanej osady, zapewne by nie wystawała z paczki „Trybun”, do której ktoś ją wcisnął, by zyskać na wadze. Pracownik nie był jednak fachowcem w tej dziedzinie i nie przejawiał najmniejszego zainteresowania znaleziskiem. Odzyskawszy równowagę, szperał dalej w makulaturze - dokładnie, skutecznie, fachowo.

\*\*\*

Klewer wysiadł z samochodu. Z satysfakcją spojrzął na budynek, nad którym neonowy napis głosił: „Czerwona Burżuazja - socjalistyczne prywatne zakłady wyrobów skórzanych”.

Wszedł do budynku. Minął halę, w której dziesiątki kobiet uwijało się przy maszynach, produkując piękne kombinezony z zielonej, beżowej i brązowej skóry, z dopasowanym kolorystycznie pejczem i obszytymi skórą kajdankami.

Miał powód do dumy. To było jego dzieło, jego zasługa. Udało mu się namówić komunistyczne władze do stworzenia sieci seks-shopów dla członków partii komunistycznej. Trzeba

co prawda gwoli sprawiedliwości przyznać, że niemały udział w uzyskaniu zgody miały też żony i córki tychże partyjnych, a zwłaszcza bratanica Pierwszego Sekretarza.

- Dzień dobry, panie dyrektorze! Dzień dobry, panie dyrektorze! - robotnice witały Klewera wesoło, życzliwie, niektóre kokieteryjnie, a on odpowiadał z uśmiechem.

Minął sekretariat i wszedł do gabinetu, w którym Renata siedziała przy wielkim, dyrektorskim biurku.

- Dzień dobry, panie dyrektorze - rzuciła żartobliwie i pocałowała go. - No i jak?

- Załatwione. Byłem w Ministerstwie. Zgadzą się, żebyśmy zwiększyli produkcję kajdanków i pejczy, pod warunkiem, że będziemy też robić więcej tych świństw dla proletariatu.

Należy wyjaśnić, że koncesję na towary do seks-shopów dla partyjnych uzyskał Klewer pod warunkiem produkowania również innych towarów - majonezów i soków przeznaczonych do sprzedaży w sklepach ogólnodostępnych dla ludu. W ten sposób komunistyczne władze chciały zaradzić kryzysowi żywnościowemu, który popychał obywateli do rozpaczliwych wystąpień i niebezpiecznie naruszał doktrynę „trzymać plebs na skraju nędzy”, w równowadze między głodem a nadzieją. Istniało poważne ryzyko zachwiania tej równowagi, co mogło się przełożyć na strajki, demonstracje, zamieszki. A to nie byłoby pożądane, albowiem zepsułoby dobry jak dotąd wizerunek komunizmu w świecie.

- .. zwłaszcza soku z buraków, bo tu jest pełno buraków. Jeżeli im trochę pomożemy, to gotowi są na wszelkie ustępstwa... Hmm... to może niezbyt uczciwe, że im pomagamy, ale przecież w ten sposób dostarczamy ludziom ten sok z buraków, i majonez, i sok jabłkowy...

- Dobrze wiesz, że to niejadalne! I że nikt nawet nie spojrzy na ten pieprzony sok z buraków! Ale masz rację, musimy się

zgodzić... Nie możemy przecież skazywać maleństwa na biedę... Zresztą, kto im nie pomaga? Każdy im pomaga, już przez sam fakt, że żyje. Albo że umiera. Albo że daje życie... - Renata położyła machinalnie dłoń na brzuchu, po którym jeszcze nic nie było widać - w każdym razie, brawo! Załatwiłeś świetnie! Jak to się dzieje, że jesteś taki sprytny?

- Sam nie wiem. To mi się objawiło samo, po raz pierwszy chyba wtedy, jak czekałem w gigantycznej kolejce po wizy, przed polskim konsulatem w Paryżu. Może dlatego, że stało tam tylu Polaków? Odżyły we mnie geny przodków, zagrała polska krew? Nagle usłyszałem jakiś wewnętrzny głos, który szeptał: „Daj butelkę wódki portierowi. Daj butelkę wódki portierowi.” Pobiegłem do najbliższego sklepu z alkoholem, i odtąd wszystko idzie jak z płatka. Instynktownie czuję, z kim wypić, komu dać w łapę, kogo na co zbajerować. Umiem też taktownie udawać, że nie widzę jak mnie nabierają, na przykład kiedy baba w Ubezpieczeniach robiła te swoje kombinacje z włączaniem komputera nogą pod biurkiem, wtedy co to szukałem twojego adresu, nie mrugnąłem nawet okiem... Dziadkowie byliby ze mnie dumni!

- Dziadkowie? Przecież mówiłeś, że oni wyjechali jeszcze przed wojną... A my tu nie zawsze byliśmy tacy. Dawniej byliśmy normalni. Dopiero teraz, przez ostatnie pół wieku, staliśmy się bizantyjskimi Słowianami. I wcale nie jesteśmy dumni z...

- I znów te szlachetne złudzenia! - rzekł ironicznie Klewer. - Komunizm, kołchozy, wywłaszczenia i nacjonalizacje. A może to tylko wymówka dla polskiego niedołęstwa? Przecież gdybyśmy byli naprawdę mądrym narodem, już dawno zbudowalibyśmy takie państwo, które nie dałoby się rozszarpywać sąsiadom... A nawet w komunizmie nie dalibyśmy się tak zeszmacić. Weź na przykład Czechów, niby też

skomunizowani, ale to im jakoś nie przeszkadza myć się codziennie, pracować w miarę normalnie, nie chlać, nie rzygać, nie bić żon po dwudziestej drugiej...

- Zgoda, nie tylko komunizm. Komunizm to sprawa niedawna, ale bliskość Rosji i azjatyckich ludów to sprawa tysięcy. Przesiąkliśmy tym. Daliśmy sobie wszczepić złe geny. I to dosłownie, bo przecież pamiętaj, że każdy najazd Tatarów, Rosjan, Mongołów czy innej swołoczy, to były tysiące, może miliony gwałtów. Więc sam komunizm nie wyjaśnia wszystkiego. To jest bardziej skomplikowane, niż się wydaje na pierwszy rzut oka.

- Ale właściwie, co to nas obchodzi? Grunt, żeby wyciągnąć jakąś korzyść z tego mętliku. - Klewer zacytował luźno swoją ulubioną powieść, „Kariere Nikodema Dyzmy”, którą znalazł za tapczanem w salonie i pochłonął jednym tchem, zamiast czytać Słowackiego, którego podsuwała mu Renata w ramach uzupełniania luk w jego wykształceniu. - A wyciąganie korzyści to moja specjalność. Czuję, że znalazłem tu moją niszę ekologiczną. Za kilka lat będę mógł się postarać o polskie obywatelstwo i przywrócenie rodowego nazwiska Klewersky, i wtedy założymy filie we wszystkich większych miastach, a może nawet w Bułgarii...

- Czyś ty zwariował? Niech cię Pan Bóg broni! Chcesz wszystko stracić? Przecież wtedy zabiorą ci cały majątek i będziesz musiał zredukować personel do dwóch osób, jak w moim butiku. Twoje zachodnie obywatelstwo jest bezcenne! Jako Polak byłbyś nikim!

- Jak to nikim? Przecież jako obywatel w moim własnym kraju miałbym chyba większe prawa niż jako cudzoziemiec. Taka jest zasada na całym świecie...

- No i jednak nic nie rozumiesz - ucięła Renata z politowaniem. - Oj, Polacy daliby ci popalić, gdybyś był tylko Po-

lakiem...

- Popatrz, popatrz, a już myślałem, że wszystko rozumiem. Chyba długo się będę musiał jeszcze uczyć.

- Nie martw się. My tu mieszkamy całe życie i też nie wszystko rozumiemy. Ale to akurat jest proste. Wystarczy przyjąć na moment punkt widzenia komunistów, a wszystkie absurdy staną się jasne. Jako Polak nie możesz się dorabiać, bo się usamodzielnisz, kupisz sobie dobry samochód i już nie pójdziesz na pochód pierwszomajowy w zamian za talon na trabanta. A jako cudzoziemiec? Jako cudzoziemiec i tak byś nie poszedł, więc to już przepadło, ale mają z ciebie inną korzyść: joint-venture, pierestrojka, rozbrojenie, komunizm z ludzką twarzą - to wszystko ty firmujesz swoją osobą, jako kapitalista, który tu przyjechał i wspiera... - Renata na chwilę się zamyśliła - a właśnie, że nie! - powiedziała nagle z mocą - nie będziemy im pomagać! Trudno, poradzimy sobie bez zwiększania produkcji pejców. Z głodu nie umrzemy.

Nagle drzwi się uchyliły i zajrzała sekretarka. Minę miała wystraszoną.

- Panie dyrektorze, przyszli jacyś dwaj interesanci. Ale tacy dziwni. Chcą się z panem natychmiast widzieć. Nie byli umówieni, więc ich nie wpuściłam. Ale powiedzieli, że nie wyjdą, dopóki z panem nie załatwią. Tak jakby muzycy, bo mają skrzypce w futerałach... - nie dokończyła, gdyż za nią wpcnęło się do gabinetu dwóch mężczyzn.

Mieli ciemne garnitury, przydymione okulary. Jeden trzymał czarną teczkę, drugi futerał na skrzypce. Bez słowa stanęli na środku pokoju. Pierwszy powoli otwierał teczkę, drugi futerał...

Było w nich coś tak groźnego, napięcie, tak że aż Renata, chociaż nie znała się na gangsterskich rozgrywkach, poczuła chłód w plecach. Instynktownie położyła ręce na brzuchu,

jakby go chciała zasłonić tym śmiesznym, obronnym gestem przed gradem kul, które zaraz się sypną z automatów. Klewer postąpił krok naprzód i zasłonił ją własnym ciałem. Zamarli.

\*\*\*

- Pan zobaczy, panie kapitanie, już nawet cudzoziemcy kablują na cudzoziemców... - w Departamencie ds. Donosów, zajmującym trzy piętra w czteropiętrowej Komendzie Głównej Milicji Obywatelskiej, dwaj cywile byli, jak zwykle, pogrążeni w lekturze anonimów. Sierżant otworzył właśnie jakiś wygnieciony list z okrągłą, jakby od jakiegoś szpikulca, dziurką w środku, i przebiegł go oczyma.

- Cudzoziemcy? Ależ to świetnie! Dostaniemy łapówecz-kę w dewizach!

- Tak, piszą, że cudzoziemiec polskiego pochodzenia żyje w konkubinacie z naszą obywatelką, która prowadzi prywatny punkt sprzedaży artykułów.

- Świetnie! Włożymy pałki w szprychy prywatnej inicjatywy! To nasz ideologiczny obowiązek.

- I nawet sugerują, że to szpieg!

- Wspaniale! - kapitan zatarł ręce.

- ...,,który, na Zachodzie, dostarczał narkotyków Klasie Robotniczej wyzyskiwanej przez kapitalistycznych rekinów i w ten sposób osłabiał jej prężność, i pewnie to samo robi tutaj."

- Wspaniale! Wspaniale... W<sup>T</sup>spaniale? Chwileczkę!? Co to za informacja!? Co to nas może obchodzić? Tym lepiej że dostarczał... A zresztą, kto wie czy to nie ktoś z naszych? Pokaż no mi ten donos - wyrwał list sierżantowi. - Ach, no tak... Od razu wyczułem coś podejzranego! Nie, no patrzcie państwo, jakim językiem to to się posługuje. Jakaś nowomowa! Posłuchaj pan: ...w ten sposób zatruwał Proletariat... No i co? Gównu cię obchodzi, że zatruwamy tę hołotę. - Kapitan z

wprawą przeczytał list do końca i wrzasnął wściekle

- i patrzcie państwo, jak on nas nazywa: ...od dawna należał do mafii. Mafii... Ja ci dam mafię! - trzasnął pięścią w biurko, aż inne donosy podskoczyły. - Sierzancie! Da pan ten list do ekspertyzy, i wytropi pan tego wroga, który się ukrywa pod pseudonimem... - kapitan zbliżył list do twarzy i przeczytał podpis - „Dwaj oburzeni Proletariusze”. To jakiś groźny element antysocjalistyczny!

- Tylko że, Szefie, to będzie trudne... w Pracowni Pobierania Socjalistycznych Odcisków Palców zabrakło akurat tego proszku... mamy tylko radziecki, a on się nie nadaje do niczego, sam pan kapitan przecież wie... zamówiliśmy nową partię na Zachodzie, i czekamy na dostawę...

- Hmmmm... Niedobrze... Popatrz, popatrz, to jest papier firmowy z hotelu Grand-Victoria... Sprawdzicie mi zaraz, czy nie ma czegoś w raportach z rozmów telefonicznych.

- Tylko że, Szefie... - zająknął się sierżant.

- Co „szefie”? Jakie znowu „szefie”?

- Tylko że, Obywatelu Kapitanie, linia jest ciągle zepsuta. .. Naszym monterom nie udało się naprawić, bo izolacja spróchniała i kabel zardzewiał na całej długości, od centrali na Pięknej aż po hotel. Właśnie rozkopują jezdnię, ale to trochę potrwa...

\*\*\*

Klewer siedział w dyrektorskim fotelu apatyczny, zrezygnowany. Ze znudzoną miną udawał, że czyta rękopis, który podsuwał mu przed oczy jeden z przybyszów, podczas gdy drugi interesant grał na skrzypcach. Renata pochyliła się nad Klewerem. Przeczytała na głos:

„O duchowa impotencjo, słodka indyferencjo! Tyś jest matką wszechrzeczy, niech z ciebie natchnienie wycieczy i

spłynie na białe kartki poezji strumieniem wartkim!"

- Hmm, wiesz, jednak mam wrażenie, że coś w tym jest. Słowacki też miał trudne początki...

- No dobrze, dobrze, niech im będzie, tylko niech ten grajek już przestanie rżepolić. Dobrze, panowie. Ufunduję wam stypendia dla ubogich twórców, niech stracę! - Klewer wołał już to, niż wysłuchać kolejnego wykładu Renaty o Wieszczu Słowackim.

Obaj artyści padli na kolana nie bacząc, że mogą pobrudzić nogawki wypożyczonych garniturów, i całowali go po rękach.

- Dziękujemy, Szefie! - bełkotali.

- No już dobrze, w porządku - rzucił Klewer, sepleniąc lekko, niczym Marlon Brando w „Ojcu chrzestnym”, i pogłaskał ich po ojcowsku po głowach - wiadomo, każdy chce żyć!

\*\*\*

W olbrzymim socjalistycznym sklepie mięsnym rzucały się w oczy gołe ściany krzywo wyłożone nierówną glazurą koloru białawego z zaciekami, puste półki i haki oraz wielka, obita blachą cynkową lada. Na środku lady tkwił pie- niek do rąbania. Za ladą stała sprzedawczyni w obszernym, przewiązanym w pasie fartuchu, brudnym i poplamionym krwią. Sprzedawczyni miała zawziętą, męską twarz i ktoś nieświadomy mógłby pomyśleć, że to przebrany mężczyzna.

I miały rację, abowiem był to Lucky Santucci. Obok niego stał, w takim samym fartuchu, Big Luciano i wymierzał parówkę cyrklem. Dokonawszy pomiaru, odłożył cyrkiel, a parówkę ścisnął kciukiem i palcem wskazującym w miejscu wyznaczonym jako połowa długości. Następnie wziął leżący na ladzie ołówek kopiowy, przejechał nim w poprzek parówki, lecz grafit nie zostawił śladu, poślinił go więc i tym razem się udało: na parówce została wyraźna linia, dzieląca ją na dwie



części. Położył parówkę na pieńku, a w tym momencie Santucci chwycił tasak, wrzasnął „łupu, cupu!” - i porąbał ją. Nie zrobił tego zbyt precyzyjnie, bo porąbał ją krzywo, na skos, w kilku miejscach, a wcale nie tam gdzie była kreska, lecz nie miało to żadnego znaczenia, a nawet efekt był lepszy, albowiem kawałków było teraz nie dwa, lecz pięć. Z tłumy, kłębiącego się przed ladą, wyciągnął się momentalnie las rąk.

- Dla mnie! To dla mnie!
- Ja tu byłem pierwszy!
- Pan tu nie stał!

W sklepie jakieś pięćdziesiąt osób czekało w „ogonku spuchniętym”. Ogoniek spuchnięty, jak podają podręczniki, to jedna z najbardziej uciążliwych i denerwujących kolejek. Charakteryzuje się tym, że kolejkowicze nie stoją grzecznie jeden za drugim, lecz są w ciągłym ruchu: drepczą w miejscu, lekko napierają na plecy stojącego przed nimi, robią kroczek w bok i pół kroczku do przodu, jakby chcieli go wyprzedzić, nie na tyle wyraźnie, by sprowokować awanturę, lecz wystarczająco, by zagrać mu na nerwach, może wytrącić go z równowagi, sprawić, by stracił cierpliwość i popełnił jakiś błąd, który pozwoli wyeliminować go z kolejki. Udaje się to wprawdzie bardzo rzadko. Zazwyczaj ten, kto stoi przed nami, jest wytrawnym, zaprawionym w bojach kolejkowiczem, ma nerwy ze stali i dobrze wie, jak się w takiej sytuacji zachować: jakby nigdy nic, wystawia łokcie na boki, żeby nas osadzić w miejscu. Wkłada rękę do kieszeni, niby po chusteczkę do nosa, i podstępnie zgina ramię w taki sposób, że wali nas łokciem w splot słoneczny. Od czasu do czasu wspina się na palcach, niby po to, żeby zobaczyć, czy jeszcze jest towar, ale tak naprawdę tylko po to, żeby opaść precyzyjnie obcasami prosto na nasze palce u nóg.

Z powodu tego całego rozgardiaszu „kolejka spuchnięta” jest

dwa-trzy razy grubsza (stąd nazwa) od swej klasycznej odpowiedniczki, kolejki zwyczajnej, będącej zresztą w zaniku i występującej w przyrodzie coraz rzadziej.

Jednak kolejka spuchnięta, mimo że ruchliwa i pełna wewnętrznej dynamiki, zamiera w pewnych momentach. Tak było w chwili, gdy Big Luciano wymierzał parówkę. Kolejkowicze obserwowali jego ruchy jak zahipnotyzowani. Dopiero odgłos rąbania zbudził ich z transu. Kolejka skłębiła się jak ugodzony wąż i w okamgnieniu stała się kolejką amorficzną. „Kto silniejszy, ten lepszy!” - taka jest myśl przewodnia kolejki amorficznej. Silni deprecją słabych, mężczyźni przewarcają kobiety, kobiety duszą dzieci, dzieci traturają się nawzajem, wyrrywają sobie włosy, wydrapują oczy.

Santucci trzymał w uniesionej ręce kawałek parówki, a klienci skakali, wymachiwali kartkami na przydział mięsa, wrzeszczeli jakby ich obdzierano ze skóry:

- Dla mnie!
- Nie, to dla mnie!
- Ja byłem pierwszy!
- Ja pana nie widziałam!
- Pan tu nie stał!
- Na koniec! Na koniec!
- Z drogi!
- Rusz się, ty stara krowo!
- Nastąp się pan!
- Nie pchaj się, stara Świnio!
- Na koniec, ty głupi inwalido!
- Spadaj, łachudro!
- Odwal się, ścierwo!

Te uprzejmości i wiele, wiele innych, fruwały nad głowami klientów, przerzucano się nimi, ciskano je, i stąd zapewne pochodzi popularne powiedzenie „rzucać mięsem”.

Santucci patrzył na to zza przydymionych szkieł okiem obojętnym. Jedną ręką dla wprawy podrzucał tasak, palcem drugiej dłuwał ostentacyjnie w nosie.

Na samym końcu kolejki, nieruchomy i cichy, stał sobie SzeF Maffii. II Grande Capo di tutti i capi we własnej osobie. W tłustej, upierścienionej dłoni miętosił kartkę na miesięczny przydział mięsa dla socjalistycznego obywatela: prostokącik o wymiarach 65 na 47 milimetrów, z różowego papieru w szary wzorek, ze znakami wodnymi, podzielony kreskami na dziesięć prostokącików, każdy o wymiarach 14 na 15 milimetrów. Na prostokącikach widniały napisy: mięso 500 g, mięso 300 g, mięso 200 g, wołowe z kością 400 g, oraz wołowe z kością 300 g. Na ostatnim, dziesiątym prostokątku widniał tajemniczy napis „rezerwa”.

II Grande Capo mierzył bezradnym, zrozpaczonym wzrokiem rozszalały, kipiący tłum, który dzielił go od lady.

Od chwili gdy kolejka spuchnięta eksplodowała, przekształcając się tym samym w kolejkę amorficzną straciła swój podłużny, kolejkowaty kształt i w okamgnieniu stała się bezkształtną masą wypełniającą pomieszczenie. Masę taką cechuje ladotropizm dodatni, czyli potężne parcie w stronę lady sklepowej, zdolne zgnieść wszystko, włącznie z samą ladą.

W tej kłębiącej się masie jedynymi śladami porządku są próby, podejmowane spontanicznie przez dwóch-trzech kolejkowiczów, doraźnego połączenia sił w celu usunięcia z kolejki kogoś wyjątkowo przeszkadzającego. Właśnie dwóch dżentelmenów oczyszczało w ten sposób kolejkę z jakiejś starszej damy. Dama, pchnięta silnie, lecz niezbyt brutalnie (ze względu na starszy wiek, który budzi szacunek) zachwiała się, lecz nie dała się oderwać od lady. Jej ręce wczepione były w krawędź lady tak silnie, że trzeba by je chyba obić młotkiem, aby puściły i taka myśl przyszła oczywiście wszystkim do głowy,

niestety, nikt nie miał pod ręką młotka, a o wypożyczeniu tasaka od obsługi sklepu nie było co marzyć. Dama zresztą nie poprzestawała na bronieniu swojej pozycji. Rozjuszona, rozdzielała wokoło kopniaki po nogach, po kostkach, po goleniach, i trrach obcasem w jądra!

Szef mafii stał wciąż bezradnie na szarym końcu. W twarzy miał rozpacz. Nagle podjął decyzję. Zebrał się w sobie i rzucił się bohatercko przez morze głów, wymachując ramionami jakby płynął czałkiem. Lucky Santucci, podśpiewując „łupu, cupu!” zawiązał właśnie pół parówki w organ francuskich komunistów „l'Humanite” (wydanie niedzielne, ilustrowane) i cisnął na szalę wagi. Czekał, aż strzałka się uspokoi, trzymał tasak wzniesiony ostentacyjnie, na użytek ewentualnych desperatów, którym by przysłała do głowy szalona myśl, że można sprzątnąć towar prosto z wagi.

W tym momencie Grande Capo, któremu jakimś cudem udało się dopchnąć do lady, chwycił dłoń Santucciego i przyciągnął sobie rozpaczliwie do ust, usiłując ją pocałować w geście mafijnego oddania, lecz nie zdążył, bo tłum go odepchnął i zmiotł w najdalszy kąt sklepu.

Big Luciano wyszedł z lady i zbliżył się do Szefa.

- Dzień dobry, Grande Capo. Widzę, że coś słabo sobie radzimy... Niech pan się zastanowi i pomyśli logicznie: kawałków parówki jest pięć, więc starczy dla trzech socjalistycznych obywateli, bo dwa pewnie pójdą pod ladę dla partyjnych. Musi obywatel Capo koniecznie, ale to koniecznie, wcisnąć się bez kolejki. Inaczej nie ma obywatel szans! Co obywatel tam trzyma w dłoni, niech no pokaże... - Big wyjął z dłoni Szefa kartkę i rzucił na nią okiem. - Ależ nie, nie, zupełnie nie tak! To jest kartka em trzy łamane przez osiemdziesiąt dwa, dla kobiet w ciąży pozamacicznej, a obywatel miał przecież skombinować kartkę em cztery, dla inwalidy z górnictwa, na podrobioną

legitymację Związku Bojowników o Dyktaturę Lumpenproletariatu. Znowu obywatel wszystko poplątał? A przecież to takie proste!

- Pomyślałem, że dla kobiet w ciąży jest większy przydział. ..  
- zauważył Szef nieśmiało - a w takim tłoku nikt nie będzie sprawdzał, czy jestem naprawdę w ciąży...

- Hmm... No owszem, rozumowanie prawidłowe, ale w takim razie musiałyby się pan jednak chociaż trochę ucharakteryzować. Niech pan sobie przypomni, co Instruktor Partyjny mówił na wykładach z teorii marksizmu-leninizmu. Co charakteryzuje kolejkowiczów wszystkich krajów?

- Nie... nieufność - powiedział nieśmiało Szef.

- No właśnie!

W tej chwili, jakby dla zilustrowania tej naukowej tezy, wypowiedzianej przez Biga, której przecież nie mogli usłyszeć w panującym zgiełku, trzech mężczyźni wywlekli z dala od lady ciężarną obywatelkę i kopali ją w brzuch. Po kilku mocnych kopniakach poduchy wypadły spod sukienki, peruka spadła z głowy i obywatelka ciężarna okazała się łysym obywatelem płci męskiej.

Grande Capo patrzył na tę scenę okiem posmutniałym i zamglonym.

- Tak że przykro mi, Szefie, ale pan się po prostu nie nadaje. Brakuje panu proletariackiego wyczucia. - Luciano poczęstował Szefa ogromnym cygarem i sam zaciągnął się dymem. - Dostałem od towarzyszy z Hawany - uśmiechnął się. - Cygaro to coś, co proletariat pali ustami swych najlepszych przedstawicieli - Big zaśmiał się z własnego dowcipu, po czym spowaźniał. - Po prostu blokuje mi pan miejsce, caro amico - ciągnął niewzruszenie - ten kurs powtarza pan już trzeci raz, o ile się nie mylę? A przecież klienci czekają na liście społecznej miesiącami. I to jacy klienci! Milionerzy, politycy, sławni

artyści... a z drugiej strony nie mogę też wydać panu dyplomu, dopóki nie nabiorę pewności, że w komunizmie dałby pan sobie radę. Nasza szkoła przetrwania ma światową renomę!

Il Capo skrzywił się płacziwie.

- Nic na to nie poradzę, amico mio! - Big zawahał się, i uśmiechnął - hmm, pić się pan nauczył nieźle, to prawda...

Szef pokraśniał z dumy.

- Z pewnością też nie jest pan tak tępy jak ten francuski osioł, który przynosił nam zużyty papier toaletowy jako makulaturę i w zamian żądał świeżych egzemplarzy „Trybuny” ...

Twarz Szefa promieniała.

- Ale w czasie miejskiego maratonu dwa razy wpadł pan do wykopka... i nie mógł się pan wydostać! Tak, przyznaję, jest pan pracowity, nie wagaruje pan, nie opuścił pan praktyk Wakacyjnych w Kaliningradzie... ale... ale to przecież nie pracą dochodzi się do sukcesów!

- A... a czy zamiast tak się starać, nie mógłbym po prostu wstąpić do jakiejś komunistycznej mafii?

Luciano drgnął i spojrzał na Grande Capo di Tutti i Capi jakby go ujrzał po raz pierwszy.

- Aaa! Tak, to co innego! Tak to ja rozumiem! To zmienia postać rzeczy! Czy wie pan, że właśnie w tej chwili zdał pan egzamin końcowy? I to na piątkę! Nie musi pan już stać w kolejkach i nie potrzebuje pan tego... - zgniótł kartkę na mięso i cisnął ją do kubła - teraz będzie się pan zaopatrywał w sklepie dla wybranych. Oczywiście bez kolejki - ciągnął z uśmiechem, podbiegli już do kubła i wydierali go sobie, grzebiąc w nim i szukając zgniecionej kartki. - Zaraz każę wypisać dla pana dyplom. Z wyróżnieniem. Niestety, u mnie się pan już wiele nie nauczy. Teraz powinien pan przejść na poziom uniwersytecki.

Podobno w Rzymie jakiś emigrant ze Wschodu, były kapitan milicji czy coś takiego, otworzył niedawno „Wyższą Szkołę Przetrwania Wśród Komunistów”. Radzę zgłosić się do niego. Tam na pewno jeszcze wiele pan skorzysta!

Big wrócił za ladę i stanął obok Lucky'ego, który walił taksakiem w pusty pieniek, nucąc na przemian „łupu, cupu!” i „A kto nie wypiiiiije!!! Tego we dwa kiiiiijjjjjeeeee!!!”

Za nim siedziało na taboretach kilku innych ekspedientów i dłubało w nosie, a w kącie stał tabun uczennic, czyli młodziutkich ekspedientek-praktykantek w zbyt obszernych fartuchach i wybuchał upiornym chichotem na widok każdego wchodzącego klienta.

Wszystko to kosztowało, ale odtwarzało nieźle atmosfere- rę komunistycznego sklepu, a wiarygodność była ważna. Powstały już firmy konkurencyjne, lecz żadna nie mogła się szczyścić taką wiarygodnością. Gdy ją założyli, byli pierwsi. Kto wpadł na pomysł? Santucci, oczywiście. Tylko wariat wpadłby na taką myśl, żeby zarobić na lęku przed „czerwonym niebezpieczeństwem”. Po powrocie zza Żelaznej Kurtyny nie wyzdrowiał wprawdzie - nie pomogły kuracje, pobyt w szpitalu psychiatrycznym ani w drogiej, prywatnej klinice, sfinansowany przez Szefa. Lucky żył w jakiejś apatii, prawie bez kontaktu z otoczeniem. Miewał jednak od czasu do czasu przebłycki geniuszu - lucida interwalla, jak to dźwięcznie nazwał zaprzyjaźniony z mafią doktor. I właśnie w chwili takiego przebłyску rzucił pomysł, żeby założyli szkołę przetrwania w komunizmie. Luciano z początku nie wierzył, że to może wypalić, ale efekty przeszły wszelkie oczekiwania. Nie wiadomo właściwie dlaczego. Czy ludzie rzeczywiście uwierzyli, że „czerwona zaraza” może przywędrować na Zachód? I niby skąd? Z podupadłego Związku Radzieckiego? Z rozpadających się krajów Europy Środkowej? Czy może z

Chin? A może zadziałała tu moda na wszelkiego rodzaju szkoły przetrwania, kursy przeżycia, katastrofizm naszego stulecia, chęć asekuracji za wszelką cenę? Czy też po prostu powstał snobizm na komunistę? Kto by pomyślał, że zamożni ludzie, żyjący na wolności i w dobrobycie, tak pragną się katować i być poniżani. Lucky, (jak zwykle szczęśliwie, jednak w przewiskach coś jest!) musiał utrafić w jakąś tajemną nutkę natury ludzkiej, w jakieś ukryte masochizmy, i zrobił to bezbłędnie. Nawet ich były szef, Grande Capo, człowiek twardy i pragmatyczny, dał się wciągnąć w tę manię. Bo to się stało manią, hazardem jak gra na wyścigach, manią do tego stopnia, że „w towarzystwie” nie wypadało nie mieć zaliczonego kursu. Dlaczego? Któż to wie...

Jakkolwiek by było, firma Biga i Lucky'ego przeżywała oblężenie. Tak wielkie, że mogli porzucić intratne zajęcie mafiosów (którego zresztą Lucky, od czasu swej ostatniej podróży, i tak już nie mógł wykonywać ze względu na zszargane nerwy) i zajęli się jeszcze bardziej intratnym zajęciem - prowadzeniem świetnie prosperującej firmy. To znaczy Big prowadził, bo Lucky, poza rzadkimi chwilami przebłyków, nadawał się tylko do roli pozoranta ekspedientki. Ale za to w tej roli był świetny. Przebrany za zmaskulinizowaną kobietę, w obszernym, poplamionym krwią fartuchu, z tasakiem w ręku, robił niesamowite wrażenie. Budził dreszcz grozy w kursantach, gdy wymachując tasakiem rąbał mięso jak leci, kość nie kość, w poprzek i wzdłuż, i jeszcze raz „lu go tasakiem!” Nieustannie podśpiewywał "Przepijemy naszej babci domek maaa-aaa-lyyyy!" albo „Pije Kuba do Jakuba” i „A kto z nami nie wypiiii-iiiije, tego we dwa kiii-iiii- je”, a gdy rąbał ochłapy to krzyczał „Łupu, cupu! Łupu, cupu!” Aż trudno było uwierzyć, że to właśnie on jest autorem tego genialnego pomysłu: odtworzyć w Londynie komunistyczny sklep mięsny



z Warszawy, z pełną obsługą. Kto by pomyślał, że do tej ohydnej, szarej nory będą waliły tłumy. Nie tylko kursantów ze szkoły przetrwania, którzy muszą tu być obowiązkowo po zaliczenia, ale też i zwykłych ciekawskich.

Dla pełnego realizmu obsługa sklepu nie tylko nic nie robiła, ale też na okrągło słuchała radia, włączonego na cały regulator, tak jak to się dzieje w sklepach w komunistycznej Polsce. Były to autentyczne audycje Polskiego Radia z Warszawy, które gangsterzy nagrali podczas swojego pobytu w tym mieście. Santucci najchętniej słuchał kasety, którą nagrała dla nich uprzejma salowa w szpitalu dla psychicznie chorych przy ulicy Sobieskiego w Warszawie, gdzie trafili po ciężkich przejściach na święcie „Trybuny Ludu” pod Pałacem Kultury, i wręczyła im, mówiąc: „To o was, posłuchajcie sobie”. W szpitalu wprawdzie nie było na czym posłuchać, ale podziękowali i teraz to była najdroższa pamiątka Lucky'ego.

Dzisiaj też kasetą grała na całego. Radio wisiało na jednym z haków na mięso, a głos spikera mówił powoli, z przerwami, ze znużeniem w głosie (w komunizmie czas antenowy się nie liczy): A teeraz... drodzy słuchaaaczee..., podajeemy najnoowsze wiadomości z ostatniej chwiiiiili: w ubiegłym miesiącu w Stoliiiiicy, podczas uroczystych obchodów święta Trybuny Luuuudu, doszło do pożalowania godnych incydeentów. Grupki pasożytniczej młodzieży, nie pracującej dla wzmocnienia przewodniej roli Paaartii, podburzane przez elementy antysocjalistyczne, usiłowały przeszkodzić tłumom uczciwych obywateli, którzy przybyli na Plac Defilad, by godnie i w skupieniu uczcić rocznicę naszego partyjnego, czerwonego organu. W wyniku powstałego zamieszania spowodowano straty materialne: dwa stragany zostały przewrócooone i splądrowaaaane. Towary zdeptaano i nie nadają się do użytku. Fakt ten odbił się niekorzystnie na naszej

socjalistycznej gospodaaarce i spowodował przejściowe kłopoty z zaopatrzeniem sklepów w artykuły niezbędnej potrzeby. Kto za tym stoi? Milicja Obywatelska prowadzi energiczne śledztwo po linii oraz z ramienia i w ramach. Niestety, są ofiary w ludziach. Dwóch obywateli zostało zdeptanych. Ofiary przewieziono do szpitala. Transportu podjęła się socjalistyczna karetka i wykonała go natychmiast, jeszcze tego samego dnia. Było to możliwe dzięki zobowiązaniu, podjętemu przez załogę karetki dla uczczenia Rocznicy Rewolucji Październikowej po linii. Władze prowadzą energiczne śledztwo, zmierzające do ustalenia tożsamości ofiar. Jak się dowiadujemy z kręgów miarodajnych członków z ramienia, ofiarami są cudzoziemcy z krajów imperialistycznych. Nie są to jednak wrogowie ludu. Chodzi bowiem o dwóch lewicowych dziennikarzy, przedstawicieli bratnich organów - obywatela redaktora Santucci z dziennika włoskich komunistów „L'Unita”, oraz obywatela redaktora Luciano, z niedzielnego wydania organu francuskich towarzyszy - „L'Humanite Dimanche”. Obaj towarzysze redaktorzy przybyli na święto naszego organu z ramienia swoich organów, aby wyrazić poparcie dla naszego organu. Nasze władze powołały Komisję, która ustali, kto za tym stoi i jakie elementy antysocjalistyczne próbowały zakłócić. A teraz przejdźmy do muzyki. Oto zespół folklorystyczny „Ludowe Pasiaki” wykona dla państwa melodię ludową po linii „Pije Kuba do Jakuba, Jakub do Michała”.

- Pije Kuba do Jakuba!!! - ryknął Santucci, aż kursanci zadrzeli, a twarz mu się rozjaśniła szczęściem.

- Proszę pana. Proszę pana, wystraszy pan pasażerów...

Otworzyłem oczy. Stewardessa pochylała się nade mną.

Obok siedział Big i patrzył na mnie z niepokojem.

- Śniło ci się coś? Tak się rzucałeś i jęczałeś, a teraz nagle ryknąłeś jakąś dziwną przyśpiewkę po polsku. Co ci się stało?

- Nie, nic. A właściwie owszem. Śnił mi się nasz poprzedni pobyt w Polsce, piętnaście lat temu. Pamiętasz?

- No pewnie! Takich rzeczy się nie zapomina!

Rzeczywiście, trudno to zapomnieć. Przyjechaliśmy tu wtedy z pewną misją, która wyglądała na łatwą, a okazała się diabelnie trudna. I ponieśliśmy porażkę, a właściwie sromotną klęskę. Jedno zło zwalczyło drugie zło. Nasza mokra robota utonęła w komunistycznym bagnie. Brrr!

- Big, co powiesz o tamtym naszym pobycie?

- Brrr... - wstrząsnął się Big, a w jego oczach pojawił się strach.

No właśnie. Tam wtedy było przerażająco. Nawet dla nieustraszonych. Co innego teraz! W piętnaście lat po tamtej wyprawie trafiło nam się coś podobnego. Też odnaleźć i załatwić faceta, który zwiął do Polski. Tylko że to już całkiem inny kraj. Aż miło pracować w takich warunkach. Wszystko działa. Taksówki? Do wyboru, do koloru. Obsługa w sklepach i w hotelach? Prześciga się w uprzejmości. Wszyscy kłaniają się w pas i w mig spełniają wszelkie życzenia. W takich warunkach wykonanie zadania okazało się banalnie proste. Delikwent właściwie też uklonił się w pas, to znaczy bez słowa protestu włożył na muszkę i dał się zastrzelić, jednym słowem, to jest życie!

Stewardessa podsunęła mi drinka. W boeingu było cichutko, miękko i przyjemnie. Z głośników popłynęły miłe słowa. „Polskie Linie Lotnicze dziękują Państwu za wspólny lot”. Polskie Linie Lotnicze. Też się zmieniły. Żadnych ruskich latających trumien, elegancki, cichutki boeing, uprzejma obsługa... Ech, ten kraj wszedł do rodziny krajów europejskich. .. Poczynił wielkie postępy. Nawet broni nie trzeba ze sobą wozic, pożyczyc się na miejscu, za niewielką opłatą, od kolegów po fachu. Uśmiechnąłem się, bo lubię postęp

cywilizacji.

Swoją drogą - taki długi sen. I pełen szczegółów. Czy tak rzeczywiście było? We śnie, jak to we śnie, zagęściło się mnóstwo przygód. Ale mniej więcej było właśnie tak. Teraz wydaje się to nieprawdopodobne, że istniał taki świat. Ale istniał. No cóż, grunt, że mamy to już za sobą. Że to przetrwaliśmy. I że nie daliśmy się zwariować!

Nagle z głośników dobiegł znudzony głos pilota: „W związku z przejściowymi trudnościami przemysłu petrochemicznego w Związku Radzieckim informujemy obywateli, że w samolocie zabrakło paliwa. Jeżeli ktoś z pasażerów wiezie na handel kanister benzyny proszony jest o niezwłoczne zgłoszenie się do towarzyszk stewardessy celem zarekwirowania dla potrzeb dalszego lotu. Powtarzam: z powodu trudności w Związku Radzieckim...”

- Big, co oni mówią!?

- Proszą, żeby zapiąć pasy. Śpisz jeszcze? Uszczypnij się, Lucky!

- A ten napis, co się zaświecił, tam z przodu?

- Napis jak napis, pewnie też o zapięciu pasów - Big spojrzał do przodu i oczy mu się rozszerzyły.

- Go... Golodupki hop do kupki! - przeczytał z przerażeniem.

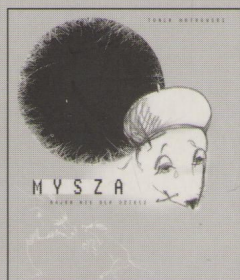
KONIEC

Szalenie profesjonalny gangster prosto z Zachodu (Londyn? Paryż? Nowy Jork?) ląduje w Warszawie lat osiemdziesiątych. Ma tu coś do załatwienia. Zwyczajną, gangsterską robotę. Wyśledzić kogoś, zamordować, i takie tam banały. Ale jak tu śledzić, kiedy po taksówkę czeka w kolejce pięćdziesiąt osób, telefon jest wiecznie zepsuty, w hotelu brak miejsc, a baterijek do krótkofalówki nie można kupić, bo fabryka im. Lenina świętuje imieniny Breżniewa? Gangster jest z najwyższej półki, wszechstronnie wyszkolony, inteligentny, zaradny, ale czy poradzi sobie w peerelowskim bagnie? Czy komunistyczny marazm i wszechogarniająca niemożność przeszkodzą mu w wykonaniu prostego, rutynowego zadania?

Historię tę napisałem pod koniec lat osiemdziesiątych, ukazała się w 1989 roku we Francji. Obecnie zapragnąłem napisać ją na nowo, po polsku. Nostalgia? Zapewne. Co nie znaczy, że chciałbym powrócić do tamtych, mrozących krew w żyłach, czasów. Chyba że w wyobraźni. Zapraszam Państwa w podróż do egzotycznej już, a przecież tak niedawnej Polski, widzianej oczami niezwykle spostrzegawczego, zachodniego gangstera.

**TOMASZ MATKOWSKI**

*gangsterski@wp.pl*

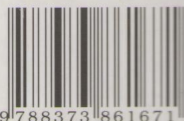


Tego samego autora,  
w wydawnictwie Nowy Świat:  
**MYSZA - BAJKA NIE DLA DZIECI**,  
patrz [www.mysza.w.pl](http://www.mysza.w.pl)

**NOWY ŚWIAT**

[www.nowy-swiat.pl](http://www.nowy-swiat.pl)

Cena detal. 24 zł  
ISBN 83-7386-167-X



**lesiojot**